

# PRZESWIT

W NUMERZE PISZĄ:

Zbigniew Brzeziński

Marek Budzisz

Karol Głogowski

Janos Kis

Stefan Niesiołowski

George Watson

I INNI

ŁÓDŹ

ROK VII

ZIMA 1988/89

48

## SPIS RZECZY

W I E L Ó K A T: CZY PRL TO POLSKA ? .....	3
UZNAĆ PAŃSTWO...? .....	3
PAŃSTWO TO MY ! .....	11
NIEUBŁAGANE PROCESY .....	14
Janos Kis	
CZY POSIADAMY PRAWA CZŁOWIEKA ? .....	18
A R C H I W U M I D E I	
Hans-Christof Kraus	
KAROL VON HALLER - IDEOLOG RESTAURACJI .....	26
Marek Budzisz	
GEOPOLITYKA CIĄGLE WAŻNA .....	31
Zbigniew Brzeziński	
PAMIĘTNIK Z BIAŁEGO DOMU. ROK 1980 .....	42
D I A Ł O G I W S P Ó Ł C Z E S N E	
CNY KAPITALIZM .....	56
George Watson	
KONSERWATYWNA SPRZECZNOŚĆ .....	68
R E C E N Z J E	
PRACA, RODZINA, WIARA .....	76
Stefan Niesiołowski	
ŻYD NA PLACU ŚW. PIOTRA .....	80
P R Z E G L Ą D P R A S Y .....	84
P O L E M I K I .....	87
D O K U M E N T Y .....	89

---

Redaguje zespół.

---

Numer zamknięto w styczniu 1989 roku.

---

## W NUMERZE POEZJA

### JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO

Józef Łobodowski - wybitny poeta, prozaik, publicysta i tłumacz - urodził się 19.III.1909 r. w Purwischkach na Suwalszczyźnie. Po powrocie z Rosji w 1922 r. zamieszkał w Lublinie gdzie studiował prawo na KUL-u. Związany z kręgiem awangardy lubelskiej skupionym wokół Józefa Czechowicza. W młodości bliski komunizmowi, zerwał te związki ideowe w 1935 r. po odbyciu nielegalnej podróży na Ukrainę krwawiącą po zorganizowanym przez bolszewików głodzie. /Per. "Smutne perachunki", "Wiadomości Literackie" 1935 nr 43/. Odtąd konsekwentny i żarliwy antykomunista. Po kampanii wrześniowej przedostał się na Zachód osiadłszy ostatecznie po drugiej wojnie światowej w Hiszpanii. Mimo początkowych ciężkich przeżyć esebistycznych /internowanie w bardzo ostrym reżimie/ żywił uznanie dla roli gen. Franco w ocaleniu cywilizacji chrześcijańskiej i dla wartości moralno-politycznych stworzonego przezeń ustroju. Do zgonu generała miał możliwość służenia sprawie niepodległości Polski dzięki istnieniu Radia Madryt, zlikwidowanego po 1975 r. przez rząd demokratyczny.

Łobodowski wydał w ciągu swego długiego życia około 30 książek poetyckich i powieściowych, nie licząc obfitej publicystyki. Zadebiutował w 1929 r., ale uznanie przyniosły mu dopiero tom "Rozmowa z ojczyzną" /1935/ oraz "Demonom nocy" /1936/, za którą otrzymał Nagrodę Młodych P.A.L. Najważniejsze zbiory emigracyjne to: "Meditwa na wojnę" /1946/, "Uczta zadumionych" /1954/, "Złota Hranota" /1954/, "Pieśń o Ukrainie" /1959/, "Kasydy i gazele" /1961/, "W połowie wędrowki" /1972/, "Dwie książki" /1984/. Z powieści na szczególną uwagę zasługują "Komysze" /1955/, "W stancji" /1959/ oraz autobiograficzna tetralogia "Dzieje Józefa Zakrzewskiego" /1965-1970/. Tłumaczył poetów rosyjskich, ukraińskich i hiszpańskich. W londyńskich "Wiadomościach" miał przez lata stały felieton "Worek Judaszów".

Poetyka Łobodowskiego stanowi oryginalny stop elementów skamandryckich i awangardowych. Istotnymi jej składnikami są patos i retoryka, a także pewna teatralność przejawiająca się w konstruowaniu utworów lirycznych na wzór tekstu dramatycznego. Jest to poezja operująca nastrojowo-pejzażowym obrazowaniem, a swoisty rys nadają jej liczne motywy orientalne. Aura pesymizmu i tragizmu wpływa z traumatycznych doświadczeń dwudziestowiecznego mieszkańca Europy Wschodniej zakorzenionego szczególnie trwale w swojej "mniejszej ojczyźnie" - Ukrainie.

Przedrukowane niżej wiersze wyjęte zostały z tomu "W połowie drogi" /Londyn 1972/.

#### Panu Sewerynowi Sieniewiczowi

SZCZERE WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI ZA OFIARNĄ, BEZINTERESOWNĄ  
I OWCOWNĄ WSPÓŁPRACĘ SKŁADA

R E D A K C J A

# wielokąt

W WIELOKACIE staramy się prezentować różnorodne stanowiska i punkty widzenia na sprawy, które naszym zdaniem zasługują na baczniejszą uwagę. Oświetlać pragniemy tematy tabu, odsłaniać zagadnienia niepopularne, przykre czy wręcz bolesne. Czynimy to bez ambicji wyczerpującego opisanie rzeczywistości, ale w nadziei rozszerzenia refleksji na zaniedbane, a istotne obszary, a także w intencji dezawuowania pokutujących w naszej świadomości jałowych stereotypów. W tak przyjętej formule WIELOKĄTA mieszczą się również opinie i sądy, których redakcja nie podziela.

## CZY PRL TO POLSKA ?

"Zagadnienie stosunku do państwa staje się coraz wyraźniej nie tylko problemem teoretycznym, ale sprawą wymagającą jak najbardziej konkretnego rozstrzygnięcia, od którego uchylić się nie może żaden ośrodek opiniotwórczy zgłaszający pretensje do wpływania na postawy polityczne Polaków." - pisze Władysław Dąbrowski na łamach 9. numeru POLITYKI POLSKIEJ w artykule "Uznać państwo...?". Dodajmy, że wokół tego zagadnienia narosło zbyt wiele nieporozumień, niemądrych uprzedzeń i szkodliwych postaw. Temu też tematowi poświęcamy kolejne wydanie WIELOKATA.

REDAKCJA

**Władysław Dąbrowski**

## UZNAĆ PAŃSTWO..?

Zagadnienie stosunku do państwa staje się dziś coraz wyraźniej nie tylko problemem teoretycznym, ale sprawą wymagającą jak najbardziej konkretnego rozstrzygnięcia, od którego uchylić się nie może żaden ośrodek opiniotwórczy zgłaszający pretensje do wpływania na postawy polityczne Polaków. Stoi zatem zagadnienie to i przed zespołem "Polityki Polskiej", przed jego środowiskiem prezentującym się (i przestrzegającym) jako narodowo-niepodległościowe, światopoglądowo-katolickie, polityczne i społeczno-prawicowe. Już z samego powyższego "etykietażnego" zestawu pojęć wynika pozytywne "propaństwowe" nastawienie naszego ruchu - na poziomie filozofii polityki. I inaczej po prostu być nie może. Prawica anarchistyczna, tradycjonalizm i antypaństwowość - to przecież oksymorony logiczne, sprzeczności nie do pogodzenia. Bez względu na osobiste wybory tradycji szkoły politycznego myślenia i działania, wszyscy zgodni jesteśmy co do tego, że "naród ma prawo jedynie być jako Państwo". Obce jest nam też pojmowanie państwa jako "machiny" do uciskania jednej klasy przez drugą, a nawet sprowadzanie jego istoty wyłącznie do czynnika władzy. Przeciwnie, odwołujemy się do pojęcia państwa jako dobra wspólnego, ponadpartykularnego, społeczności państwo tworzącej i zorganizowanej hierarchicznie. Upatrujemy w nim wytwór woli Bożej i prawa natury niezbędny dla istnienia samego by-

tu społecznego, a zatem godny powszechnego szacunku i posłuszeństwa jego prawom, o ile tylko nie sprzeciwiają się one prawu Boskiemu. Postrzegając w instytucji państwa cechę organizmu żyjącego życiem swych członków: osób, rodzin i wszelkiego typu wspólnot, nie zaś bezduszny mechanizm przemocy, nie tracimy zarazem z oczu jej ograniczeń wynikających z faktu, iż państwo mimo Boskiej sarkoficji swego istnienia należy do porządku przyrodzonego, skażone przeto jest - jak cały ów porządek - grzechem. I to również państwo nazywające siebie chrześcijańskim, takie, które punktem odniesienia dla swego ustawodawstwa i działania czyni etykę Chrystusową. W najbardziej nawet chrześcijańskim państwie pozostaje więc pewien element materialistyczno-pogański i ten właśnie fakt decyduje o tym, że chrześcijanin afirmując państwo jednocześnie tylko do pewnego stopnia może się z nim utożsamiać, tzn. istnieje taka sfera jego jaźni, która nie tylko, że nie podlega jurysdykcji państwa (a tą jest oczywiście sumienie), lecz która transcendując ku czystej duchowości, ad astra, nie mieści się już w ramach porządku materialno-doczesno-państwowego.

Przypomnienie tych oczywistych pewników naszego myślenia (oczywistych, bo inaczej określenia takie jak "prawica" czy "konserwatyzm" nie mają żadnego sensu) może być tylko tłem i punktem wyjścia dla rozważań już nie tak oczywistych, a prowadzonych wokół problemu nie wymyślanego, lecz bardzo realnego. Tym "problemem w poszukiwaniu rozwiązania" jest mianowicie pytanie: czy P R L m o ż n a (resp. czy n a l e ż y) u z n a ć z a p a ń s t w o p o l s k i e? Polskie, a więc "nasze", naszego narodu, realizujące polski interes narodowy, polską rację stanu. Państwo, w którym wiazać nas może tyleż świadoma afirmacja, co emocjonalna więź, uczucie instynktownej dumy z przynależności do niego.

Zanim wszakże spróbujemy odpowiedzieć na postawione powyżej pytanie, zastrzec wypada, że od tej chwili za wszystkie formułowane tezy odpowiedzialność ponosi wyłącznie ich autor, a pojawiająca się niekiedy forma podawcza "my" ma charakter czysto intencjonalny.

Mając w pamięci rady Konfucjusza zacznijmy nasze wywody od semantyki. Cóż bowiem właściwie znaczy zwrot "uznać państwo" (a także uznać coś "za" państwo - w domyśle: "nasze")? Pierwsze z możliwych znaczeń słowa "uznać" sugeruje brak wewnętrzznego zaangażowania, pasywność, osłabienie aktu woli. Jest to przyjęcie czegoś do wiadomości, bierne pogodzenie się z czymś, albo beznamietna konstatacja. "Uznać" - czytamy w Słowniku Języka Polskiego - to "stwierdzić jakiś stan, fakt" (Warszawa 1985, T.III, s.642). W tym sensie zatem "uznać państwo" znaczy wyłącznie: przyjąć do wiadomości fakt istnienia PRL a także okoliczność, że twór ten prezentuje siebie jako państwo polskie. Konsekwencją tegoż uznania jest minimum konformizmu społecznego, polegającego na niekwestionowaniu ustanowionych reguł zachowania, co z kolei chroni (na ogół) przed konfrontacją z aparatem represyjnym państwa.

Nietrudno zauważyć, że podane wyżej znaczenie słowa "uznanie" jest czymś powszechnie respektowanym. Nie przeczy temu nawet istnienie nielegalnych form opozycyjnej aktywności politycznej (a legalnych system jak dotąd nie przewiduje), jako że uznają one (z reguły) i szanują pewne realia tudzież elementarne powinności, takie jak płacenie podatków czy dawanie rekruta. Ktokolwiek przyjmuje dowód osobisty wydany przez urząd państwowy PRL (a czynią to wszyscy), podejmuje pracę w instytucji państwowej lub podlegającej nadzorowi państwa (robią tak prawie wszyscy), chodzi do państwowej

szkoły czy utrzymuje jakikolwiek kontakt z rządem lub osobą reprezentującą państwo, ten uznaje państwo w omawianym dotychczas sensie. Alternatywą takiego uznania może być tylko emigracja albo zbrojna (i jawna) walka. Tak szeroka zatem konotacja uniemożliwia sensowne posługiwanie się słowem "uznanie" w podanym wyżej znaczeniu. Można tylko jeszcze zauważyć, że stanowi ono zarazem minimum tego, czego każda władza każdego państwa domaga się od obywateli. "Gdy nie chce króla kochać, musi go szanować" powiada o narodzie Polinik w "Tebedzie" Racine'a.

Jeżeli zatem rozstrząsania nasze mają mieć jakikolwiek bądź walor praktyczny, należy wziąć pod uwagę "aktywistyczne" znaczenie słowa "uznanie". Cytowany Słownik Języka Polskiego wymienia jeszcze dwa rodzaje znaczeń słowa "uznać", odpowiadające temu o czym zamierzamy mówić. 1. "Dojść do wniosku, że coś jest słuszne, właściwe, konieczne, obowiązujące: orzec" oraz 2. "Poczytać, wziąć od kogoś, za coś, za jakiegoś, za jakieś" (tamże). Nadto, rzeczownikowa forma tego słowa - "uznanie" - wskazuje jeszcze wyraźniej na jego wolitywny i afirmatywny charakter, będąc synonimiczną ze słowami takimi jak: "decyzja, wola, sąd, zdanie, opinia" oraz "szacunek, poważanie, poszanowanie, pochwała" (tamże).

Aktywistyczne pojmowanie decyzji "uznania państwa" może przybierać dwojaką, niekoniecznie komplementarną, postać. Po pierwsze, jest owo uznanie poczuciem emocjonalnej więzi z państwem, uznaniem, że to "moje" państwo, a ja jestem jego częścią; czyli owo poczucie identyfikacji jest czymś odruchowym a nie wyrozumowanym. Po wtóre, przybrać może ono postać deklaracji, artykułującej dobitnie uznanie danego państwa "za swoje". Ta "legitymacja" państwa (najczęściej również jego ustroju i władzy) może być motywowana różnymi względami. Na ogół powodem uznania państwa za swoje jest przeświadczenie o jego narodowym charakterze, o tym, iż obsługuje ono interes narodowy stanowiącej go społeczności. Może być nim jednak również wiara w to, iż państwo realizuje i ochrania pewien ideał moralny i społeczny (np. ideał monarchii uniwersalnej w średniowieczu lub ideał wolności każdego obywatela w państwach opartych na umowie społecznej), albo zaufanie i przywiązanie do jakiejś tradycyjnej instytucji utożsamianej z państwem (np. do dynastii w monarchii tradycyjnej, legitymistycznej i ponadnarodowej - vide: państwo Habsburgów). Pierwsza, tj. spontaniczno-emocjonalna forma uznania państwa jest właściwie poza zasięgiem dyskusji, bo, w rzeczy samej, albo ktoś się utożsamia albo nie i nie sposób zmienić tego stanu rzeczy argumentacją racjonalną. Pozostaje zatem praktycznie jedynie kwestia deklaracji politycznej, która może (ale też wcale nie musi) być konsekwencją wewnętrznego przeświadczenia, choć na pewno da się o niej powiedzieć tylko tyle, że w sytuacji koncesyjnego modelu życia publicznego stanowi warunek "wejścia do gry". Dalsze rozstrząsania będą przeto próbą przedstawienia argumentów przeciwko uznaniu PRL za państwo w pełnym tego słowa znaczeniu polskie - a więc "nasze". Za państwo, z którym do końca można by się utożsamiać.

1. Pierwsze zastrzeżenie wynika z faktów natury prawno-politycznej, czyli, mówiąc wprost, z nieprawości inwestytury tego tworu państwowego powołanego do życia mocą decyzji okupanta, ignorującego istnienie suwerennej Rzeczypospolitej Polskiej i jej legalnych władz oraz wbrew woli niewątpliwej większości narodu. Twór ten nadto, przez cały czas swego istnienia pozbawiony jest faktycznej niezawisłości, aczkolwiek niepodważalny jest również fakt, że formy i zakres ograniczenia tej suwerenności od 1956 r. ulegały w zasadzie korzystnym zmianom. Jeżeli przyjmuje się kła-

syczną definicję państwa, to nieodłącznym jej składnikiem jest przecież pojęcie suwerenności. Naturalną natomiast skłonnością serca i umysłu będzie wstrzemięźliwość w uznawaniu niesuwerennego państwa za swoje. Zaznaczyć jedynie wypada, że pojęcie suwerenności nie jest tu rozumiane jako synonim "pochodzenia władzy od narodu". Nie używa się tu tak często spotykanego argumentu, że "nikt ich (tzn. komunistów) nie wybierał" - oo jest zresztą nieprawdą, bo do lokalii wyborczych nie idzie się w PRL pod lufami karabinów. To natomiast, że idzie się z opoportunizmu, nie znaczy jeszcze, że się nie wybiera - nawet jeśli nie ma wyboru.

Autor tego tekstu nie jest zelotą demokracji i nie uważa, by władza państwowa musiała koniecznie (i we wszystkich swoich organach) pochodzić z wyborów. Władza per se bierze się przecież - wedle poglądu chrześcijańskiego - z prawa natury, czyli z ustanowienia Bózego, natomiast konkretne formy jej instauracji zależą od epoki, tradycji, warunków geograficznych, panującej ideologii społecznej, modelu kultury politycznej etc. Nie pochodziła z wyboru władza królewska w monarchii tradycyjnej, a nawet w monarchii konstytucyjnej powoływanie rządu (czyli władzy w ścisłym sensie) jest prerogatywą Korony, a nie pochodzącego z wyborów parlamentu. Władza nie musi pochodzić z wyborów ogólnonarodowych. Musi natomiast być zgodna z interesem narodu, interesu tego strzec i wypełniać go. W ten właśnie sposób przejawia się najprawdziwiej (a nie w teorii) suwerenność narodu.

(Na marginesie: mógłby ktoś uczynić zarzut, że pojęcie państwa - i problem stosunku do niego - zawężam do czynnika władzy będącej przecież tylko jednym z elementów państwa obok terytorium i społeczeństwa. Odpowiem na to, że nie jest moim zamiarem ów redukcjonizm, niemniej jednak nie należy popadać w przeciwną skrajność i w ogóle eliminować pojęcie władzy z zakresu rozważań

o państwie. Są to pojęcia o nie pokrywającym się zakresie, ale przecież nieodłączne. Redukując pojęcie władzy popada się w błąd logiczny o absurdalnych konsekwencjach. Jeżeli uznamy, że państwo jest nasze, bo kraj jest nasz i społeczeństwo nasze (a tylko władza obca), to w takim razie każde państwo, w jakim przyjdzie żyć narodowi, jest jego, jeśli tylko naród ten nie przestanie być sobą i nie zmieni kraju zamieszkania. Po prostu nie ma wtedy państw "nie-naszych", bo w jakimś państwie jest się zawsze. Przy powyższym założeniu Prwiślinski kraj też był nasz, bo kraj się nie zmienił ani społeczeństwo, tylko władza się "wyalienowała". I Generalna Gubernia również.)

Autor niniejszych rozstrząsań nie jest także wyznawcą innego dogmatu demokratycznego, mówiącego, że władza jest tylko czymś w rodzaju biura usługowego wykonionego spośród obywateli do załatwiania spraw koniecznych, którymi nie chce sobie zaprztać głowy pozostali ludzie zajęci swoimi interesami. W europejskiej tradycji zakorzeniona jest przecież także arystotelesowsko-tomistyczna wizja władzy jako czynnika wyodrębnionego od społeczeństwa, reprezentującego wobec narodu zasadę autorytetu obdarzonego sankcją nadprzyrodzoną, albo też i odpowiedzialnego przed najwyższym - Boskim - autorytetem za realizację dobra wspólnoty ku sponieinieniu metafizycznego celu społeczności ludzkiej. Klóci się to oczywiście z demokratycznym dogmatem o "rządach narodu", żadna jednak teoria nie zmienia faktu, że naród jako taki jest zawsze rządzony, nigdy zaś rządzący - nawet w najskrajniejszych demokracjach. Problem natomiast polega na tym, że stan świadomości społecznej może mieć wpływ na stosunek rządzonych do zasady autorytetu władzy,

a z drugiej strony na zdolność rozpoznania przesłanek mogących dawać uzasadnione odczucie realizowania przez władzę interesu społecznego. Russel Kirk zauważa, że "to, czego ludzie rzeczywiście poszukują lub powinni poszukiwać, nie jest prawem do rządu, lecz prawem do posiadania dobrych rządzących". Nie zawsze jednak łatwo jest odnaleźć takie przesłanki. Było to niejako automatyczne w oczach monarchii tradycyjnej. Każdy człowiek rodził się i umierał jako poddany jakiegoś władcy, który swój tron dziedziczył z woli Niebios i z mocy prawa krwi, a jego autorytet poświęcał się był sakramentalnym obrzędem namaszczenia olejami świętymi. Ów czynnik autorytetu pomazańca Bożego zakorzenił się tak bardzo, że w istocie swojej przetrwał nawet tam, gdzie monarcha odgrywa dziś rolę nieledwie symboliczną, gdyż mit emanuje na instytucje rzeczywistej władzy. My nie mamy niestety dynastii narodowej, a więc czynnika, który by z natury rzeczy uosabiał zasadę autorytetu. Może więc autorytet ten być potwierdzany wyłącznie rzetelnością w wypełnianiu dobra wspólnego przez rządzących, którym "więcej dano", a zatem się więcej od nich wymaga. Czy wobec takiego założenia doręczne byłoby mówić - po doświadczeniach minionego 40-lecia - o wypełnianiu tego postulatów przez czynnik nieprzerwany w tym czasie rządzący?

Podnosi się też często i ten argument, że historia dostarcza przykładów (nam Polakom szczególnie obficie) istnienia organizmów państwowych niesuwerennych i z obcej woli poczętych, a jednak przez znaczną, niekiedy przeważającą, część społeczeństwa uznanych za własne, a i w historycznej perspektywie ocenianych z punktu widzenia interesu narodowego. Przywołuje się zatem Księstwo Warszawskie, Królestwo Kongresowe (do 1831 r.), autonomiczną Galicję po 1867 r., wreszcie Królestwo Polskie powołane Aktem 5 Listopada 1916 r. Zapomina się jednak przy tym o - mimo wszystko - warunkowym charakterze uznania tych organizmów za własne państwo. Zapomina się, że galicyjscy ziemianie oznajmujący w 1866 r. Franciszkowi Józefowi "Przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy!" deklarowali tak lojalność Królowi Galicji i Lodomerii, kraju koronnego monarchii Habsburgów, nie zaś austriackiemu interesowi narodowemu.

Zapomina się wreszcie o rzeczy podstawowej. Organizmy państwowe, o których mowa, były wprawdzie za każdym razem instalowane przez czynnik obcy, najczęściej jako wynik kompromisu polskich elit politycznych i zaborcą, nie były jednak instrumentem do ujarzmiania polskich aspiracji narodowych i zawsze oznaczały poprawę położenia części przynajmniej ziem i ludności polskiej. PRL natomiast nie tylko, że został zainstalowany przez obce państwo, ale jako organizm konkurencyjny dla istniejącego, suwerennego państwa polskiego, jako instrument do wywłaszczania Polaków z ich podmiotowych praw politycznych. To państwo miało być formą panowania sowieckiego nad Polską i było pomyślane jako czynnik wrogi polskiemu interesowi narodowemu. I trudno zaprzeczyc by funkcji tej, szczególnie do 1956 r., nie wypełniało. Ze wskutek różnych okoliczności złowieszcza ta funkcja znacznie osłabła a państwo wrastając w życie społeczeństwa zaczęło siłą rzeczy, z konieczności, obsługiwać w pewnym stopniu i niektóre interesy narodowe, to jeszcze nie powód by zapominać o celu jaki przyswiecał jego poczęciu.

2. Wskazany powyżej aspekt pozwala sformułować następującą hipotezę: ludzie skłonni są uznawać za swoje takie państwo, które jest materializacją historycznej idei Ojczyzny, przez co rozumie się tu zespół pewnych



swoistych wartości cywilizacyjno-kulturowych, charakterystycznych dla danej wspólnoty i stanowiących rozpoznawalną oraz odczuwaną jako własna metodę życia zbiorowego. PRL - jako daleki epifenomen rewolucji bolszewickiej 1917 r., ufundowanej na utopii projektującej wprowadzić stan apañstwowo, ale w rzeczywistości wytwarzającej sui generis a n t y - p a ñ s t w o, twór radykalnie różny od wszelkich znanych z historii typów organizacji państwowej - reprezentuje zasadniczo różną metodę życia zbiorowego od tej, którą realizowały wszystkie dotychczasowe formy państwowości polskiej. Różnica ta jest po prostu różnicą cywilizacyjną. Oczywiście, podkreślamy to raz jeszcze, rzeczywistość odbiega dość daleko od ideologicznego projektu. PRL jest dziś w znacznie większym stopniu "normalnym" (tzn. w języku nowomowy "burżuazyjnym") państwem niżby na to zezwalała najbardziej liberalna wykładnia "norm leninowskich", jednakże ów proces "normalnienia" wciąż jeszcze wydaje się daleki od ukończenia. A przecież właśnie typ organizacji życia zbiorowego, zespół wartości i celów składających się na "ducha praw" pewnej społeczności jest warunkiem identyfikacji z formą, będącą "naczykiem" dla swego "ducha" - państwem. Trafnie zauważył 2500 lat temu Arystoteles, że "jeśli państwo jest pewną wspólnotą obywateli w ramach ustroju, to jeśli ustrój się zmieni od do rodzaju i różnić się będzie od poprzedniego, również i państwo z konieczności nie będzie, jak się zdaje, tym samym". (Rzecz jasna, pod warunkiem, że przez zmianę ustroju nie będziemy rozumieć jedynie zmiany jego formy, lecz zasadniczą przemianę cywilizacyjną).

Wewnętrzny opór przeciwko uznaniu państwa wyrażającego ducha zupełnie innych, od tradycyjnych, praw, nie musi w takim razie wcale wyphywać z motywacji postmarksistowskiej, dostrzegającej w państwie jedynie represyjny aparat władzy. Dla niemarksisty i tradycjonalisty naprawdę ważny jest ów czynnik etosu cywilizacyjnego, metoda życia zbiorowego, "duch praw" przenikający państwo.

3. W obręb zagadnienia cywilizacyjnego włączać można charakter ideologii fundującej marksistowskie anty-państwo i odeń nieodłącznej. Aktywne uznanie takiego państwa oznacza akceptację socjalizmu (mniejsza: realnego czy idealnego), zarówno jako systemu politycznego, jak i ekonomicznego. By rozstrząsania niniejsze nie stały się nazbyt abstrakcyjne, słusznym będzie skonkretyzować je przywołując taki oto wymowny passus, pochodzący z wydanych ostatnio nakładem Wydziału Kultury KC PZPR "Uwag o aktualnej polityce kulturalnej" Jacka Kajtocha. Ofiarny ów pracownik frontu ideologicznego z pasją "flekuję" innego, bynajmniej nie opozycyjnego, literata, którego "zbrodnią" wobec "ludowego państwa" była ... pozytywna recenzja wydawnicza książki podobno "wrogiej". "Leszek Bugajski jest ... pracownikiem etatowym przedsiębiorstwa państwowego o charakterze socjalistycznym. Jego obowiązkiem, gdyż za to bierze od państwa pieniądze, jako kierownika działu krytyki w "Życiu Literackim", jest pilnowanie interesu partii w podległym mu piśmie (podkr. W.D.), dbanie o rozwój literatury socjalistycznej. Umowę o pracę na kierownika stanowisku podpisał dobrowolnie, nie może więc być mowy o jakimkolwiek przymusie." (s.20). I w zakończeniu tych elukubracji ubolewa p. (tow.?) Kajtoch nad "wstydliwym problemem nie identyfikowania się pewnym odpowiedzialnych pracowników instytucji ideologicznych i kulturalnych z polityką socjalistycznego państwa". (tamże, s.21).

"Polityka Polska" narzuciła sobie (a zaleca innym) wysokie wy-

magania w zakresie sposobu mówienia o przeciwnikach (jako składowej kultury politycznej). Wymagania te ograniczają niżej podpisanego w daniu upustu określeniom jaki w najzupełniej uzasadnionych okolicznościach narzucają się człowiekowi o zdrowych instynktach moralnych po przeczytaniu budzących obrzydzenie wyrzuceń p.Kajtocha. Nie o prawo do słusznego oburzenia się jednak tu idzie, lecz o istotę zjawiska przedstawionego z wyjątkową otwartością; postawienia znaku równości między partią a państwem, między uznaniem państwa a akceptacją socjalistycznej ideologii. To zatem "tamta strona" nie daje żadnych szans porozumienia na gruncie "ideologii państwowej", mimo szermowania jej hasłami. Tak często słyszymy zwrot: "nie ma Polski innej niż Polska socjalistyczna" nie jest rytualnym zaklęciem, lecz wyrazem prawdziwego stanowiska warstwy rządzącej, a jako taki stanowi również ramy kontekstualne dla postaw patriotycznych. Związcząca dla nurtu prawicowego i katolickiego akceptacja "socjalistycznego państwa" jest niemożliwa ze względów ideowych. Można oczywiście w imię interesu narodowego poszukiwać modus vivendi czy nawet formuły kompromisu politycznego z czynnikami rządzącym, albo uznawać, że zmiana "pryncypiów ustrojowych" przekracza obecne możliwości narodu. Nie zmienia to jednak faktu, że środowisko takie jak nasze jest - pod sankcją tożsamości ideowej (i narodowej) - naprawdę opozycją "antystrojową" (bo "antysocjalistyczną"), nie zaś opozycją względem aktualnego rządu w normalnym zachodnio-europejskim tego słowa sensie. Wynika to z faktu, iż ustroj socjalistyczny i państwo stanowią, w przypadku PRL, iunctim. Ewentualna zaś ewolucja w kierunku opozycyjności "normalnej" jest po prostu funkcją dezideologizacji, desocjalizacji i odpartyjnięcia państwa, co jest równoznaczne z jego "unarodowieniem".

## X

Jakie praktyczne "dyrektywy" wynikać mogą z powyższych rozstrząsań, wywodów i uzasadnień? Oto wstępna próba ich systematyzacji:

1. Z systemu wartości przez nas wyznawanych, zakorzenionych w chrześcijańskiej, katolickiej wizji państwa i społeczeństwa, wynika w sposób oczywisty nasze pozytywne nastawienie do instytucji państwa per se, traktowanie go jako wartości samistnej, a w konkretnej sytuacji aprobata dla tego, co swoiście państwowe w istniejącej dziś organizacji państwowej, chociażby owa swoistość była jedynie cieniutkim marginesem ideologicznej nierzeczywistości. (Pod określeniem "swoiście państwowe" rozumie się tu podstawowe funkcje zewnętrzne i wewnętrzne państwa wypełniającego, poprzez swe instytucje, chociaż częściowo, zadania ochronne wobec obywateli, ich zdrowia, życia i mienia, jak również - istnienie atrybutów suwerenności państwowej uznanych przez społeczność międzynarodową). Jest to konsekwencja oczywistego dla wszystkich (z wyjątkiem anarchistów) założenia, że lepsza władza zła od braku władzy. Obowiązanie tej tezy ulega zawieszeniu jedynie w przypadku systemów i reżimów eksterminacyjnych i ludobójczych, byłoby jednak kłamstwem twierdzić, że po 1956 r. reżim PRL-owski nosi znamiona ludobójcze. Może to zabrzmieć komuś jak prowokacja, niemniej człowiek wychowany w pojęciach europejskich musi powiedzieć, że lepsze państwo rządzone przez ekipę gen. Jaruzelskiego niż stan apanstwo-

wy i "wojna wszystkich przeciw wszystkim". (Kwestia sympatii czy antypatii do komunistów jest tu zupełnie nieistotna). Nie sądźmy zatem by - jak to sformułował komunistyczny ongiś, a obecnie bardzo opozycyjny pisarz, Kazimierz Brandys - głównym wrogiem społeczeństwa było dzisiaj państwo. Co więcej, pogląd taki uznajemy za wybitnie szkodliwy, zaś ewentualne zaakceptowanie go przez niezależną opinię publiczną byłoby wręcz nieszczęściem, grożącym faktycznie uwiędnięciem myśli niepodległościowej. Przeciwnie, naczelnym hasłem narodowym winno być dzisiaj to, że walczymy nie z państwem, lecz o państwo. Upowszechnienie myślenia kategoriami państwowymi to najpilniejsze zadanie niezależnej publicystyki i propagandy.

2. Przyjmujemy do wiadomości fakt, że PRL jest w obecnym (prawdopodobnie względnie trwałych) warunkach jedynie możliwą, choć wysoce niezadawalającą formą państwowości polskiej. Obecnie przeto jest nam dążenie do rewolucyjnego zniszczenia tej formy, pragniemy natomiast brać udział w poszerzeniu zakresu jej suwerenności zewnętrznej i odmienności cywilizacyjnej wewnętrznej, w przeobrażaniu totalitarnego państwa - partii w autorytatywne państwo narodu. Pojmowanie naszych zadań politycznych jako służby interesowi narodowemu, nie zaś jako walki o miejsce w obozie rządzącym oraz realna ocena położenia międzynarodowego sprawy polskiej, skłaniają nas do szczerego uznania sfery władzy w istniejącym dzisiaj państwie za domenę partii komunistycznej i jej satelitów. Zaznaczyć nadto trzeba, że nasze desinteressement wobec sfery władzy nie ulegnie zawieszeniu nawet w sytuacji względnej zmiany stosunku sił między władzą a społeczeństwem na korzyść tego ostatniego (zmiany porównywalnej do Sierpnia '80), która to chwila

powinna być wykorzystana do poszerzenia zakresu swobód życia narodowego, nie zaś do podjęcia próby "rewanżu" za Grudzień i obalenia władzy komunistów. Tylko pewność, że rewindykacja społeczeństwa nie przekroczy w takiej sytuacji Rubikonu walki o władzę, może ich skłonić do zawarcia rzeczywistego kompromisu. Kres obowiązywaniu tej zasady mogłaby położyć dopiero zasadnicza zmiana w międzynarodowym położeniu sprawy polskiej (równoznaczna z całkowitą zmianą światowej sytuacji politycznej), otwierająca szansę bezpośredniej walki o niepodległość. Do tego, nieznanego dzisiaj nawet w przybliżeniu, momentu (któremu polityka komunistyczna ma przecież prawo i możliwość przeciwdziałać, nie ma zatem nieuczciwego w wyznaczeniu horyzontu dla naszej "lojalności"), strefa władzy jest poza zasięgiem narodowych aspiracji, co zresztą nie oznacza ani bezdyskusyjności granic i sposobu sprawowania tej władzy, ani uznania jej za wyraz tychże aspiracji. Sprawdzianem funkcjonowania "historycznego kompromisu" władzy i społeczeństwa może być tylko widoczne zmniejszanie się obecności i kontroli partii w sferach ekonomii, kultury, wychowania i życia społecznego. Po stronie społecznej natomiast, odpowiedzią na widoczne postępy w dezideologizacji życia publicznego powinna być gotowość do poszukiwania sfery consensusu z władzą. Trzeba tu jednakowoż zauważyć, że jak na razie owa sfera jest określona wyłącznie negatywnie, tzn. władzę, Kościół, realistyczny odłam opozycji i tzw. milczącą większość łączy tylko jedno: niechęć do rewolucji i obawa przed jej ewentualnymi skutkami, różnie oczywiście motywowane.

3. Jednocześnie, niezależny ruch narodowy i cała patriotyczna opinia publiczna zachowuje prawo do swoistej "reservatio mentalis" co do niewyrzekania się myśli o realizacji - w opisanych powyżej okolicznościach niewyrzekania się myśli

powyżej okolicznościach - idei pełnej niepodległości państwowej,

co stanowi, ni mniej ni więcej, tylko obywatelski i narodowy obowiązek. Warto przypomnieć w tym miejscu słowa Romana Dmowskiego wypowiedziane przed 80 bez mała laty: "Państwo nie może kontrolować sumień, idei życia politycznego i moralnego. Polak - lojalny obywatel Prus czy Rosji może piastować ideę wyodrębnienia narodowego i niepodległego bytu państwowego. Trzeba ściśle określić do jakich granic można być lojalnym obywatelem państwa". ("Niemcy, Rosja i kwestia polska").

Nasze współczesne "piastowanie idei niepodległości" jeśli nie ma być rytualnym powtarzaniem zaklęcia mającego świadczyć, że spełniliśmy na pozycje "myśli zaprzecznej", musi wyrażać się poszukiwaniem już teraz, w warunkach niesuwerennej państwowości, czynników obdarzonych autorytetem pozwalającym uznać je za wyraz i symbol państwa, czynników, których woli podporządkowujemy się tak, jak - w normalnych warunkach - woli władz państwowych. Jedy-  
nym czynnikiem dysponującym dziś takim autorytetem jest instytucja prymatury, w której należałoby ujrzeć nie tylko deklaratywnie, godność interrexa. Wobec każdego zaś "rexa" naród ma pewne obowiązki. Poczuwając się do wypełniania tych obowiązków (a rezygnując z uzurpatorskiego "rozliczania"), inaugurowalibyśmy nader trafnie naszą edukację państwową.

Władysław Dąbrowski

**Karol Głogowski**

## **PAŃSTWO TO MY!**

W dyskusji o państwie, która ze względu na swój przedmiot ma zawsze charakter dyskusji politycznej, nie można mówić o Polsce w oderwaniu od realnie istniejącej formy państwowości polskiej jaką jest Polska Rzeczpospolita Ludowa. Społeczność międzynarodowa zorganizowana w ONZ uznaje istnienie państwa polskiego jako suwerennego podmiotu stosunków międzynarodowych, a 38 milionów Polaków - na około 50 żyjących na świecie - jest obywatelami PRL. Respektowanie tych faktów pozwala należycie uwypuklić różnicę jaka istnieje między politycznym a wszelkim innym pojmowaniem "Polski". Jeśli więc postawi się pytanie: czy PRL to Polska?, ale postawi się je w kontekście wskazanych realiów politycznych to odpowiedź na takie pytanie będzie oczywiście pozytywna. Jeśli bowiem by była negatywna wówczas należałoby stanąć na stanowisku analogicznym z prezentowanym w doktrynie prawno-politycznej RFN aż do lat 60-tych w odniesieniu do NRD, a mianowicie, że PRL wprowadzie istniejące ale ludzie podlegający jej władzy nie są jej obywatelami?! Absurdalność takiego ujęcia dla większości żyjących w kraju Polaków jest oczywista, co jednak nie wyklucza, że - tak w kraju, a tym bardziej poza jego granicami - pogląd kwestionujący polską obcość PRL, która jest tylko "obcą agenturą", ma swoich zwolenników. Ludzie tak myślący, zresztą z różnych powodów - nie zawsze

politycznych - nie utożsamiają się z "władzą" jako nie reprezentującą ani "ich woli" ani "ich interesów" oraz o b c ą ich wyobrażeniom o władzy państwowej, czy o władzy w ogóle. Ograniczając ilustrację historyczną do niezbędnego minimum można wskazać jako na przykład na znaną wypowiedź z końca lat 60-tych Stefana Lisielewskiego, który istniejący w Polsce reżim określił jako "dyktaturę ciemniaków"! Dla tradycyjnych środowisk inteligentkich skłaniających się ku tzw. merytu-kracji czyli rządów fachowców, tak zwana "władza ludowa" reprezentowana wtedy przez Władysława Gomułkę i jego ekipę mogła się jawić po prostu jako rządy "ciemniaków", a nie jako dyktatura komunistyczna, którą w tamtym czasie uosabiał tenże Gomułka, a dziś uosabia gen. Jaruzelski ze swoim rządem "profesorów" i kręgiem doradców zwerbowanych spośród intelektualistów. W sensie p o l i t y c z n y m istota rzeczy nie uległa jednak żadnej zmianie gdyż wtedy i obecnie w ł a d z ą nie zmienienie należy do PZPR, a nie - jak głosi Konstytucja - "do ludu pracującego miast i wsi". W tym kontekście nie tylko można, ale wręcz należy postawić pytanie: czy PZPR jako desygnat "władzy politycznej" w państwie rzeczywiście "kieruje się interesami Narodu Polskiego, jego suwerenności, niepodległości i bezpieczeństwa, wołą pokoju i współpracy między narodami" - jak to głosi Konstytucja PRL w art.6 ust.1., czy też - jak to ujmowała w swoim czasie doktryna amerykańska, że partia komunistyczna działająca poza ZSRR stanowi "obcą agenturę" - kieruje się ona celami międzynarodowego komunizmu, albo inaczej: realizuje przy pomocy polskich sił i środków międzynarodowe cele komunizmu, z którymi to celami zarówno Naród Polski jak i społeczeństwo polskie nie ma i nie chce mieć nic wspólnego? Odpowiedź na to pytanie jest nie tylko bardzo trudna, ale przede wszystkim złożona. Wprawdzie nie da się zaprzeczyć temu, że twórcy państwowi w postaci "Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" to nie tyle emanacja woli Narodu Polskiego ile dzieło aliantów Polski z czasów II Wojny Światowej, którzy za nas, aczkolwiek dla nas, podejmowali wiążące decyzje polityczne w sprawach dotyczących granic i rządu Polski, to jednak zgodnie z prawdą przyznać trzeba, że decyzje te nie tylko spotkały się ze sprzeciwem ze strony Polaków, ale także i z aprobatą. Taką postawę zajął część elit politycznych jak i znaczna część społeczeństwa polskiego - ludu polskiego. Jest to niewątpliwie dla wielu prawda bolesna, ale jest to prawda, bez uznania której grawituje się w sferę fikcji politycznej zamiast realiów politycznych. Także PPR, a następnie PZPR, nie były bezpośrednią kontynuacją "sekcji kominterau", jaką była rozwiązana w 1938 roku KPP, ani emanacją "Związku Patriotów Polskich" powstałego z inicjatywy i pod kierownictwem polskich i n t e r n a - c j o n a l i s t ó w z p. Wandą Wasilewską /?/ na czele; bodaj członkiem Rady Najwyższej ZSRR po "przyłączeniu" wschodnich ziem Polski do ZSRR, w wyniku tzw. referendum o przynależności państwowej z X/39 r. Jeśli uwzględnili się i te fakty oraz naturalny proces rozwojowy tej formacji politycznej liczącej dziś ponad 2 miliony - mniej lub więcej identyfikujących się z ideologią marksistowską Polaków, to wprost nie sposób zaprzeczyć temu, że Partia jest p o l s k a , nie tylko z nazwy. Będąc jednak patrią komunistyczną reprezentuje nadal model polityczny totalitarny, w którym "państwo" to nic więcej jak tylko a p a r a t przemocy klasowej, a nie żadne tzw. wspólne dobre zorganizowanej politycznie społeczności ludzkiej. Jest sprawą oczywistą, że taka koncepcja państwa nie może być akceptowana przez ogół obywateli, z których większość to

wyznawcy bądź to społecznej nauki Kościoła bądź zwolennicy koncepcji państwa obywatelskiego /demokratycznego/ lub innych koncepcji, nie wyłączając zwolenników restauracji w Polsce ustroju monarchicznego, wg. wzoru hiszpańskiego.

Pomijając anegdotyczną stronę tego aspektu zagadnienia jakim jest model władzy państwowej nie można jednocześnie przejść do porządku nad tym co bezpośrednio wiąże się z władzą tj. poczucie w a ż n o ś c i społecznej tych, którzy ją posiadają, piastują, sprawują itd. oraz sytuacji tych, którzy są pozbawieni lub ograniczeni w posiadaniu tej "wartości" jaką jest określona p o z y c j a w h i e r a r c h i i s p o ł e c z n e j . I to niezależnie od tego czy łączy się ona z materialnymi przywilejami i apanażami czy tylko ogranicza do społecznego p r e s t i ż u . Z doświadczenia historycznego wiemy - i w tym sensie Historia jest nauczycielką Życia - że dążenie do zdobycia władzy i posiadanie jej stanowi jeden z ważniejszych czynników w życiu społeczeństw ludzkich, a zatem i naszego społeczeństwa. To powoduje, że ludzie odsunęci od dostępu do władzy przez innych nie identyfikują się z nią, ogłaszają ją za władzę sobie "obcą", "wroga" i tp. Nawet marksiści znają sytuację a l i e n a c j i twórców ludzkich, które zamiast służyć przeciwstawiają się im jako siła wroga, szkodliwa, a nawet groźna dla ich bytu. Kategoria ta odnosi się także do opisu rzeczywistości politycznej, a więc także władzy państwowej w państwie socjalistycznym. W latach 40-tych kierownictwo radzieckie wysuwało zarzuty w stosunku do "tito-izmu", czy tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w Polsce o zdrady pryncypiów doktryny marksistowskiej /w jej wykładni stalinowskiej/, co miało prowadzić w Jugosławii, Polsce itd. do wyrażenia się systemu "dyktatury proletariatu", tj. demokracji większości uciskającej mniejszość: dawnych wyzyskiwaczy, w państwo typu "burżuazyjnego", czyli panowania mniejszości nad większością, opartego na dysponowaniu podstawowymi środkami produkcji. Przeciwko takiemu kierunkowi ewolucji systemu w latach 60-tych protestowali młodzi marksiści, zarzucając Partii zaradę interesów klasy robotniczej i wzywając do bezpośredniego przejęcia przez masę robotniczą władzy, w celu zabezpieczenia swoich interesów klasowych. Władza wyalienowana to władza n i e s p r a w i e d l i w a , to rząd, który myśli jedynie o tym, jak to powiedziano, aby "wyżywić samego siebie". Przeciwno takiej władzy, która przestaje troszczyć się o c a ł o ś ć społeczeństwa i staje się w nim tylko "grupą interesu", opozycja jest nie tylko uzasadnioną postawą, ale i u p r a w n i o n ą . Tak było w przeszłości - i tak jest obecnie, o czym świadczą wszelkie ruchy tzw. cywilnego nieposłuszeństwa, czy też obrony praw obywatelskich i ludzkich. Nie upraszcza to lecz komplikuje określenie państwa rozumianego jako "dobro wspólne", czy "ogólnonarodowe", w warunkach kiedy tylko część społeczeństwa - i to mniejsza - korzysta z dostępu do władzy publicznej; i tylko część narodu - wprawdzie większa - zamieszkuje w Polsce. Nie wydaje się też uzasadnionym pogląd łączący "unarodowienie" państwa z jego "dezideologizacją" rozumianą jako powrót do tzw. prywatnej inicjatywy, co zarówno wśród wielu przedstawicieli obecnej władzy jak również w szerokich kręgach społeczeństwa kojarzy się z restauracją stosunków społecznych kapitalistycznych, a więc oznacza regres historyczny. Tylko w takim znaczeniu można też mówić, że opozycja wobec istniejącej f o r m y państwa polskiego jest opozycją a n t y - ustrojową. Natomiast wyjaśnienia wymaga postulat "odpartyjnienia"

państwa skoro współcześnie władzę państwową sprawują nie "masy" ale partie polityczne, samodzielnie lub w systemie koalicyjnym. Postulat taki ma sens polityczny tylko w odniesieniu do sytuacji, w której dochodzi do utożsamienia Partii z Państwem i zmierzają do jej przewyższenia jako przejawu deformacji politycznej wyrażającej się w monopolizacji władzy państwowej w rękach jednej grupy społecznej i przekształcenia instytucji Państwa w narzędzie "woli i interesów" tej grupy. Nie sądzę by, w chwili obecnej, wystarczyło wysunąć taki postulat, bez wyraźnej opcji na rzecz pluralizmu politycznego, aby móc zmobilizować świadome ośrodki opinii społecznej. Tym bardziej kiedy łączy się on z proklamacją restauracji roli instytucji prymatury jako "godności interrexu", co zdradza pokusę pewnych odłamów społeczeństwa do irracjonalności stosunków politycznych, a nie ich demokracji. Na zewnątrz może być to odbierane z obojętnością a nawet przychylnością, ale w kraju powinno spotkać się ze stanowczym przeciwdziałaniem tych wszystkich, dla których rozdział Kościoła i Państwa jest faktem definitywnym i nieodwracalnym, pod żadnym pozorem. Próba odwrócenia "koła historii" świadczyć może o tym, że rzeczywistość "polityka polska" spełzła na pozycję "myśli zaprzecznej". Zaprzecznej, w stosunku do "współczesności"!

Karol Głogowski

## NIEUBŁAGANE PROCESY

Tekst niniejszy stanowi owoc dyskusji przeprowadzonej w gronie działaczy NSZZ "Solidarność" Regionu Świętokrzyskiego. Nie jest to jednak zapis dyskusji, ale jej podsumowanie, uwzględniające w miarę możności zróżnicowanie opinii.

Próba zreasumowania artykułu Wł. Dąbrowskiego - niezbędna dla czytelności dalszych wywodów nawiązujących do jego tez lub też z nimi polemizujących - nie jest łatwa. Autor dochodzi bowiem do końcowych wniosków, a nawet zaleceń, drogą krętą, by nie powiedzieć pokrętną. Najpierw założenia ogólne: 1/ zaskanianie się autorytetem Arystotelesa i św. Tomasza /a przy okazji również Pana Boga/ autor uznaje władzę za czynnik wyodrębniony od społeczeństwa, reprezentujący "zasadę autorytetu obdarzoną sankcją nadprzyrodzoną"; 2/ na zasadzie zgody powszechnej /"założenie oczywiste dla wszystkich z wyjątkiem anarchistów"/ przyjmuje, że lepsza władza zła, niż żadna. Przy wszystkich - szeroko opisanych zastrzeżeniach - dochodzi autor do wniosku, że "PRL jest w obecnych /.../ warunkach jedyną możliwą /.../ formą państwowości polskiej". I choć jest to forma "wysoce niezadowolająca" i wymagająca zmiany, jesteśmy gotowi udzielić swoistych gwarancji uznając władzę za domenę partii komunistycznej. Ponieważ jednak "narodowy i obywatelski obowiązek" każe nam piastować ideę niepodległości, więc rezerwujemy sobie

prawo podjęcia walki o władzę, gdy sytuacja na świecie radykalnie się zmieni. Taki skrót ułatwia dyskusję, a nie wypacza chyba nadmiernie myśli Autora.

Zacznijmy od końca, bo tu konstrukcja wydaje się najślabsza. Proponowane przez Autora gwarancje dla partii, moralnie mocno podejrzane, praktycznie nie mają żadnego znaczenia także dla samej partii. Uznając, że partia rządzi źle /a do tej, oczywiściej skądinąd, sprawy jeszcze powrócimy/ i obiecując jednocześnie, że jej rządy nie będą kwestionowane - stawiamy się w sytuacji moralnie bardzo wątpliwej. Jest to koncesja całkowicie nieuzasadniona, a jednocześnie pozbawiona znaczenia dla samej władzy. Nie chodzi już nawet o to, że strona, która w imię "wyższych racji" bez skrupułów kamała przyjęte zobowiązania, nie będzie miała zaufania także i dla cudzych obietnic. Ale przecież owa "reservatio mentalis" co do niewyrzekania się myśli o niepodległości oznacza ni mniej ni więcej, tylko zakwestionowanie pierwszego zobowiązania. Tłumacząc na zwykły język brzmi to bowiem mniej więcej: obiecujemy nie kwestionować waszego prawa do sprawowania władzy tak długo, aż powstaną realne możliwości by was jej pozbawić.

Powróćmy jednak do założeń początkowych. Zbyt lekko rozprawia się Autor z "demokratycznymi dogmatami" i zbyt wysoko w hierarchii wartości sytuuje państwo. Państwo jest tworem wtórnym. Podstawą jest naród, który ma język i terytorium, zaś przy nieco innym rozłożeniu akcentów - przede wszystkim kulturę. Takie rozumienie wywodzi się jeszcze z tradycji Starego Testamentu, z dziejów narodu wybranego. I choć władzy nie można traktować jako "biura usługowego", to jednak samo państwo jest zespołem instytucji powołanych do służenia narodowi. Nie: "świadczenia usług", ale właśnie: "służenia", bo do tego sprowadza się realizacja dobra wspólnego. Zadaniem władzy jest więc służba na rzecz dobra wspólnego, realizacja dobra wspólnego w konkretnych realiach epoki. I to jest - w ostatecznej instancji - miernik oceny. W polskiej tradycji - można tu wskazać przykłady z wybitnych dzieł literatury z czasów Odrodzenia - zakorzeniony jest topos Dobrego Pasterza. "Polski model władzy" ma bardzo mocne korzenie etyczne. Gdy mowa o toposie Dobrego Pasterza nie chodzi o pojęcie wyznaniowe - a w każdym razie nie wyłącznie - ale pojęcie mocno zakorzenione w kulturze.

Sposób powoływania władzy i mechanizmy jej kontroli zmieniały się oczywiście w dziejach. Nie da się jednak zaprzeczyć, że nie wymyślono dotąd nic lepszego niż mechanizmy demokratyczne - przy całej ich niedoskonałości. Stwierdzenia, iż w monarchii konstytucyjnej powoływanie rządu jest prerogatywą Korony - co autor wykozystuje jako element rozumowania - jest oczywiście dowcipem, bo przecież decyzja króla jest dokładnie "zaprogramowana" przez wyborców. Nie zmienia to zresztą faktu, że wielu monarchów spełnia ważną rolę społeczną jako symbol jedności państwa i narodu /przy różnym zresztą rozłożeniu akcentów - jest król Szwecji, ale król Belgów/, a także i polityczną jako "stały doradca" zmieniających się premierów. Na marginesie: znakomitym rozwiązaniem gwarancji dla partii komunistycznej jest przyznanie jej statusu monarchy - proponował to prof. Tymowski na posiedzeniu Rady Konsultacyjnej, więc chyba poważnie. Niechby powoływanie rządu pozostało domeną partii, byle był to rząd wybrany uprzednio przez naród.

Przeciwstawienie: państwo - stan państwowy to dziś konstrukcja teoretyczna. "Stan państwowy" jest raczej pewnym "pomysłem" anarchistów - i to pomysłem aktualnym przed kilkudziesięciu laty



- niż możliwością realną we współczesnej Europie. Obraz "czarnej dziury", w której po upadku rządu komunistycznego walczą wszyscy przeciw wszystkim w warunkach totalnej anarchii, jest konstrukcją propagandową mającą uzasadnić tezę, iż "nie ma Polski innej niż Polska socjalistyczna". Wbrew niektórym opiniom można wprawdzie wyobrazić sobie władzę jeszcze gorszą niż obecna. Ale nie jest alternatywą brak jakiegokolwiek władzy. Czysto propagandowy jest również argument powtarzany często - i znajdujący pewien odzew zwłaszcza w starszym pokoleniu - o zagrożeniu państwa przez sąsiadów, o "wymazaniu Polski z mapy Europy". Można łatwo wyobrazić sobie, że pogłębiający się rozkład gospodarki doprowadzi Polskę do sytuacji Rumunii czy wręcz Bangladeszu, ale nie widać sił - rzeczywistych sił - zainteresowanych likwidacją formalnej państwowości polskiej.

Argument o możliwości utraty formalnej suwerenności każe zatrzymać się przy tej właśnie sprawie, choć autor artykułu "Uznać państwo?" poświęca jej stosunkowo niewiele uwagi. Ekipa instalująca w Polsce władzę komunistyczną deklarowała oficjalnie, iż ojczyzną światowego proletariatu jest Związek Radziecki. Pociągało to za sobą daleko idące konsekwencje i faktycznie ograniczało suwerenność PRL /która - o czym warto pamiętać - nosiła jeszcze długo nazwę Rzeczypospolitej Polskiej i miała bezpartyjnego // prezydenta Bolesława Bieruta/. Jak dalece w wielu dziedzinach istotnych dla samoświadomości narodu ograniczenie suwerenności nadal obowiązuje można się przekonać choćby śledząc przepływ informacji związanych z pieriestrojką w ZSRR. W niektórych dziedzinach większy zakres suwerenności wobec Moskwy ma dziś Tallin, a nawet Mińsk niż Warszawa. To w Estonii opublikowano protokoły do paktu Ribentrop-Mołotow, w Polsce możliwy był dopiero przedruk tych materiałów. Na Białorusi ujawniono zbiorowe mogiły ofiar NKWD i nie zawahano się użyć w druku słowa "ludobójstwo". W Polsce po odkryciu grobów w Gibach instytucja, nosząca - jak na ironię - nazwę Instytutu Pamięci Narodowej, pospieszyła z zapewnieniem, że chodzi o groby ofiar hitleryzmu. Trudno określić, jak wiele jest tu dobrowolnych samoograniczeń suwerenności, ale fakt jest faktem.

Suwerenność władzy państwowej wobec innej władzy państwowej, samodzielność państwa na arenie międzynarodowej to jedna sprawa. Druga, to suwerenność samego państwa. Autor, który tak jednoznacznie deklaruje swój - i środowiska - katolicyzm, jakoś łatwo przechodzi nad współczesnym nauczaniem Kościoła na ten temat. Jednoznaczna zaś synteza tego nauczania przynosi wypowiedź Ojca św. Jana Pawła II z 26 sierpnia 1988. Papież mówił - i to w kontekście spraw polskich - "Wiemy, że państwo wtedy tylko jest suwerenne, gdy opiera się na suwerenności społeczeństwa, narodu; gdy dla niej stwarza właściwe warunki". W tym momencie pytanie o suwerenność PRL staje się pytaniem retorycznym. Warto przy okazji przypomnieć doskonały artykuł Stanisława Michalkiewicza "Suwerenność narodu czy suwerenność partii" /Tygodnik Powszechny nr 33 z 1988 r./, ukazujący w jaki sposób suwerenność partii gwarantowana jest przez system prawny PRL.

Skoro sprawowanie władzy w PRL jest suwerennym prawem partii, a faktycznie prawem kierownictwa partyjnego, tym samym naród polski nie posiada s w o j e g o państwa. W dodatku ci, którzy sprawowali władzę powołując się na mandat narodu - w rzeczywistości działali na szkodę tego narodu. Oczywiście stwierdzenie to dotyczy w różnym stopniu różnych ekip, ale przecież zasada ciągłości

władzy partii i odpowiedzialności partii za cały okres powojenny nie ulega wątpliwości. Działanie na szkodę narodu widoczne jest szczególnie ostro w dziedzinie oświaty i kultury. Podejmowano próby - na szczęście nie do końca uwieńczone powodzeniem - dokonania siłą zabiegu przebudowy świadomości narodowej. Działania w sferze gospodarki pozostającej bez przerwy pod bezpośrednią kontrolą władz partyjno-państwowych doprowadziły do sytuacji jaką dziś obserwujemy. Tzw. polityka gospodarcza stanowiła faktycznie niszczenie substancji w istotny sposób warunkującej funkcjonowanie narodu i państwa.

Nie sposób oczywiście zaprzeczyć, że PRL skonstruowała szereg instytucji wypełniających - lepiej lub gorzej - wiele funkcji państwa. Stwarza to sytuację, w której zacięra się ostrość pytania: czy PRL to państwo polskie. Dla większości mieszkańców tego kraju byłoby to zresztą pytanie niezrozumiałe. Bo jak nie państwo - to co? I jak nie polskie - to jakie? Nazwy innej niż "państwo" trudno poszukiwać. Gorzej z przymiotnikiem. Jeśli - za Papieżem - uznać suwerenność narodu za warunek suwerenności państwa, to PRL nie jest państwem narodu polskiego, nie jest państwem Polaków, nie jest - w konsekwencji - państwem polskim. Więc? - może zaryzykować określenie: państwo dla Polaków?

Totalne upaństwowienie wszystkiego, objęcie kontrolą instytucji państwowych części życia wiążę obywatela z tym państwem całą siecią zależności. Realizm nakazuje, aby dążyć do takiego kształtowania tych zależności, które pozwolą w miarę możliwości chronić interesy narodu i obywateli. W tym sensie należy zaaprobować określenie autora z "Polityki Polskiej", iż prowadzić trzeba walkę o państwo, a nie z państwem. Oczywiście, nie można rezygnować z dążenia do tego, aby instytucje składające się na istniejące państwo - niezależnie od tego, kto pozostaje u władzy - możliwie najlepiej spełniały swoją rolę w realizowaniu dobra wspólnego. Taka postawa wymaga, oczywiście, prowadzenia rozmowy z władzą /upierałbym się przy określeniu "rozmowa" - słowo "dialog" sugeruje istnienie jakiejś głębszej wspólnoty, która w tym przypadku nie istnieje/.

Czy możliwa jest rozmowa, jeśli władze nie będą miały wpiętych gwarancji dotyczących "nieprzekraczalnych granic" roszczeń, jakie mogą być stawiane? - Pisząc ten tekst we wrześniu 1988 mogę już napisać bez obawy pomyłki, że jest możliwa. Nad pewnymi sprawami można przejść do porządku dziennego. Nie gwarantując trwałości władzy komunistycznej, a ściślej władzy pezetpeerii /by użyć doskonałego określenia Kuśmierka/ - bo i na jakiej podstawie można to gwarantować - nie podejmujemy też działań, by tę władzę obalić dla samej zasady. Jeśli pezetpeeria potrafi - niech rzadzi nadal. Jeśli nie - może zaprosić innych by to robili, nawet w jej imieniu. Ale jeśli nie - procesy społeczne przebiegają nieubłagane...

O sprawach państwa, władzy nie można myśleć w kategoriach "odwetu" czy nawet "sprawiedliwej zapłaty". To ważne zadanie dla środowisk niezależnych, które mają jakikolwiek wpływ na świadomość społeczną. Zbyt często już niezadowolone społecznie było za sprawą propagandy spychane w kanał "rozliczeń". Dla władz było to najbezpieczniejsze.

Podobnie, nie należy zbyt głęboko wdawać się w analizowanie państwa jakie jest, choć jest to publicystycznie temat bardzo atrakcyjny. Ważniejsze, jakie państwo b ę d z i e .

Józef Łobodowski

### ROZBITKOWIE

Jak Jozue, pragnęliśmy zatrzymać czas,  
by go starczyło na zamierzone dzieła.  
Lecz fala, co nas niesła, wcześniej odpłynęła,  
stos, zapalony w nocnym mroku, zgasł.

Plątały się nam stopy wśród gęstych odziemków,  
zdawało się - za każdym pniem ktoś czarny chrapie...  
Stawaliśmy, krażyli, a zawsze po ciemku,  
nie mogąc dręgi rozeznac na mapie.

Za dnia nie było lepiej. Z rudych wzgórz  
oglądaliśmy gruzy. Skurcz w zaschniętych krtaniach.  
Wyły zwierzęta i oczy nam przesłaniał  
znad pobojewisk nie zdmuchnięty kurz.

Zostaliśmy, uparci, przy sprawie niełatwej  
- zapatrzeni, jak zawsze, w gwiaździstą ukudę -  
pod upałem i mrozem ładzić nową tratwę,  
maszt i żagiel i niełomny rudel.

Żyjących coraz gniewniej i zajadłej  
wiatr zanieśie i zaspą urośnie wyniosła.  
Przechodniu, znajdziesz, gdy uderzysz szpadlem,  
zepsuty kompas,  
starą mapę i ułamek wiosła.

## Janos Kis

### CZY POSIADAMY PRAWA CZŁOWIEKA

Od tłumacza

Przedstawiony poniżej materiał jest tłumaczeniem pierwszej części książki Janosa Kisa zatytułowanej "Czy posiadamy prawa człowieka?" /"Vannak - e emberi jogaink?"/, która ukazała się w 1986 roku nakładem Wydawnictwa Niezależnego AB. Tekst opatrzone przypisami tłumacza /oznaczanymi gwiazdką/, a pominięto w nim dwa ostatnie i połowę poprzedzającego je akapitu odnoszące się bezpośrednio do dalszych części książki. Programowy w istocie charakter tej rozprawy, odwołania do sytuacji w Polsce i w całej Europie czynią tak prezentowany fragment /a przede wszystkim jego trzecią część/ jak i całą książkę nowym i godnym uwagi zjawiskiem w ewolucji ideowej opozycji węgierskiej.

I. 1.

Wschodnioeuropejskie ruchy obrony praw człowieka wiele uwagi

poświęcają dyskusji nad taktyką polityczną, nie zadają jednak zasadniczych pytań filozofii politycznej. Przedmiotem odradzających się wciąż polemik jest kwestia "jak?" a problem "co?" i "w jaki sposób?". Tymczasem powołując się, wobec nieograniczonej władzy państwa-partii, tylko na prawa człowieka, mówi się o nich tak, jakby posiadały one ewidencję swej treści i wartości. Jeżeli zastanowimy się nad tym głębiej, to stwierdzimy, że taka postawa nie jest niczym niezwykłym. Istnieją dwie sytuacje, w których żądania oparte o prawa człowieka wymagają uzasadnienia. Pierwsza z nich pojawia się w państwie, którego przepisy nie uznają najbardziej elementarnych praw człowieka. W takich warunkach należy udowodnić, że prawa wobec państwa i siebie nawzajem przysługują, poddany już na mocy tego tylko, iż są oni istotami ludzkimi i to nawet wtedy, gdy nie kodyfikuje ich ustawodawstwo. Druga z kolei sytuacja występuje tam, gdzie uznane są pewne prawa podstawowe, ale gdzie ustawodawstwo nie rozstrzygnęło jeszcze niektórych ważnych spraw w sposób jednoznaczny. W takim wypadku ponownie pojawia się problem podziału, na których strony wnoszą swe pretensje prawne. Kto domaga się uznania swoich żądań, musi przedstawić taką teorię praw człowieka, która zawiera przypadki bezdyskusyjne i klasyczne, a w tych jeszcze nie sprecyzowanych rozstrzyga na jego korzyść. Kogo zdaniem czyjeś żądanie jest bezpodstawne, ten także musi próbować stworzenia teorii zawierającej ogół praw podstawowych, z której wynika natomiast sprzeczność wniosku w rozumowaniu przedstawiającym dane żądanie. /1/

Czasami istnienie nieskodyfikowanych przypadków spornych nie jest efektem niekompletności zbiorów praw. Idealna kodyfikacja jest niemożliwa: w społeczeństwach otwartych i zmieniających się twórcy prawa nigdy nie są w stanie przewidzieć wszystkich przyszłych i niewyobrażalnych przypadków jego stosowania. /2/ Jednakże nie wszystkie sprawy są wypełnione nierozstrzygniętym sporami prawnymi w jednakowym stopniu. Zdarza się, że regulacja danego zakresu spraw osiąga punkt końcowy, wyjaśnia każdą kwestię zasadniczą i ustawa /a także dotychczasowa praktyka prawna/ okazuje się niepełna tylko w pozbawionych większego znaczenia przypadkach spornych. Ale zdarza się i tak, że jedne po drugich następują zdarzenia wznęcające wielkie społeczne poruszenie i wymuszające powtórne przemyślenie kodyfikacji uważanej za już dokonaną. Są to okresy odradzania się filozofii prawa. Pojawiają się wtedy konkurujące ze sobą koncepcje i każda z nich musi pokazać swą zdolność dania bezdyskusyjnej odpowiedzi w kwestiach już wyjaśnionych i w tych nowopowstałych, jak i to, że jest w stanie odeprzeć wszelkie skierowane przeciw niej kontrargumenty.

Dobrym przykładem dla zobrazowania sytuacji pierwszego typu są dwa ostatnie stulecia poprzedzające Rewolucję Francuską, kiedy to prawo nie uznawało jeszcze równości i wolności poddanych, ale powszechne stawało się już żądanie, by właśnie te zasady stały się podstawą systemu państwowego. Wtedy powstała teoria, która opierając się na zeświecczonej wersji tomistycznego prawa natury ogłaszała koncepcje praw człowieka zdecydowanie bardziej podstawowych i naturalnych.

Dla zobrazowania sytuacji drugiego typu służą przykładem spory prawne prowadzone od kilkudziesięciu lat w produjących demokracjach liberalnych. Obecnie, konstytucyjny charakter podstawowych praw człowieka jest w nich o wiele bardziej jednoznaczny niż kiedykolwiek wcześniej, a jednak i teraz staje się przedmiotem

dyskusji kwestia, na jakiej w ogóle podstawie możemy mówić o prawach człowieka. Dzieje się tak, ponieważ opinia publiczna jest podzielona przez cały szereg ostrych sporów prawnych, a ich rozstrzygnięcie w każdym przypadku zależy właśnie od podstawowej wykładni praw człowieka. Jest więc przedmiotem sporu, czy prawo do życia zabrania eutanazji, czy nędza stwarza podstawę prawną do dotowania państwowego, czy dekoninktura gospodarcza może usprawiedliwić redukcję tych dotacji, czy państwowe programy zmierzające do poprawy sytuacji mniejszości rasowych naruszają prawo białych do równości, czy wolno ograniczać rozpowszechnianie utworów pornograficznych, czy dozwolone jest urzędowe ściganie mniejszości seksualnych uznanych przez opinię publiczną za niemoralne, jakie prawa przysługują oskarżonym i osądzonym w sprawach karnych, jakie prawa powinny dotyczyć cudzoziemców i ich rodzin podejmujących w jakimś kraju pracę na stałe i tak dalej. Nie powinno wywoływać więc niczyjego zdziwienia, że w zachodniej - a zwłaszcza w anglosaskiej - teorii prawa i filozofii politycznej znowu powstała dyskusja co do zasad, na których podstawie możemy mówić o prawach człowieka.

## I. 2.

W wypadku wschodnioeuropejskich państw bloku radzieckiego podniesienia kwestii teoretycznych nie wymusza ani pierwsza ani druga z przedstawionych wyżej przyczyn. Nie jesteśmy przecież w sytuacji XVIII-wiecznych krytyków absolutyzmu, wszak wraz z przyjęciem Międzynarodowej Konwencji Praw Człowieka i Obywatela nasze państwa w sposób formalny uznały prawa człowieka. Dzięki temu w żądaniu przestrzegania zasady obywatelskiej i politycznej wolności oraz równości możemy powołać się na obowiązujące przepisy prawne. Nie jesteśmy jednak również w sytuacji działających po II wojnie światowej liberalnych reformatorów i obrońców praw człowieka na Zachodzie, którzy mieli możność wszczynania walki o normy prawne nie sformułowane dotąd w sposób ostateczny i jednoznaczny opierając się o jeżeli nawet nie idealne, to uznane i w znacznej mierze spełniające swe regulujące role zasady konstytucyjne. Albowiem u nas najczęściej także te prawa są tylko na papierze lub w tekstach umów międzynarodowych, których nie kwestionuje nikt poważnie przyjmujący istnienie praw człowieka.

To, czy zakazowi powinna podlegać komercyjna pornografia, szerzenie poglądów rasowych jest co prawda przedmiotem burzliwych dyskusji wśród obrońców praw człowieka, ale dla wszystkich oczywisty jest zakaz cenzurowania utworów artystycznych lub krytyk działania instytucji politycznych. Nie osiąga się bezwzględnej jedności poglądów w sprawie tego, czy jest czynnością podlegającą karze, gdy demonstrując z powodów politycznych przeciwstawia się uzbrojonym oddziałom bezpieczeństwa skierowanym do ich rozbicia, nie podważa się natomiast prawa do demonstracji i pokojowego gromadzenia się. Nie wszyscy akceptują użycie przemocy wobec kamistrzów lub ogłoszenia strajku przez przywódców związkowych bez uprzedniej zgody ogółu członków, ale w powszechnym przekonaniu jest stwierdzeniem bezdyskusyjnym, że jeżeli robotnicy wspólnie zdecydują o przerwaniu pracy, powinno ich objąć prawo do strajku. I dlatego ruchy obrony praw człowieka w krajach Europy Wschodniej domagają się faktycznego przestrzegania takich właśnie praw: jednoznacznych i podstawowych - przestrzegania przez państwo tych jego zobowiązań, które w sposób bezdyskusyjny zawarte są w konwencji praw obywatel-

skich i politycznych. Taką taktykę wymuszają okoliczności polityczne; wszak do tego, by w sporze o diskutowanych przypadkach granicznych można było sukcesywnie argumentować za przeprowadzeniem regulacji prawnej, trzeba przede wszystkim zapewnić należyte poszanowanie dla podstawowych praw człowieka. A wreszcie: gdy zgłaszamy pretensję do jakiegokolwiek prawa, to niezbędnym warunkiem obrony tego żądania jest istnienie jakiegokolwiek chociażby minimum wolności wypowiedzi, prasy, gromadzenia się.

Również i celowość działania politycznego wymaga, byśmy zaczęli od spraw podstawowych jako od tych, w których łatwo jest uzyskać oparcie w szerokich kręgach opinii publicznej niż w dyskusyjnych kwestiach granicznych. Problem pornografii doprowadza do podziałów opinii, wolność wypowiedzi artystycznej, dyskusji naukowych i krytyki politycznej jednoczy ją. Państwu natomiast trudniej jest podtrzymywać pozory zadoścuczynienia konwencjiom praw człowieka, kiedy narusza ono wolności podstawowe, jak i kiedy ociąga się z uznaniem praw jeszcze dyskusyjnych. Jest coś nader istotnego w ustalaniu, które w połowie lat 70-tych poczyniono w Polsce i gdzie indziej: że zapewnienie podstawowych praw człowieka może być wyobraźalnym kompromisem także dla państwa, jako iż nie naruszałoby ono ani partyjnego monopolu na władzę, ani geopolitycznych interesów Związku Radzieckiego; zmianę przyniosłoby tylko w relacjach władzy i społeczeństwa. /3/

Czy może to jednak wystarczyć dla odniesienia sukcesu, czy partyjną władzę państw bloku wschodniego można zmusić do przestrzegania podstawowych praw obywatelskich i politycznych - to pytania bardzo trudne, acz jedynie praktyczne. Czego i z jakich powodów powinny przestrzec? - to wydaje się bezdyskusyjne - dosyć byłoby wskazać na odpowiednio paragrafy Konwencji, dosyć powołać się na wyczucie prawne społeczeństwa.

### I. 3.

A jednak nie wolno się nam zadowolić tymi oczywistymi odpowiedziami. Nie wolno już choćby ze względu na niebezpieczeństwo prowincjonalizmu. Niezwracanie uwagi na to, że w innych częściach świata, w demokracjach liberalnych istnieje wiele przypadków spornych dzielących opinię publiczną, że ogniskują się wokół nich polemiki różnych nurtów filozoficznych jest zjawiskiem nieprawidłowym. Nie jest słuszne przyjmowanie wygodnej postawy głoszącej, że my - wschodnioeuropejczycy - nie musimy zajmować stanowiska w ideologicznych dyskusjach dotyczących neokonserwatyizmu opierającego się na apologetyzowaniu zasad laissez faire i nierówności społecznej. Żyjemy bowiem w tym samym świecie, z tymi samymi spieramy się koncepcjami. Tak, jak nie można było odseparować naszych krajów od skutków gwałtownych podwyżek cen ropy, tak nie sposób poważnie myśleć, że uda się nam ominąć problem przedstawionych powyżej przypadków spornych, bądź że upłynie jeszcze wiele czasu zanim i u nas sprawy te staną się naprawdę ważne.

Niektóre z nich stały się takimi już dzisiaj. Na Węgrzech od końca lat 70-tych szybko wzrasta liczba osób żyjących w faktycznej biedzie i stan taki nieuchronnie powoduje powstanie następujących pytań: czy ludzie ci, niezależnie od swoich kwalifikacji, nie mają zamieszkania, sposobów życia - po prostu dlatego, że są ludźmi - mają prawo do jakiejś możliwej do zaakceptowania egzystencji? Jeżeli prawo takie istnieje, to: wobec kogo ich ono dotyczy i jak jest możliwe do pogodzenia z faktem zmniejszania się źródeł środków przeznaczonych na sprawy socjalne. Jeżeli prawa takiego nie

ma, to "jakie będzie społeczeństwo, które dopuszcza podział populacji na dwie grupy?". /4/

Pozostałe kwestie mogą pojawić się na porządku dziennym łada moment. Spadek liczby ludności na Węgrzech w sposób znaczący zmniejsza nietolerancję wobec zjawiska nieposiadania dzieci w ogóle lub posiadania tylko jednego, zwiększa natomiast - w połączeniu z innymi czynnikami - strach przed szybko powiększającą się liczbą Cyganów. Nasila się żądanie, by państwo w sposób bardziej stanowczy ingerowało w decyzje dotyczące modelu rodziny: wobec ludności węgierskiej /uznanej za "bardziej wartościową"/ ograniczając prawo przerywania ciąży, a wobec ludności cygańskiej /uznanej za tych "wybrakowanych" Węgrów/ zdolności rozrodcze. /5 x/

Z kolei rozprzestrzenianie się choroby AIDS może uczynić dyskusyjną sprawą równości prawnej homoseksualistów. /6/

Jednakże mówimy tutaj nie tylko o sprawach prowincjonalnych: nie tylko o tym, że w wymienionych powyżej sprawach nie będziemy umieli zająć stanowiska albo zajmiemy nie najlepsze, o ile nie określimy naszego stosunku do ideologicznej prawicy i lewicy liberalnych demokracji zachodnich. Bez względu na to, czy nam się to podoba, czy nie, i na naszym terenie zderzamy się z liniami głębokich podziałów ideologicznych.

W połowie lat 70-tych wspólny obóz obrońców praw człowieka objął marksistów, socjaldemokratów, liberałów, konserwatystów, ateistów, wierzących - abstrahujących od kwestii światopoglądowych rzeczników praw jednostki. Powszechna była opinia, że nie warto forsować swej wizji podstawy ideowej, na której te same klasyczne prawa człowieka uznano się za ważne; głoszono, że Europie Wschodniej potrzeba nie polityki lewicowej czy prawicowej, ale takiej, która umożliwiłaby istnienie i lewicy i prawicy. /7/ Oczywiście i w tym czasie miały miejsce dyskusje ideowe, ale nikt nie przyznawał im przesadnego znaczenia. /8/

W Polsce zaś procesy podziałów ideowych zostały przyspieszone już od wiosny 1981; powstrzymał je tylko grudniowy zamach stanu. I nie ma w tym nic zaskakującego: od kiedy wspólne cele minimalne zaczynają stawać się rzeczywistością, pytanie "której dalej" rozbija i przekształca wszelkie dotychczasowe sojusze. Ujęte w nawias kwestie sporne wymagają jawności jednak także i wtedy, gdy unieruchomienie pewnego ruchu społecznego trwa dłuższy czas, gdy nie jest oczywiste, czy nawet cele minimalne mają szansę urzeczywistnienia się. W Polsce właśnie teraz rozchodzą się drogi prawicowego i lewicowego nurtu ruchu opozycyjnego. /9/, słyszy się, że podobny podział przebiega także w Łonie Karty 77. Polityczna wspólnota nie może już opierać się na podstawie omijania różnic ideowych.

Na Węgrzech nie pojawiają się oznaki istnienia sprzeczności podobnych do wyżej opisanych, przyczyna takiego stanu rzeczy nie jest jednak siła wewnętrznej solidarności demokratycznej opozycji węgierskiej, ale jej izolacja. Nigdy nie powstało u nas szerokie poparcie dla sprawy praw człowieka, większość ludzi, którzy zajęli się tym problemem, prezentowała bardzo podobne poglądy polityczne i światopoglądowe. Walczący o prawa człowieka i inne grupy wchodziły w przypadkowo powstałe lub trwalsze sojusze dla innych spraw: obrony mniejszości węgierskiej w krajach sąsiednich, ochrony środowiska naturalnego, autonomii życia kulturalnego. Współdziałanie tego typu wymaga nieco finezji i zakłada, że nikt nie interesuje się nadmiernie motywacjami politycznymi pozostałych.

Sytuacja taka nie daje jednak pewności, iż ogłędne omijanie

kwestii spornych jest zawsze celowe. Bez wątplenia jest tak w sprawach typu ochrony środowiska naturalnego, wokół których grupują się bardzo różnorodne ideologie /na przykład wśród zachodnich "zielonych" silne są wpływy konserwatyzmu i anarchizmu/, które są natomiast niejako niezależne od tych ideologii, a największą grupę ludzi interesują nie z racji zasad, a bezpośrednich interesów. Ale już na przykład problem obrony mniejszości narodowych otacza szereg pytań natury ideowej: czym jest naród i solidarność narodowa, czy naród jest wspólnotą, i - jeżeli tak - to jaki jest stosunek między prawami jednostki a jej obowiązkami wobec tej wspólnoty; jaki natomiast pomiędzy uniwersalnymi zasadami politycznymi i etycznymi a tradycjami narodowymi, pomiędzy wiernością narodowi a kosmopolityzmem, itd. W ruchu ludowym /xx/, który był pierwszym rzecznikiem sprawy mniejszości narodowych poza granicami państwa istnieje tradycja dająca na każde pytanie odpowiedź tradycyjnie liberalną i demokratyczną, jej najbardziej znaczącym przedstawicielem jest Istvan Bibo /xxx/; także większa część życiowego dorobku Gyuli Illyesa /xxxx/ pozwala umieścić go w tym nurcie.

Ale miał ten ruch tradycje także w mniejszym lub większym stopniu antyliberalne i antydemokratyczne, od László Nemetha /xxxxx/ do Dezsego Szabo /xxxxx/ i dalej. Moim zdaniem, najbardziej charakterystyczną cechą dla dzisiejszego populizmu węgierskiego jest pozbawiony elementu wyboru powrót do obu tych tradycji: nie ma w nim kierunków wzajemnie się od siebie odcinających. Zwolennik sprawy obrony praw człowieka, który za swoją uważa tradycję wywodzącą się od Bibo i mimowolnie przeciwstawia się wszelkiemu antyliberalizmowi i antydemokratyzmowi, powinien uważać za pożądane, by nie zatarły się różnice pomiędzy dwoma rodzajami węgierskiego populizmu. Dla tej jasności potrzebne jest z jego strony otwarte przemyślenie tego, czego wymaga liberalne i demokratyczne rozwiązywanie problemów narodowych. /10/

Tak więc i my, Węgrzy, mamy powody, aby wyjść poza etap samego wyliczania oczywistych praw człowieka. Zakładając naturalnie, że różnice w poglądach mogą mieć rzeczywiste konsekwencje. Nie jest to jednak pewne. I dzisiaj można prezentować opinię sprzed dziesięciu lat: w zsovietyzowanych krajach Europy Wschodniej pole manewru jest tak małe, że tak czy inaczej można zrobić tylko to, co do czego zgadzają się wszyscy, a wywieszanie ideologicznych sztandarów może mieć znaczenie wyłącznie symboliczne. Jeżeli byłoby to stanowisko słuszne, to najwłaściwszy byłby powrót do pozbawionego dylematów ideologicznych consensusu lat 70-tych. Ale czy rzeczywiste jest to stanowisko słuszne? Po pierwsze nie deprecjonujemy politycznego znaczenia gestów symbolicznych. One przecież określają, gdzie i jak wyznaczają granice pomiędzy "my" i "oni" mniejsze bądź większe grupy społeczne; z kim, jakie przypisując mu poglądy i na jakiej podstawie się konfrontują. Na przykład w węgierskim ruchu ludowym nieporównanie większą rolę spełniał element symboliczny - życia w zgodnej wspólnotcie, pielęgnowanie tradycji - niż polityczne cele i taktyki, a tylko najbardziej naiwni mogą nie uwzględnić politycznego znaczenia populistów.

Po drugie, pole manewru jest małe, możliwe nawet, że mniejsze niż przed 10 laty, a jednak nie jest to powodem uznania dociekań ideowych za zbyteczne. Żądania praw człowieka z lat 1980-81 jawiły się bezproblemowo, albowiem wydawało się, że zakreślają one granice twórczego kompromisu. Nie chciałbym tutaj włączać się do historycznego sporu o to, dlaczego ten kompromis z lat 1980-81 w końcu



nie zaistniał: dlatego, że władza przyjęła go tylko pozornie, czy też dlatego, że zbyt późno zdecydowała się na ugodę, kiedy to już jej własny aparat zdemoralizował się, a przeciwnymi jej porywami mas nie można było faktycznie kierować; dlatego, że ruch w ekstremalny sposób posuwał się zbyt daleko, czy też dlatego, że w decydującym momencie nie posunął się dostatecznie daleko... /11/. Zarzykowałbym jedynie takie stwierdzenie: nie jest pewne, że w ramach rozsądnie sformułowanego programu minimum w każdym wypadku może się zmieścić ogół podstawowych praw człowieka. Zdarzyć się może, że konieczne jest zadowolenie się osiągnięciem skromniejszych aktów przejściowych. Ale ten, kto myśli o taktycznych ustępstwach, powinien dokładnie wiedzieć, czym różni się akceptacja zaważenia praw człowieka od rezygnacji z nich. Nie wolno mu postępować do jakiego bądź kompromisu, nie może być mu obojętne, czego się w jego ramach wyrzekamy.

Problem, na ile celowe jest wypróbowywanie elastyczności systemu, jest zawsze zależny od aktualnej sytuacji. To jednak, z czego możemy zrezygnować w naszych żądaniach praw człowieka, to już kwestia zasad. Gdy tylko zrozumiemy, że konwersja nie określa z góry naszych celów minimalnych, natychmiast powstaje problem filozoficzny: na jakiej podstawie donagamy się praw człowieka.

W części końcowej mej pracy będę się starał wskazać, że różnicę ideową naprawdę posiadają swe praktyczne następstwa: innym kierunkom rozwoju będziemy przyznawać pierwszeństwo, inne kompromisy uznawać za dopuszczalne w zależności od przyjętej przez nas teorii praw człowieka. Ale długą jeszcze drogę musimy przebyć, zanim od filozofii powrócimy do polityki.

Janos Kis

#### Przypisy:

1. R. Dworkin "Hard Case" /w:/ Dworkin, "Taking Rights Seriously", London 1977
2. H.L.A.Hart, "The Concept of Law", Oxford 1961, ss 120-132
3. Koncepcję tę najjaśniej ujął Jacek Kuroń w "Myślach o programie działania", Ruch Oporu, Paryż 1977. Po węgiersku publikacja ta ukazała się w roku 1978 w formie maszynopisu.
4. "O prawie związanym z pewnym minimum poziomu życia" i o politycznych konsekwencjach zapoznawania tego prawa pisze Gabor Vagi w swej rozprawie "Infrastruktura a 'reforma'" /.../
5. Takie głosy dało się słyszeć w dyskusji na temat przyrostu ludności zorganizowanej w 1981 roku przez oficjalne pismo "Życie i literatura".
6. Jesienią 1985 roku, po stwierdzeniu pierwszych przypadków AIDS na Węgrzech, resort służby zdrowia zarządził poddanie homoseksualistów obowiązkowym badaniom. Wymagałoby to oczywiście ich rejestracji; urzędowy komunikat nie wspomina jednak ani słowem o zapewnieniu ewidencjonowanym tajemnicy danych i uznaniu za podlegające karze wykorzystywanie kartotek do innych celów.
7. Bardzo jasno sformułował to powszechne przekonanie Miklos Harszti w artykule zatytułowanym "Kolekcja urojeń obrońców prawa" zamieszczonym w numerze pierwszym z 1986 roku niezależnego pisma "Hirondo".
8. W ten sposób widzi tamte sprawy także Adam Michnik w "Takie czasy", Londyn 1985.
9. Broszura Piotra Wierzbickiego zatytułowana "Myśli staroświeckiego Polaka" uważana jest za manifest polskiej prawicy, ukazała się w Warszawie w roku 1985. Jedną z odpowiedzi lewicowych: D.Wróblewski, "Wobec prawicy", Aneks 40/1985, s.119-130. Przeciwnictwa lewicy i prawicy podzieliły obóz rosyjskich dy-

sydentów już o wiele lat wcześniej, pod koniec lat 60-tych. Patrz A. Yanov, "The New Russian Right", Berkeley 1978. Jeden rozdział tej książki zamieściło pismo "Beszelo" pt. "Nowa prawnica rosyjska".

10. Nie jest przypadkiem, że Miklós S. Tamis - przedstawiciel węgierskich kół opozycji demokratycznej najczęściej zajmujący się kwestiami ideologicznymi - najwięcej pisał o kwestii narodowej. Niedawno skończył książkę pt. "Idola tribus. Moralny sens poczucia narodowego".
11. To, co jako osoba postronna, mogłem powiedzieć o tych sprawach, zawarłem w artykule "Długi marsz Solidarności" zamieszczonym w piśmie "Beszelo" z 1983 roku /nr 5-6/.

- x - przedstawiony tu dylemat jest pogłoską trwającej na Węgrzech polemiki dotyczącej kwestii genetycznej "jedności społeczeństwa węgierskiego, od wieków będącego nie tyle potomkiem ugrofińskich koczowników, ile różnych innych ludów /ludy tureckie, Chazerowie, Niemcy, Słowianie, Żydzi/.
- xx - ruch ludowy - nieformalny związek działaczy politycznych i twórców, działający głównie w okresie przedwojennym i w czasie wojny, skupiający się na sprawie sytuacji wsi węgierskiej, współpracy narodów Europy Środkowej, demokratycznej przebudowy państwa. Jednoczył głównie osoby o połamach lewicowych lub krytycznych wobec ówczesnych władz. Jest jednym z głównych wzorów z przeszłości dla części współczesnej opozycji węgierskiej.
- xxx - J. Bibo - prawnik, historyk, polityk węgierski, jeden z przywódców powstania 1956, później intelektualnej opozycji węgierskiej. Zwolennik tzw. "trzeciej drogi", akcentujący jednak swój związek z tradycją demokratycznego socjalizmu. Zmarł w 1979 roku. Pełne wydanie jego dzieł ukazało się na Zachodzie, a reprezentatywny wybór opublikowało wiosną 1986 roku oficjalne wydawnictwo "Magreto".
- xxxx - G. Illyes - jeden z najwybitniejszych poetów węgierskich XX wieku, pisarz i eseista. W ostatnich latach piszący dla wydawnictw niezależnych, ale niezmiennie popierany, wydawany i uznawany przez władze kraju.
- xxxxx - L. Nemeth - pisarz, eseista, myśliciel węgierski. Rzecznik tzw. "rewolucji jakościowej", moralnego postępu w rozwoju społeczeństwa, wzajemnego poznania trudnych losów krajów Europy. Jego eseje "wschodnioeuropejskie" i inne utwory wypełniała atmosfera znajomości innych nacji /np. Polaków/, przyjaźni wobec nich.
- xxxxxx - D. Szabo - pisarz, publicysta i myśliciel. Esencją jego dzieł, pisanych ekspresjonistycznym językiem, było przekonanie o konieczności obrony interesów chłopstwa, jako podstawy istnienia narodu węgierskiego wobec ekspansji mniejszości żydowskiej /przemysł, życie kulturalne/ i niemieckiej /część życia politycznego, armia/ i wysługujących się im węgierskich warstw wyższych. Poza kilkunastoma opowiadaniem i fragmentami wspomnień żadnego z jego utworów nie wydano na Węgrzech po 1945.

/W poprzednim numerze PRZESWITU zamieściliśmy wywiad naszego wyśannika z Janosem Kisem.

Red.

# archiwum idei

**Hans-Christof Kraus**

## **KAROL LUDWIK VON HALLER - IDEOLOG RESTAURACJI**

Kto dzisiaj słyzy nazwisko Haller, myśli najpierw o Albrechcie Hallerze, "poecie Alp", wielkim przyrodniku i organizatorze nauki, historyku i myślicielu politycznym epoki Oświecenia. W początku wieku XIX było jednak inaczej: wtedy sława "wielkiego Hallera" została przyćmiona przez chwałę jego wnuka, Karola Ludwika, o którym będzie tu mowa.

Syn urzędnika państwowego i również historyka, Karol Ludwik v. Haller, urodził się 1 sierpnia 1768 r. w Bernie. Pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin berneńskiego patrycjatu, w którego rękach znajdowała się wówczas jeszcze nieomal wyłączna władza polityczna. Kiedy Haller - który bardzo wcześnie zwrócił na siebie uwagę niezwykłymi zaletami ducha - już jako 18-latek wstąpił do służby państwowej Berna, jego świetna kariera polityczna wydawała się pewna. Niezależnie od pracy w kancelarii kantonu Berna wystąpił szybko jako publicysta. Pierwszym sukcesem stały się wydrukowane w 1794 r. "Mowy o patriotyzmie". W następnych latach Haller brał udział w misjach poselskich, które zawiiodły go do Italii, Niemiec i wreszcie do Francji. W Mediolanie berneńska delegacja spotkała się kilkakrotnie z generałem Bonaparte, którego osobowość wywarła na Hallerze mieszane odczucia. W Paryżu młody i wykształcony Szwajcar zawarł dalsze interesujące znajomości docierając m. in. do takich osobistości jak Talleyrand czy pani de Staël. W trakcie ponownego pobytu w Bernie w 1798 r. inwazja francuska zakończyła nagle karierę polityczną Hallera, i od tej pory stał się on jednym z najbardziej zdecydowanych i namiętnych przeciwników rewolucji francuskiej oraz jej apologetów ze wszystkich krajów Europy. Jeszcze okragły rok udawało mu się redagować w Bernie ostro antyrewolucyjne "Roczniki Helweckie", ale wkrótce wrogowie piętnujący go jako "sofistę" i "Katylinę" zdołali uzyskać zakaz wydawania tego czasopisma. Sam zaś Haller zagrożony aresztowaniem musiał salwować się ucieczką za granicę. W południowych Niemczech i w Austrii znalazł szybko kontakt z emigrantami szwajcarskimi, na rzecz których zaczął wkrótce działać z dużym nakładem sił jako utalentowany publicysta. Jednak już w rok później był znowu w Szwajcarii: dostawszy się do świty arcyksięcia Karola przybył z wojskami austriackimi do Zurychu, chociaż wkrótce na skutek kontrataku Francuzów musiał znowu uciec. Pozostał dalej w kancelarii arcyks. Karola w Wiedniu, dla którego zredagował serię opracowań dotyczących politycznego stanu Szwajcarii. Wkrótce koniunktura znowu uległa zmianie i kiedy w jego ojczyźnie konserwatyści odzyskali wpływy Haller został powołany /w 1806 r./ na katedrę ogólnego prawa państwowego, historii krajowej i kameralistyki w Akademii Berneńskiej /mimo iż sam nigdy nie ukończył studiów/.

Jego działalność dydaktyczna stała jednakże w niekorzystnej

konstelacji: większość studentów bojkotowała wykłady okrzyczanego "reakcjonistą" profesora. Również z "spostępowymi" kolegami-profesorami doszło wkrótce do starcia. Nie przysparzała mu też oczywiście przyjaciel równoległa do profesury działalność w charakterze cenzora.

W pracy naukowej Haller koncentrował się na wypracowaniu podstaw własnej filozofii państwa. W 1808 r. opublikował "Podręcznik ogólnej nauki o państwie", w którym po raz pierwszy sformułował tę filozofię w zasadniczych rysach. Trzy lata później ukazała się "Polityczna religia, albo biblijna nauka o państwach", będąca bardziej antologią źródeł niż samodzielna rozprawa. Haller przebadał Biblię w gorączkowym poszukiwaniu dowodów na poparcie własnej teorii. Dzieło to stało się, wedle jego własnych słów, rodzajem "politycznego katechizmu". Wkrótce potem zrezygnował z profesury i w 1814 r. został wybrany do Wielkiej Rady Berna. Odtąd mógł się poświęcić całkowicie opracowaniu długo już przygotowywanego, głównego teoretyczno-politycznego, dzieła.

Pierwszy tom "Restauracji nauki o państwie" - który to tytuł dał nazwę całej epoce dziejów Europy ponapoleońskiej - ukazał się w roku 1817. Zawierał on prawie wszystkie główne myśli tej nowej politycznej filozofii, które w następnych pięciu tomach zostały opracowane we wszystkich szczegółach. Istota poglądu Hallera zaszła się na zakwestionowaniu oświeceniowych teorii "umowy społecznej" jako źródła państwa i władzy, w których widział on najgłębszą przyczynę politycznego zła epoki współczesnej. Swoje własne zadanie widział w ustanowieniu "prawdziwie antyrewolucyjnej nauki". Główną myśl tej nauki formułował następująco:

"Stoję na gruncie nieprzerwanego porządku naturalnego, który zwę porządkiem boskim; zespołu nieskończenie różnych, wolnych układów prywatnych zamiast kontraktu społecznego; naturalnego prawa boskiego miast woli powszechnej; zupełnego zachowania prywatnej wolności zamiast jej wyprzedawania; suwerenności tego, kto jest niezależny, kto posiada władzę i posiada majątek miast suwerenności ludu; osobiście posiadanej i sprawowanej władzy oraz prawa zamiast władzy delegowanej; powszechnych obowiązków praw wobec człowieka i ładu społecznego miast wymyślonych nakazów i delegowanych urzędniczych obowiązków; rządu zajmującego się wszystkimi sprawami; toku spraw państwowych od góry do dołu i zachowania pozycji ojca przed dziećmi, księcia przed ludem, miast odwrotnie."

Krótko mówiąc, Haller uważa, iż porządek naturalny w społeczeństwie nie powinien być usunięty przez jakiś kontrakt socjalny lub polityczny /jak to ma miejsce w tezach Hobbesa, Locke'a, Rousseau, Kanta i wielu innych/, lecz winien trwać w niepomniejszonym stanie oraz określać bezpośrednio wszystkie polityczne stosunki. Prawo natury, że silny panuje, a słaby słuca, pozostaje niezmiennie ważne; można je odnaleźć wszędzie w istniejącej rzeczywistości - w rodzinie i we wszystkich stosunkach służby i wynagrodzenia. Władza jest ustanowiona przez Boga; każdy monarcha jest namiestnikiem Bożym i rządzi z łaski Bożej. Obok prawa natury, legitymację panowania wyższego nad niższym daje prawo moralne zobowiązujące silniejszego do bycia obrońcą i dobroczyńcą słabego. Prawo panującego nie jest wcale absolutne, będąc ograniczone przez prawa naturalne i nabyte poddanych.

W następnych tomach "Restauracji" rozwija Haller typologię rodzajów państw. Tak tedy, tematem tomu drugiego jest państwo patrymonialne, a więc monarchiczna forma panowania właściciela ziem-

skiego nad żyjącym na obszarze jego władania ludem. Cały obszar państwa patrymonialnego jest prywatną własnością panującego, co znaczy, iż stosunek prawny poddanych i panującego ma naturę wyłącznie indywidualną i prywatno-prawną. Książę żyje tam wyłącznie ze swego majątku, poddani nie są zasadniczo zobowiązani do płacenia podatków. Jeżeli nałożenie podatków okazuje się niezbędne, mogą one być ustanowione tylko za zgodą stanów.

Tom trzeci traktuje o państwach posiadających genezę militarną, które powstają poprzez zrzeszenie oddanych wodzowi drużyny ludzi i podbój. Haller intonuje tu panegiryk na cześć wojny, która hartuje ciało i ducha oraz chroni państwowość przed wewnętrznym zwyrodnieniem. Przedmiotem tomu czwartego są państwa kościelne; tu rozwija Haller swe przemyślenia na temat władzy teokratycznej, które kontynuuje w tomie piątym. W ostatnim, szóstym, tomie ma miejsce przedstawienie ustrojów republikańskich, formy rządu, której Haller nie przyznaje zbyt wielu pozytywow.

"Restauracja nauki o państwie" wywołała w całej Europie wielkie poruszenie, ściągając zarówno wściekłe ataki jak i opinie entuzjastyczne. Między 1817 a 1848 r. nie było większej publikacji o pretensjach naukowych dotyczącej filozofii państwa, która nie byłaby zmuszona odnieść się w jakikolwiek sposób do tez Hallera. Jednym z najsłynniejszych adwersarzy Hallera okazał się Hegel w swojej "Filozofii prawa" wydanej w 1821 r. Stronę szwajcarskiego filozofa wzięli natomiast tacy myśliciele jak de Bonald i Lammenais we Francji, a w Niemczech juryści Jarcke i Ancillon oraz bracia Gerlach, którzy w latach 40- i 50-tych /za panowania korespondującego z Hallerem Fryderyka Wilhelma IV/ odgrywali ważną rolę w polityce Prus. Również we Włoszech znalazł autor "Restauracji" niemało zwolenników.

W październiku 1820 r. Haller wykonał w tajemnicy od dawna przygotowywany krok - nawrócił się na katolicyzm. Z powodu czyjejś niedyskrecji prawda wyszła na jaw w następnym roku i polityczna kariera pisarza w kalwińskiej Szwajcarii została na zawsze przekreślona. Stracił on natychmiast wszystkie godności państwowe oraz prawo wyboru do Wielkiej Rady. 52-letni filozof stanął wobec perspektywy ruiny egzystencji, a oprócz tego musiał przeżyć fakt, iż jego czysto osobista decyzja stała się skandalem na miarę europejską. Fala protestanckich i katolickich pamfletów ustąpiła dopiero po autoapologii Hallera w jego słynnym "Iśście". Ostatecznie pisarz opuścił swoje rodzinne miasto i wyjechał za granicę. Zawiódł go poznany jeszcze u schyłku poprzedniego stulecia Metternich, który nie zaoferował mu żadnego stanowiska przy dworze w Wiedniu; nie powiodło mu się również w Berlinie i w Madrycie. Wreszcie spróbował w Paryżu, gdzie przyjaciele Lammenais i de Bonald przyjęli go z otwartymi ramionami, ale i tu ze spodziewanego urzędu państwowego z początku nic nie wyszło wskutek nieprzyjazni wpływowego, a wedle słów Hallera "nadętego próżnością", Chateaubrianda. Dopiero po ustąpieniu autora "Geniuszu chrześcijaństwa" w 1824 r. Haller uzyskał stanowisko publicystycznego attaché francuskiego MSZ, a w maju 1830 r. został profesorem w Ecole des Chartes kształcącej przyszłych dyplomatów. Jednak już w dwa miesiące po tym Rewolucja Lipcowa zakończyła i tę karierę. Nowa Francja "nieszczońskiego króla" pociągała go mało; jeszcze w roku rewolucji powrócił do Szwajcarii - do Solthurn pod Bazyleą gdzie od 1828 r. posiadał dom. Od tej pory nie angażował się już w czynną politykę. Pozostał jednak aktywny jako pisarz i publicysta, i aż do późnego wieku zasilał swoimi artykułami konserwatywną prasę

całej Europy. Był też czynny jako historyk publikując m.in. historię Reformacji w kantonie berniejskim, która malowała tak ciemnymi barwami obraz "kościelnej rewolucji" XVI wieku, że przysporzyła mu wielu nowych wrogów, w czym pociechą było mu to, że wielkie upodobani: w tym, wydanym w 1836 r., dziele znalazł papież Grzegorz XVI.

W ostatnich latach życia prowadził Haller niezwykle obfitą korespondencję z przyjaciółmi i uczniami w całej Europie oraz podejmował nowe podróże, m.in. do Niemiec. W Monachium spotkał swoich entuzjastów: Ringseina, Görresa, Brentano i Döllingera. Jeszcze w 1847 r. próbował wyrzec wpływ na tok polityki pruskiej poprzez rozwiękłą rozprawę "Zbadanie zjednoczonego pruskiego Sejmu Krajowego pod kątem prawo-państwowym", ale nie odniósł powodzenia. Osamotniony i rozgoryczony stanem politycznym kontynentu zmarł w Solthurn 20 maja 1854 r.

Pozycja Hallera w historii duchowej w ogólności i w historii myśli politycznej w szczególności jest do dzisiaj przedmiotem sporów. Niehistoryczność i indywidualizm jego koncepcji ma jeszcze piętno oświeceniowe, z kolei gloryfikacja średniowiecznego państwa patrymonialnego jest typowa dla romantyzmu. Ale Hallera nie można zaliczyć całkowicie do żadnego z tych prądów. Jego filozofia ma wiele różnorodnych źródeł - od św. Augustyna do Roberta Filmera. Aczkolwiek wiele jego pomysłów mogło się wydać anachronicznymi już w chwili ich ogłoszenia, jedna przynajmniej jego idea wykracza daleko poza ramy epoki. Mamy tu na myśli naukę Hallera o istocie władzy oraz o konieczności powiązania każdego rodzaju prawa - w każdym razie w zakresie politycznym - z możliwością wprowadzenia go w życie. Głoszone przez niego "prawo naturalne", które mówi, że silniejszy z reguły panuje nad słabszym nie jest "naturalno-prawna" konstrukcją /jak można dzisiaj jeszcze czytać w literaturze przedmiotu/, tylko po prostu opisem stanu faktycznego. W jego konsekwentnym politycznym realizmie, który rzeczy tego świata widzi takimi, jakimi są, a nie jakimi według różnych utopii być powinny, leży znaczenie Hallera jako politycznego myśliciela. Henryk Treitschke miał rację, kiedy zauważył w swej "Polityce", że "zasługa Hallera leży w zwalczaniu teorii umowy społecznej; w tej dziedzinie prowadził wiele walk, które należy podziwiać jeszcze dziś". A jeżeli ktoś nie chciałby się przychylić do poglądu Treitschkego, to powinien przynajmniej wysłuchać tego, co o aktualności filozofii Hallera powiedział liberalny neoheglista, Benedykt Croce: "Należy czytać, ogólnie mówiąc, reakcyjnych pisarzy ze względu na ich silne poczucie państwa jako autorytetu i umowy zarazem, oraz jako ochrony przed indywidualną samowolą. Zwalczają oni zarówno doktrynę równości jak też jakobinizm, zwracają się nie tylko przeciw 'geometrycznym rządóm', lecz przeciwko wszystkim systemom skonstruowanym apriorycznie i nie zasadzającym się na związkach historycznych".

Hans-Christof Kraus  
"Criticon. Konservativ heute" nr. 105,  
IX-X 1987

Józef Łobodowski

ZAMIAST RECENZJI Z "KORCA MAKU"

Kazimierzowi Wierzyńskiemu

Przez śnieżne pola w Massachusetts  
przebiega natchniony lis.

Księżyc i wiatr nas urzekł,  
księżyc nad nami zwisał  
i zaklina idącą burzę  
i kurzawą gwiazdzistych strużek  
przysypuje nam każdy zmysł,  
i wiemy, że wszystko na nic,  
a jednak nie chce nas zwolnić,  
a jednak zza siódmych granic  
nawołuje, by za nim biec.

Więc spieszmy, wiatrem pijani,  
w cech włóczęgów na zawsze wpisani,  
wychodzimy z głębokich sztolni  
na szalony  
niepotrzebny wiec.

I zbieramy się, rajcownicy bladzi,  
jakie leki na tę noc uradzić,  
jaką z ziół uwarzyć dryjakiew...  
Macierzanką nam w oczy zawiewa,  
na pagórkach, w ciemnych kosodrzewach  
przeswituje niejasnym znakiem.

A ty wołasz do wiatrów:

"Zestawcie!"  
Chcę być sam z moim domem i żoną..."  
W księżycowym płaczesz się hafcie,  
pokonany przez żywioły Endymion.  
I znów lasy, ekologiczne, płonąc,  
w smutne oczy  
gorzkim czadem dymią.

Odkrzykuje ci z madryckiej tawerny,  
bije pięścią w stół:

"On ma rację!"  
Ale świat - Tomasz zły i niewierny -  
kładzie palce do krwawiących ran;  
sprawdza nasze Krzyżowe Stacje,  
bada każdy z żelaznych cierni  
męczenników  
cierpiących nad stan.

Coraz wyżej urasta luna,  
coraz groźniej chmurzy się trybunał,  
zacierają ręce adwokaci;  
nad udrekę księżycową, ponad grzęę  
sdrzucone rozpaczliwy pozew,  
skarb złożony  
niepowrotnie się stracił.

A zostało... A co nam zostało?  
 Gorzkie ziele, starta w dłoniach żalność,  
 na pustyni słów zatrutych manna;  
 krew na piasku, gdy bosi wędrowiec  
 patrzy w przepaść...

A pobici aniołowie  
 przed skonaniem wołają:  
 "Hesanna!"

**Marek Budzisz**

## **GEPOLITYKA CIĄGLE WAŻNA!**

Marzenia o nowej Wiośnie Ludów w Europie Środkowej skierowane przeciw rosyjskiej hegemonii a obliczonej na rozerwanie socjalistycznej "wspólnoty" przybierają kształt programów, scenariuszy działań oraz instrukcji dla aktorów sceny politycznej. Dzieje się tak za sprawą bardzo aktywnej ostatnio części opozycji złożonej z różnych grup, wśród których na czoło wybijają się: LD-P "Niepodległość", Grupa Polityczna "Wola", Ruch Polityczny "Wyzwolenie". Na emigracji ta opcję reprezentują członkowie kolegów redakcyjnych paryskiej "Kultury" oraz brukselskiego "Kontakt" /zwłaszcza Józef Darski/. Do "organów prasowych" wliczonych ugrupowań, nie zawsze związanych z nimi więzami organizacyjnej zależności a raczej reprezentujących podobny styl myślenia, zbliżone poglądy i dążenia czy wreszcie typ wrażliwości, zaliczyć można: "Nową Koalicję", "ABC", "Europę", "Antyk", "Niepodległość", "Wyzwolenie", "Obóz". Na podstawie zamieszczanych w tych periodykach artykułów, apeli, opracowań czy też rezolucji partyjnych referował będę program w kwestii wschodniej tego nurtu opozycji polskiej. Zadaniem tego artykułu jest przedstawienie i poddanie analizie poglądów dominujących, wypowiedzianych przez wielu a czasem przez wszystkich uczestników debaty, takich, które stanowią o podobieństwach różniących się przecież w szczegółach propozycji.

Rozważania nasze wlniśmy rozpocząć od znalezienia tej pierwotnej konstatacji, wokół której nawiązują się przemyślenia, koncepcje, propozycje rozwiązania swoich politycznych łamigłówek, co w efekcie owocuje powstaniem względnie koherentnej wizji politycznej. Źródłem programotwórczej aktywności niepodległościowców jest odrzucenie tradycyjnych w polskiej myśli politycznej ostatnich dwóch stuleci pryncypiów geopolitycznych. Repulsja ta dotyczyła tak opisowych nurtów tej tradycji jak i ich społecznej funkcji. Dotychczas bowiem warunkowano podjęcie działalności na forum publicznym, tak w wymiarze polskim jak i międzynarodowym, uprzednim rozwiązaniem dylematu wyboru orientacji, czy raczej zajęciem stanowiska w sporze o hegemonię, toczonym przez naszych, wschodniego oraz zachodniego, sąsiadów. Brak programu w kwestii wschodniej jak i wypracowanego stanowiska wobec Niemiec dyskredytował zawsze politycznych aspirantów, powodując odesłanie ich na nauki pobierane u starszych, bardziej doświadczonych, głębiej my-



ślących kołębów.

"Niemcy" i "Rosja", te dwa żelazne tematy polskich szkół myślenia politycznego, po wojnie, a zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i później uległy gruntownemu przerehabilitowaniu a w wielu przypadkach wręcz wykluczeniu z przedmiotu - Geopolityka.

Zmiana ta łączy się z upowszechnieniem przekonania, iż graniczymy z Ukrainą, Białorusią i Litwą nie zaś z Rosją. Myśl ta, która nie mogła by wzbudzić głębszego zainteresowania jeszcze osiemdziesiąt lat temu, dzisiaj skłania wielu myślicieli politycznych do przerehabilitowania swych propozycji i uwzględnienia tego faktu, jak się wy-  
daje, kardynalnej wagi.

Publicysta "Tygodnika Mazowsze" piszący, że "na Wschodzie graniczymy nie z Rosją ale z Białorusią i Ukrainą" /"TM"-77/ naj-  
więcej formułuje myśl nurtującą i innych i dlatego jego wy-  
powiedź przytaczamy. W podobny sposób odczytać można jeden z moty-  
wów autorów posłania skierowanego do litewskich, białoruskich i u-  
kraińskich, emigracyjnych i krajowych środowisk opiniotwórczych w  
sprawie polskich granic wschodnich. Posłania przygotowanego i roz-  
powszechnionego przez wymienione wcześniej grupy opozycji polskiej.

Już kilkanaście lat temu Juliusz Mieroszewski na łamach pa-  
ryskiej "Kultury" pisząc o wadze obszaru ULB /Ukraina-Litwa-Biało-  
ruś/ w polityce polskiej kładł fundamenty pod gmach tej szkoły my-  
ślenia o środkowoeuropejskich dylematach geopolitycznych, której  
najmłodszymi adeptami są liderzy młodego nurtu niepodległościowe-  
go. Kilka lat przed nimi do koncepcji Mieroszewskiego odwoływało  
się PPN, podobnie rozkładające w swym programie akcenty.  
Zazwyczaj temu pierwszemu towarzyszy i drugie przeświadczenie, do-  
tykające już bezpośrednio problemu rosyjskiego. Mówi się coraz  
częściej, z lekka tylko skrywając satysfakcję, iż ZSRR będący jed-  
nowymiarowym mocarstwem przeżywa obecnie głęboki kryzys, który być  
może jeszcze nie jutro, lecz w czasie dającym się objąć horyzontem  
politycznego planowania przerodzi się w powolny, gwałtowny, wymu-  
szony, naturalny /różni publicyści w rozmaity sposób określają cha-  
rakter tego procesu/ lecz z pewnością nieuchronny upadek. Jego e-  
fektom będzie nie tyle zakamanie się państwowości radzieckiej,  
lecz przede wszystkim zawężenie strefy wpływów państwa Rosjan do  
obszaru ich etnicznego zasiedlenia.

Autorzy przygotowanej w 1977 r. przez paryską "Kulturę" "Deklara-  
cji w sprawie ukraińskiej" jako jedni z pierwszych tak kategori-  
cznie formułowali to przekonanie. Byli zdania, iż "Związek Sowiecki  
jest dziś ostatnim imperium kolonialnym świata i prędzej czy póź-  
niej powszechny pęd wyzwolenia narodowego musi uderzyć także w je-  
go anachroniczną egzystencję". Pięć lat później przedstawiciele  
"Niepodległości" w ciekawym i w wielu momentach szluznym oświad-  
czeniu, acz zbudowanym na podobnym założeniu, pisali, iż "i to i-  
perium, jak wiele innych w historii, kiedyś upadnie. Odkładanie  
na ten moment wypracowania możliwej do przyjęcia przez wszystkie  
zainteresowane strony koncepcji ułożenia stosunków na terytorium  
Europy Wschodniej i Środkowej, byłoby poważnym błędem i pozostawi-  
łoby nas w sytuacji analogicznej do tej po zakończeniu I wojny  
/walka wszystkich ze wszystkimi/. /"Niepodległość" nr 28/.

W odmienny nieco sposób analizują sytuację polityczną w ZSRR  
i prawdopodobne trendy rozwojowe autorzy wydanej w 1985 r. przez  
KPN-owskie "Wydawnictwo Polskie" broszury pt. "Geopolityka". Ob-  
serwując przesuwanie się centrum zainteresowania ZSRR na tereny  
azjatyckie, przewidują nieuchronne starcie między Rosjanami a  
przeżywającymi demograficzny boom narodami Azji Środkowej, które-

go stawką będzie przewaga w państwie Rosjan, dochodzą oni do wniosku, iż w najbliższych dziesięcioleciach powstanie "strefa rozrzedzonego ciśnienia" między Polską a Rosją, co oznacza słabszy napór ZSRR na te tereny. Tym samym rysuje się dawno oczekiwana koniunktura polityczna, w której "szansa pełnej emancypacji narodów między Polską a Rosją jest bardzo duża".

Choć nie wszyscy tak otwarcie jak publicyści paryskiej "Kultury" wyrażają swe nadzieje na rychły upadek imperium sowieckiego, to w większości środowisk niepodległościowców silnie rysuje się przekonanie o słabnięciu ZSRR. Wszystkim tym grupom wspólny jest pogląd, iż właśnie w ciągu nadchodzących dziesięcioleci staniemy wobec koniunktury politycznej, która, chcąc myśleć o niepodległości, musimy wykorzystać. Jej treścią jest powodowane wieloma czynnikami osłabienie państwa Rosjan. Wśród najczęściej wymienianych znaleźć możemy - zapóźnienie technologiczne, trudności wewnętrzne powodowane przestarzałą, nieadekwatną wobec pojawiających się problemów strukturą państwa i gospodarki, rosnące niezadowolenie Rosjan czy wreszcie otwarty bunt uciesnionych, nierosyjskich narodów. Nadarzającą się koniunkturę międzynarodową będziemy w stanie wykorzystać, zdaniem niepodległościowców, tylko wtedy, gdy przeżyjemy istniejące obecnie wśród narodów uciesnionych przez sowiecki imperializm rozbitcie i stworzymy wspólny, antysowiecki i antyrosyjski front oporu.

"Grudzień '81 - pisał publicysta związany z "Nową Koalicją" - uświadomił nam Polakom, że Polska nie jest wyspą na morzu sowieckiego imperium, że jej los jest losem wszystkich innych zniewolonych przez komunizm narodów. Uświadomił nam także wątpliwość naszych sił i to, że silniejsi możemy być tylko działając wspólnie z innymi. Logicznym następstwem takiego rozpoznania sytuacji była myśl o "koalicji narodów" /P.Chmura, Europa Środkowa i Rosja, "Nowa Koalicja", nr 4, 1987./

Wspólny interes polityczny jest jednym z głównych czynników ułatwiających stworzenie silnej koalicji; niepodległościowcy dostrzegają wszak i inne ułatwiające realizację tych zamierzeń. Jednym z nich jest podobieństwo sytuacji geopolitycznej, która decyduje o podobieństwie losów, a zatem i wspólnocie celów. Myśl tę otwarcie formułuje deklaracja WSN z maja 1983 r. Jej autorzy deklarują swoje pragnienie działania, "by więzi prawdziwego współdziałania mogły zbliżyć Polaków z narodami krajów Środkowej Europy, których sytuacja geopolityczna jest podobna /do/ sytuacji Polski".

Wspólnota losów historycznych, podobne dziedzictwo kulturowe, zdecydowanie okcydentalistycznie nastawione elity intelektualne i społeczeństwa to kolejne czynniki umożliwiające, zdaniem protagonistów idei wspólnoty środkowoeuropejskiej, dokonanie dzieła zjednoczenia.

Żyjemy w tym samym systemie - mawiają niepodległościowcy - i choć w różnych krajach, takich jak Polska i Węgry, stracił on swój otwarcie represyjny charakter to przecież jego istota nie uległa zmianie. Borykać się musimy z takimi samymi problemami, mamy wspólnych wrogów i taki sam zasadniczy cel - zlikwidowanie sowieckiego dominium w Europie Środkowej. Litewski autor tymi słowami opisuje podobieństwo losów narodów naszej części Europy: "Wszystkie ludy tu zamieszkujące mają więc zbliżone problemy "dnia codziennego" - odczuwają podobne zagrożenia i wyrywają się ku podobnym celom. Łączą je też coraz lepiej uświadomiona potrzeba wzajemnej solidarności. Co więcej, można je wszystkie uznać za jednakowo "skazane", przez obecny ład światowy, na rodzaj zapomnianych Dzi-

kich Pól." /Piotr Radkunas, Europa Środkowo-Wschodnia, "ABC", nr 2, 1985/.

Publicystyka sprowadzona wyłącznie do deklarowania wspólnych celów, podobnego przeżywania braku suwerenności państw środkowoeuropejskich i wreszcie negocjowania prawa ZSRR do odgrywania roli hegemona w tej części naszego kontynentu, dla ludzi o żywych ambicjach politycznych byłaby jałowym deklamatorstwem. Rozumiejąc to doskonale niepodległościowcy starają się przetłumaczyć aspiracje i marzenia zniewolonych narodów na język polityki. Zastosowana w tym wypadku "metoda translacyjna" jest logiczną konsekwencją przyjętych uprzednio założeń. Jeżeli bowiem potęga ZSRR i odgrywana przez nie mocarstwowa rola jest przyczyną niepełnej suwerenności państw środkowoeuropejskich bądź w ogóle braku własnej państwowości nierosyjskich ludów ZSRR, to zmuszenie Związku Radzieckiego do ograniczenia swych aspiracji ułatwi wybitcie się na niepodległość. Dążąc zatem musimy - mawiają niepodległościowcy - do osłabienia państwa Rosjan a stworzone przez nie imperium rozpadnie się w wyniku zgodnej akcji ciemiężonych narodów. Działając samodzielnie skazani jesteśmy na przegraną, szansę na sukces stworzyć może dopiero podjęcie wspólnej i zsynchronizowanej akcji. Trudności i niepokoje wewnętrzne w ZSRR są tym czynnikiem, który zwiększa prawdopodobieństwo odniesienia sukcesu, a zatem ich pomnożenie zwielokrotnia nasze szanse. Względnie najlepsze położenie opozycji polskiej, jak też jej duży potencjał osobowy i techniczny nakładają na nas, Polaków, szczególne zobowiązania. Ich treścią jest stymulowanie i wspomaganie działań opozycji wewnątrz sowieckiej, jak również nurtów oporu w krajach tzw. demokracji ludowej. "Wyzwolenie Polski - twierdzą autorzy platformy programowej LD-P "Niepodległość" - zależy od zmian w całym bloku sowieckim, a więc od wspólnego występowania narodów ujarzmionych przeciw komunizmowi i imperializmowi sowieckiemu. Dlatego też Polacy powinni wspomagać formowanie się opozycji demokratycznej w innych krajach obozu." /Założenia programowe LD-P "Niepodległość", /w:/ "Antyk - Kwartalnik Polityczny Neopracycy", Lublin, nr 1-2, 1985/

Kolejnym etapem w kształtowaniu wspólnego frontu ludów środkowoeuropejskich musi być usunięcie wszelkich kwestii spornych, których podjęcie może zantagonizować uczestników projektowanej "międzynarodówki oporu". W naszej części Europy, gdzie na przestrzeni ostatnich stu lat upadały stare monarchie, tworzyły się nowe, narode państwowości, młode narody przeżywały okres dynamicznego rozwoju owocującego powstaniem silnych nacjonalizmów, zaś po zakończeniu drugiej wojny arbitralnie zmieniono granice nie troszcząc się o ich zgodność ze stanem narodowego zasiedlenia, w owym w dalszym ciągu gorącym tyglu narodowościowym, jakim jest Europa Środkowa jedną z głównych przeskók porozumienia są nieuregulowane spory graniczne. Rządy komunistyczne nie podejmują tych problemów, jednak wzajemne pretensje, roszczenia i resentymenty silnie tkwią w świadomości zniewolonych narodów i stać się mogą zarzewiem przyszłych konfliktów w obozie antysowieckich sojuszników. Twórcy przywoływanego już przeze mnie oświadczenia skierowanego "do braci Ukraińców, Białorusinów i Litwinów" w sprawie wspólnych granic tak określają własne stanowisko: "Konflikty terytorialne wielokrotnie dzieliły, skłócały i groźnie osłabiały zarówno Polaków, jak i Ukraińców, Białorusinów i Litwinów. Jedynym sposobem przezwyciężenia takich konfliktów jest zachowanie obecnych granic. Leży to w najżywośniejszym interesie geopolitycznym naszych walczących o wolność narodów. Bądźmy dążyć, aby powyższa zasada została wzajemnie potwierdzona przez narodowe przedstawicielstwa." /"Nowa Ko-

alicja", nr 2, 1986/. Można się domyślać, iż autorzy przytaczanego apelu mają nadzieję, że ich krok spotka się z nasładownictwem ze strony innych, niezależnych sił opiniotwórczych krajów i narodów wchodzących w skład imperium sowieckiego. Bilateralne rokowania pozwolą usunąć konfliktowe stanowiska kładąc silny fundament pod przyszłą współpracę i współdziałanie.

Niepodległościowcy liczą się również z możliwością ewolucyjnego rozwoju sytuacji. Ich zdaniem w sytuacji kiedy nie będzie możliwe zjednoczenie i jednorazowe rozerwanie więzów sowieckiego imperializmu krępującego narodowe organizmy, musimy być przygotowani na powolne wyrwanie kolejnych państw i narodów spod kurateli ZSRR. W sposób następujący, w tym kontekście, redakcja Niepodległości formułowała polskie interesy - "W naszym interesie leży powstanie tych państw /tj. dzisiejszych republik sowieckich - przyp. M.W./, musimy im więc w pewnym momencie udzielić pomocy politycznej, jeżeli okaże się ona potrzebna. W wypadku demoludów będzie to poparcie dla obalenia ustroju komunistycznego, jeżeli zaś chodzi o republiki sowieckie - poparcie przede wszystkim dla tendencji ośrodkowych, nawet komunistycznych, a dopiero na drugim miejscu wpływanie na ich ewolucję w kierunku demokracji." /"Niepodległość", nr 11-12, listopad-grudzień 1982/.

Wstępne prace zmierzające do zawiązania wspólnego frontu oporu narodów Europy Środkowo-Wschodniej wienęczy zwołanie międzynarodowego komitetu w skład którego wchodzi przedstawiciele emigracyjnych środowisk zniewolonych narodów. Utworzona 20 września 1986 r. w Wiedniu Konferencja "Pro-Cooperation", w zamysle jej organizatorów winna spełniać taką właśnie funkcję. W wydanym z tej okazji oświadczeniu piszą oni: "Doświadczenia ubiegłych dziesięcioleci pokazały nam wszystkim, że tylko wspólne działanie stwarza naszym narodom szansę na uzyskanie niepodległości. A więc pierwszym krokiem w tym kierunku winna być nasza kooperacja.

20 września 1986 r. spotkaliśmy się w Wiedniu - ludzie reprezentujący różne narodowości - aby tę współpracę zacieśnić. Powołaliśmy do życia "Pro-Cooperation" - stała Konferencją popierania demokratycznych dążeń w krajach Europy Środkowo-Wschodniej." /"ABC", nr 5, 1987/.

Marzeniem niepodległościowców jest stworzenie nie tyle chwilowej koalicji jednoczonej wspólnym celem politycznym, ile raczej prawdziwej i autentycznej wspólnoty interesów, planów i zamierzeń. Wspólnota, która mogłaby stać się podwaliną dla utworzenia wschodnioeuropejskiego odpowiednika EWG. Stąd silnie podkreślana konieczność przekształcenia świadomości elit politycznych i narodów państw Mitteleuropy w kierunku uznania wagi i naturalności myślenia w kategoriach wspólnotowych, bez poczucia obcości wobec dążeń innych narodów tego regionu. Adam Realista, publicysta związany z WSN Wyzwolenie twierdzi, iż należy dążyć do osiągnięcia takiego stanu wspólnej świadomości, w którym wszyscy politycznie rozbudzeni Polacy "na wiadomość o strajkach czy demonstracjach w czeskiej Pradze bądź Kijowie pomyśleli: nasi znów zaczęli, trzeba coś zrobić". /"Baza" nr 9/

Futurologiczne wizje snute przez publicystów rozmaitych formacji niepodległościowych obejmują również sytuację po owym "wielkim skoku", kiedy będziemy, ich zdaniem, mieli do czynienia ze zdecydowanie odmienioną sytuacją w tej części kontynentu europejskiego. Zaisntnieją w pełni suwerenne państwa Europy Środkowej zaś narody wschodniej części ZSRR odzyskują niezależne państwowości bądź uzyskują szansę ich stworzenia. Będziemy musieli również się

ciągle liczyć z chęcią i stałym dążeniem ZSRR do powrotu na utracone terytoria. Na zachodzie Niemcy dokonają dzieła zjednoczenia i znowu groźba Rapallo zacznie krążyć nad Europą Środkowo-Wschodnią. Jedyną możliwością ochrony przed niekorzystnym dla Polski rozwojem sytuacji jest stworzenie silnej koalicji państw tego regionu, których połączone potencjały demograficzne, ekonomiczne i militarne stworzą szansę oparcia się naporowi ze wschodu i zachodu. Publicysta "Niepodległości" tak argumentuje na rzecz utworzenia silnego związku politycznego w naszym rejonie Europy - : "Powołanie nowej Wspólnoty Europejskiej stworzyłoby po Rosji i Unii Zachodnioeuropejskiej - trzecią siłę gospodarczą, polityczną i militarną broniącą wspólnie interesów tych narodów, ciężko doświadczonych w przeszłości, a poza tym stanowiącą w tym rejonie świata czynnik ładu, wolności i pokoju." /Wojenny W., Europa przyszłości, "Niepodległość", 26 luty 1984 r./.

Polska i Ukraina z racji wielkości swych terytoriów, potencjałów demograficznych i gospodarczych winny stać się gwarantami nowego ładu środkowoeuropejskiego. Jesteśmy skazani na przyjaźń - zdają się mówić niepodległościowcy - przyjaźń przecież niełatwą, sojusz raczej rozumu niż serca. Bez współpracy dwóch największych państw tego regionu Europy nie ma co marzyć o silnym bloku politycznym gwarantującym utrzymanie nowego podziału wpływów. J. Sobczak i P. Lewicki, autorzy opublikowanego w 15 numerze "Krytyki" artykułu, zatytułowanego "Wschód" rozpatrując i dyskutując kwestię wschodnią, pisząc o wadze stosunków polsko-ukraińskich nadmienią m. in. iż "stosunki polsko-ukraińskie mają największy ciężar gatunkowy z punktu widzenia przyszłego bezpieczeństwa polskiej granicy wschodniej. Zarazem są one stosiem pacierzowym pożądanego kształtu geopolitycznego tej części Europy. /.../ Właściwe i normalne stosunki polsko-ukraińskie są kluczem do pożądanego demokratycznego ukształtowania się obszaru czarnomorsko-bałtyckiego i stał ich niezwykła potencjalna waga /.../."

Konkludując tę część naszych rozważań pokusić się możemy o naszkicowanie ogólnego schematu, jak każde uogólnienie niepełnego, programu w kwestii wschodniej zrodzonego i rozwijanego w środowiskach określających siebie mianem niepodległościowców. Jak pisałem na wstępie brałem pod uwagę myśli wspólne, wypowiediane przez wielu a czasem wszystkich autorów tego nurtu. Kwestie różnicujące pozostawiłem nierozpoznane. Ambicją tego artykułu nie jest bowiem wyczerpujące przedstawienie wszelkich wariantów programowych ale raczej ukazanie pewnego sposobu myślenia, stylu argumentowania i patrzania na problem przyszłych rozwiązań politycznych w Europie Środkowej. Naszkicowany w ten sposób "stan umysłu" jest tworem sztucznym i w czystej formie przecież nie występującym, jednak jego składniki odnaleźć można w programach wielu grup niepodległościowych. I dlatego mam prawo sądzić, że jest to wspólny tym środowiskom sposób patrzania na sprawy publiczne i politykę.

Program niepodległościowców zasadza się na następujących stwierdzeniach: granicznym z narodami Litwy, Białorusi i Ukrainy, przeżywającymi okres rozbudzenia narodowego zaznaczającego swą obecność polityczną wzrostem dążeń niepodległościowych, które będą przybierać na sile. Podważa to stare principium geopolityczne, każące widzieć w Rosji czynnik warunkujący polski program w kwestii wschodniej. W ZSRR trwa silny kryzys wewnętrzny, który w najbliższych latach z pewnością nie osłabnie, lecz przeciwnie, nasili się. W konsekwencji jego skutkiem będzie osłabienie mocy imperialnej wschodniego hegemonu. Żaden z narodów Europy Wschodniej i Środkowej, jak dowiodły tego wydarzenia ostatnich 40 lat, nie jest w sta-

nie w pojedynkę wywalczyć sobie niepodległości. Tylko wspólna akcja może przynieść taki efekt. W naszym wspólnym interesie leży rozbić imperium sowieckiego, a chociażby takie osłabienie wschodniego giganta ażeby nie był w stanie nadal rozciągając swego panowania na tereny naszej części kontynentu. Prócz wspólnych celów politycznych narody Mitteleuropcy łączy również podobna kultura, te same problemy codzienności i pragnienie wywalczenia i utrzymania niezawisłości. Na najlepiej rozwiniętej opozycji w bloku wschodnim, czyli na polskich środowiskach niezależnych, spoczywa największa odpowiedzialność i duża część pracy przygotowującej przyszłą koalicję narodów zniewolonych. Treścią tej pracy jest inspirowanie, wspieranie i popieranie opozycji w krajach sąsiedzkich. Jednocześnie należy dążyć do usunięcia wszelkich barier mogących utrudnić przyszłą współpracę, a przede wszystkim spornych kwestii granicznych. Wybicie się na niepodległość należy traktować jako od dawna oczekiwany, lecz nie ostateczny cel naszych narodów. Chcąc rozsądnie myśleć o jej utrzymaniu stworzyć musimy związek sojuszniczy narodów Europy Środkowej i Wschodniej, który będzie gwarantem niezawisłości nowo powstałych państw, jak też tych które odzyskały suwerenność. Dwa największe państwa tego regionu - Polska i Ukraina stać się muszą filarami nowego układu sił. Dlatego stosunki między nimi mają największą wagę.

Natura problemów powoływanych do życia istniejącymi układami geopolitycznymi jest na tyle różna od spraw w polityce codziennych, że często te pierwsze rozumiane są opacznie, źle odczytywane, bądź rozpatrywane w kategoriach, które sprawdzone na co dzień w tym wypadku nie mogą zostać zastosowane. Najważniejszą cechą układów geopolitycznych jest ich względna długotrwałość. Polska w obecnym, tzn. między Rosją a Niemcami tkwi już ok. 350 lat i trudno dostrzec symptomy zmiany. Oczywiście zmienia się charakter wzajemnych relacji, natura podmiotów owych stosunków, ich znaczenie, potęga gospodarcza i militarna, żywotność kulturalna i demograficzna, słowem zmianie ulega właściwie wszystko. Jedynym wyjątkiem jest niezmiennosc samego układu. Może on ulec przekształceniu, lecz trendy rozwojowe mają w tym wypadku charakter nader powolny.

W pierwszej części artykułu pisałem o odrzuceniu przez niepodległościowców tradycyjnego, polskiego principium politycznego, powoływane do życia właśnie poznanie układu geopolitycznego w jakim egzystujemy. Wypada uczynić pierwszy zarzut. Niepodległościowcy mylą zmianę podmiotów środkowoeuropejskiego układu geopolitycznego ze zmianą jego samego. Nawet jeżeli spełnią się najskrytsze marzenia publicystów tego nurtu i pewnego dnia imperium sowieckie się rozpadnie, to będzie to tylko, patrząc z tej perspektywy, osłabienie jednego z elementów relacji /w tym wypadku Rosji/ i wzmocnienie czynnika drugiego /krajów Europy Środkowej/. Sam układ, czego niepodległościowcy zdają się nie dostrzegać, nie znika, państwo rosyjskie będzie istnieć nadal. Dlatego też stwierdzenie, iż w centrum naszej uwagi znajdować się winny wyłącznie narody wschodnich republik ZSRR jest świadectwem wyimkowego traktowania problemu. Nikt przecież nie odmawia prawa zainteresowanym do zgłębiania problemów i poznawania aspiracji zamieszkujących te tereny grup ludnościowych. Nie zmienia to jednak faktu, że Rosja jest i będzie jednym z ważniejszych przedmiotów naszej polityki zagranicznej. Program Niepodległościowców wobec Rosji jest nadzwyczaj wąty i sprowadza się prawie wyłącznie do deklarowania chęci "ukręcenia łba" moskiewskiemu niedziedziciowi. Jeżeli jednak "rosyjski" rozdział z ich programu wydaje się nam mizerny, to porównując go z

częścią poświęconą Niemcom jest on nieomal gigantyczny. Niepodległościowcy ten problem pomijają zupełnym milczeniem. A przecież mamy do czynienia z układem geopolitycznym nie zaś stosunkami bilateralnymi i doprawdy trudno liczyć, że wobec rozpadu imperium sowieckiego państwo niemieckie pozostanie bezczynne. Publicyści omawianego nurtu bardzo lekkomyślnie bagatelizują problem niemiecki, zwłaszcza wobec gorąco popieranym przez nich rozwiązań na Wschodzie. A przecież już dwadzieścia lat temu, mistrz tej szkoły politycznej pisał w paryskiej "Kulturze", iż "wydatne osłabienie Rosji oznaczałoby automatycznie wzmocnienie Niemiec. Gdyby Rosja nie była mocarstwem - Niemcy posiadałyby broń atomową w ciągu 10-ciu lat. Nie ma potrzeby podkreślać jakie konsekwencje pociągnąłby ów fakt dla Polski." /"Kultura", nr 12, grudzień 1968/.

Odmieniana przez wszystkie przypadki przez Niepodległościowców teza, iż na wschodzie graniczymy nie z Rosją lecz z Ukraincami, Białorusinami i Litwinami jest najzupełniej prawdziwa lecz nie do końca wyjaśnia istniejącą sytuację. Poprzestanie na tak rozpoczętym zdaniu i niedopowiedzenie go do końca jest błędem poważnie zaciemniającym nasz polityczny horyzont. W polityce międzynarodowej, nawet prowadzonej przez ośrodki reprezentujące narody pozbawione własnego państwa liczą się przede wszystkim organizmy państwowe. Piłsudski budujący przed pierwszą wojną swój program polityczny w oparciu o sojusz z Czechami byłby uznany przez wszystkich za szaleńca, a przecież musiał wiedzieć, jakby dzisiaj powiedzieli Niepodległościowcy, iż graniczymy z Czechami nie zaś Austro-Węgrami. Z drugiej strony nieliczenie się z niepodległościowymi aspiracjami narodów wschodniej części ZSRR byłoby błędem, sprowadzającym się do świadomego pozbawiania się części wiedzy o stanie układu, w którym przyszło nam żyć i realizować własne interesy. Dlatego też aspiracje ludów obszaru UIE /Ukraina-Litwa-Białoruś/ traktować należy jako jeden z czynników kształtujących charakter sytuacji geopolitycznej Polski. Twierdzenie, iż zastępuje on sam układ jest nieprawdziwe. Zainteresowanie problematyką narodów wschodniej części ZSRR, jako antidotum na zbyt "państwowa" opcję niektórych nurtów opozycji byłoby zrozumiałe, traktowanie go jednak jako programu rozwiązującego nasze problemy geopolityczne jest nieporozumieniem.

Publicyści nurtu niepodległościowego często mylą znaczenie poszczególnych państw dla moskiewskiego hegemonu z ich sytuacją geopolityczną. Przywoływane wcześniej przeze mnie twierdzenie, iż sytuacja geopolityczna wszystkich państw Europy Środkowej jest podobna, nie znajduje odzwierciedlenia w rzeczywistości. Jest wręcz przeciwnie. Sytuacja Polski jest dużo trudniejsza niżli innych państw tego regionu. I nie mam na myśli położenia geopolitycznego, tutaj bowiem sprawa jest ewidentna, lecz znaczenia Polski dla wschodniego protektora. Ekspansjonistyczne dążenia ZSRR materializują się w trzech obszarach zainteresowania, można by powiedzieć kierunkach natarcia. Głównymi frontami są: Europa Zachodnia, Azja Dalekiego Wschodu oraz Azja Centralna. Zażegszczenie sowieckich roszczeń terytorialnych wobec państw tych regionów, liczne próby destabilizacji organizmów politycznych nie podporządkowanych Moskwie a wreszcie stała obecność Stanów Zjednoczonych na tych obszarach, świadczą o znaczeniu tych kierunków geostrategicznych.

W Europie plany i roszczenia ZSRR są względnie najbardziej przejrzyste. Moskwa od czasów ostatniej wojny rozgrywa kartę niemiecką, a władcy Kremla doskonale zdają sobie sprawę, że przechylenie się Niemców na stronę komunistyczną ułatwiłoby opanowanie całego kontynentu i oznaczałoby zmuszenie Stanów Zjednoczonych do

wycofania się z tego obszaru. Włączenie silnych ekonomicznie państw Europy Zachodniej w krąg sowieckich satelitów niesłychanie wzmocniłoby pozycję ZSRR a osłabiło USA. Kluczem do tego celu jest sprawa niemiecka. Nie można jej jednak rozgrywać mając do czynienia z niezależnym od ZSRR państwem polskim. Geostrategiczne znaczenie Polski wykracza poza fakt, że jest ona korytarzem wiodącym do Niemiec i dalej na zachód. Posiadanie Polski w swej strefie wpływów ułatwia Sowietom sprawowanie skutecznej kontroli w stosunku do innych państw bloku a także izoluje od wpływów zachodnich nierosyjskie a zamieszkałe na wschodzie ludy ZSRR. Polska jest ponadto największym obok Rosji krajem układu, siły zbrojne najliczniejszymi obok armii ZSRR, zaś społeczeństwo najmniej uległe i silnie antyrosyjskie. Utrzymanie Polski w swojej strefie wpływów kosztuje ZSRR bardzo dużo, jednak straty wynikające ze zmienionego układu stosunków wydają się władcom Kremla wprost nieobliczalne. Nie chodzi tutaj tylko o rezygnację z jednego kierunku ekspansji, rozgrywka toczyć się może o istnienie samego imperium a nawet terytorialną zwartość ZSRR. Moja analiza interesów ZSRR w Polsce jest w wielu momentach zbieżna z rozważaniami publicystów nurtu niepodległościowego, lecz wnioski wyciągam odmienne. W sytuacji kiedy ZSRR pogrąży się w chaosie, a o tym marzą niepodległościowcy, i będzie zmuszony dokonywać bolesnych dla siebie wyborów możemy z dużą dozą pewności twierdzić, iż z wpływów w Polsce będzie skłonna zrezygnować na końcu. Umocnienie się niezależnej państwowości polskiej i wzrost poprosyjskich sympatii w państwach ościennych znacznie umniejsza możliwość odbudowania środkowoeuropejskiego dominium. Z tego względu, my Polacy, liczyć musimy się z dużo większym oporem ZSRR niżli np. Węgrzy. Tak zapewne będzie się przedstawiał rozumowanie Kremla w momentach dla niego krytycznych, kiedy stanie wobec konieczności wyboru. W sytuacji, gdy Moskwa będzie wierzyć, iż zdoła własnymi siłami przywrócić swe wpływy w krajach Europy Środkowej to z pewnością będzie się starała nie uronić ani jednego z wianuszków państw satelickich.

Nie jest także prawdziwym powtarzane po wielokroć przez publicystów nurtu niepodległościowego stwierdzenie, iż państwa bloku wschodniego mogą wybić się na niepodległość wyłącznie na skutek wspólnej, zorganizowanej i zsynchronizowanej akcji. Przeczą temu wypadki ostatniego pięćdziesięciolecia. ZSRR po drugiej wojnie uznał w 1955 roku niepodległość Austrii i wycofał stamtąd swoje wojska, w roku 1948 musiał pogodzić się z odejściem Jugosławii z grupy prosowieckich państw Europy Środkowej, Albania poszła wkrótce w ślady swego sąsiada z północy, powstanie komunistyczne w Grecji zakończyło się niepowodzeniem, na skutek zdecydowanej postawy Trumana ZSRR w 1946 r. został zmuszony do wycofania swoich czołgów z terenu Iranu Półn. i rezygnacji z utworzenia na tym obszarze nowych republik /Azerbejdżańskiej i Kurdyjskiej/. Casus Finlandii jest również jednym z przykładów na potwierdzenie tezy, iż ZSRR jest skłonny wobec zdecydowanej postawy ugiąć się i zrezygnować ze swych pierwotnych planów.

Tym niemniej warto przeanalizować przyczyny dla których władcy z Moskwy musieli zrezygnować w różnych okresach czasu ze swych zdobyczy. Wycofanie czołgów z Iranu nastąpiło na skutek zdecydowanej postawy administracji amerykańskiej i aluzji do możliwości użycia broni atomowej. Utrzymanie niezależności Grecji i Turcji wobec agresora z północy jest również efektem silnego zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w tę sprawę. Odmienne przedstawia się problem Jugosławii i Albanii. Obok amerykańskiej pomocy dyplomatycznej zaważyła w tym wypadku zdecydowana postawa władz tych państw



a na decyzję ZSRR wpłynąć musiała również świadomość, iż interwencja militarna jest z wielu powodów nie warta podjęcia. Jej powodzenie byłoby zresztą mocno problematyczne.

Wycofanie wojsk ZSRR z Austrii w 1955 r. nie było jedynym ustępstwem ZSRR wobec USA w tym okresie. Właściwie mamy do czynienia z całą serią takich kroków, jak zawieszenie broni w Korei, porozumienie genewskie o zakończeniu wojny w Indochinach, porozumienie i uznanie niezależności Jugosławii czy wręczcie opuszczenie Austrii. Chruszczow w opublikowanych na zachodzie pamiętnikach wspomina, iż władze radzieckie były wtedy przygotowane również na podjęcie kwestii niemieckiej i mogły wyrazić zgodę na zwołanie konferencji pokojowej. Jednak tylko wobec zdecydowanej postawy Amerykanów. Ta zadziwiająca skłonność do ustępstw powodowana była dwoma przyczynami: po pierwsze Rosjanie uważali, że Stany Zjednoczone, tak jak w przypadku wojny w Korei zajmą bardzo sztywne stanowisko; drugim czynnikiem potęgującym układowść Chruszczowa była trwająca wtedy gwałtowna walka o władzę w czasie której spadkobiercy Stalina potrzebowali spokoju na arenie międzynarodowej. Sytuacja Finlandii jest na tyle odmienna, iż warto poświęcić jej również kilka słów. Upowszechnił się bowiem w Polsce zupełnie fałszywy pogląd, z którym zresztą się zaciekle /lecz błędnie/ polemizuje, iż Finlandia osiągnęła swój obecny status na drodze bliżej nieokreślonego porozumienia zawartego z południowym hegemonem. Rzeczywistość historyczna jest w tym wypadku jednak zgoła odmienna. J.-F.Revel tak konkluduje opis długoletnich walk narodu fińskiego o niezależność, na którego przytoczenie nie staje nam niestety miejsca - : "Winom udało się uzyskać finlandyzację dlatego, że opierali się sowietyzacji bez rachuby na kompromis. Gdyby sobie powiedzieli "pozwołmy się sfinlandyzować", nie zostaliby sfinlandyzowani, byłiby zsovietyzowani. Finlandyzacja nie była dla nich wyborem, lecz częściowym niepowodzeniem w dążeniu do utrzymania niepodległości." /Revel J.-F., Jak giną demokracje, Warszawa 1987, s.67/.

Z przeprowadzonej powyżej skrótovej analizy wyciągnąć można dwa wnioski dotyczące tych czynników lub ich zespołów, które skłonić mogą ZSRR do wycofania się, politycznego bądź militarnego, z zajmowanych terytoriów. Najważniejszym jest zdecydowana i konsekwentna postawa USA i całego Paktu Północnoatlantyckiego, z którym ZSRR od czterdziestu lat prowadzi uporczywą walkę o wpływy w świecie. Drugim i niezmiernie ważnym jest siła i postawa społeczeństw opianowanych państw i terytoriów. Władcy z Kremla mimo, iż bardzo często ograniczeni ideologicznymi pryncypiami, również, jak wszyscy politycy dokonywać muszą rachunku kosztów i spodziewanych korzyści. Może się zdarzyć, iż na skutek kumulacji rozmaitych czynników, jak tego dowiodła historia, ZSRR zdecyduje się na wycofanie z zajmowanych terytoriów.

Brak choćby tak skrótovej, jak ta przeprowadzona powyżej, analizy historycznej i hołdowanie utrwalonym stereotypom doprowadziły do tego, iż publicyści z nurtu niepodległościowego zapoznali wręcz istnienie interesów USA i całego NATO w naszej części Europy a także wagę tego czynnika w polityce ZSRR i Polski. Podobnie jak w przypadku Niemiec, problem ten pozostaje poza sferą zainteresowań tego skrzydła opozycji polskiej. Sytuacja zadziwiająca! Ludzie chcący ponownie rozdać karty w europejskiej rozgrywce, dążący do zniszczenia imperium sowieckiego, ostatecznego zlikwidowania jego możliwości ekspansjonistycznych oraz stworzenia na terenie Europy Środkowej koalicji państw zdolnej wypełnić powstałą lukę polityczną zarazem zupełnie ignorują istnienie na tym terenie interesów pierwszego mocarstwa świata. Zachowują się przy tym tak, jak gdyby interesy Polski i Stanów Zjednoczonych były ze sobą zbieżne. Nie

twierdząc, iż tak nie jest, choć elementarne doświadczenie polityczne każe wątpić w zupełną zgodność. Publicyści nurtu niepodległościowego winni pierwiej dowieść, iż nasze interesy są tożsame, lub też odwrotnie, określić różnice zdań, planów, zamierzeń i wzajemne zobowiązania, możliwości negocjowania a również wpływania na zdanie amerykańskiego establishmentu. Nie przeprowadzono jednak takiej analizy. Dowodzi to nieznamośności realiów rządzących stosunkami międzynarodowymi.

Kolejny aksjomat polityki niepodległościowej - teza, iż imperium sowieckie jest w stanie schyłkowym, tak jak poprzednie jest również mocno problematyczne. Zwłaszcza, że nikt nie przeprowadził rzeczowej analizy sytuacji ZSRR. Niepodległościowcy spoglądający na Rosję Sowiecką przez okulary swoich pragnień i marzeń, są skłonni przeceniać korzystne dla Polski trendy rozwojowe, zaś nie zauważają bądź bagatelizują inne, mniej już, patrząc z naszego punktu widzenia, pożądane. Brak rzeczowej analizy problemów rosyjskich zastępuje się myśleniem analogicznym. Twierdzi się mianowicie, iż jak każde imperium kolonialne, i imperium rosyjskie, pod koniec XX wieku anachroniczne, będzie musiało upaść. Wydarzenia w Iranie i wzrost fundamentalizmu islamskiego w całym świecie arabskim natychmiast publicystów z kręgów niepodległościowych myśla, że i ZSRR będzie musiał przeżywać z tego powodu duże trudności. Inni autorzy piszą, iż kryzys ekonomiczny w ZSRR będzie się z pewnością pogłębiał i w końcu uniemożliwi dotrzymanie kroku w technologicznym wysiłku zbrojeń bądź spowoduje żywiołowe reakcje ludności. Jeszcze inni obstawiają kartę narodowościową i utrzymują, iż silne i rosnące nacjonalizmy narodów zniewolonych rozsądzają imperium od środka, w czym my Polacy będziemy, ich zdaniem, ochno uczestniczyć.

Wszystkie te tezy są ładnie brzmiącymi figurami retorycznymi dobrymi w publicystyce; trudno jednak opierając się na takich przesłankach budować programy i uprawiać politykę. Kryzys jest endemicznym stanem rosyjskiej gospodarki, lecz przecież nie doprowadził do zmniejszenia mocy imperialnej tego państwa. W latach czterdziestych i siedemdziesiątych, kiedy ZSRR osiągnął największe zdobycze terytorialne sytuacja ekonomiczna nie była lepsza niżli dzisiaj. Zła kondycja rosyjskiej gospodarki nie utrudnia również, jak do tej pory, dotrzymania kroku w wysiłku technologicznym /przemysł zbrojeniowy/. W latach siedemdziesiątych ZSRR mógł osiągnąć przewagę militarną tak w uzbrojeniu konwencjonalnym jak i geostrategicznym. W dającej się przewidzieć przyszłości ZSRR z pewnością utrzyma swój obecny status światowego mocarstwa, nawet wobec trudności ekonomicznych. Ekstrapolowanie kryzysu ekonomicznego ZSRR w przyszłość może w efekcie przynieść przekonanie o pogłębianiu się trendów regresywnych. Warto jednak, aby niepodległościowcy uwzględnili również i inny możliwy scenariusz wypadków. ZSRR może przecież przewyciężyć istniejące kłopoty ekonomiczne a choćby zahamować obecne trendy rozwojowe. Branie pod uwagę jednej tylko i do tego najlepszej dla nas możliwości grzeszy nieostrożnością.

Twierdzenie paryskiej "Kultury", iż ZSRR jako ostatnie imperium kolonialne a zatem anachroniczne musi runąć jest również ładnie brzmiącym chwytym publicystycznym. Nie ma przecież żadnych dowodów na to, iż imperia kolonialne państw zachodnich upadły z powodu własnej anachroniczności. Moim zdaniem zaważyły tutaj inne czynniki. Anachroniczne państwa i ustroje społeczne utrzymują się na świecie po dziś dzień a nawet są ponownie tworzone /państwa islamskie/. Głównym czynnikiem powodującym rozpad imperiów kolonialnych państw europejskich była niechęć do ich dalszego posiadania. Niechęć tę wzmacniała wizja piętrzących się trudności z utrzyma-

niem własnej administracji i pokoju na tych terytoriach. Korpusy kolonialne, tak administracyjne jak i wojskowe były wobec ogromu zajętych obszarów bardzo nieliczne i nie mogły zostać z wielu przyczyn gwałtownie powiększone. Jednak nawet państwa niewielkie i słabe ekonomicznie, lecz zdecydowane utrzymać swe posiadłości kolonialne, takie jak Portugalia, były mimo trudności i problemów z tym związanych w stanie realizować własne zamierzenia. ZSRR powierzchownie przypominający nieistniejące już imperia kolonialne jest przecież zupełnie innym państwem i zajęte przez ten terytoria mają dlań zupełnie inne znaczenie niżli dominia dla państw kolonialnych. Trudno wyobrazić sobie zmęczenie społeczeństwa rosyjskiego utrzymywaniem quasi kolonialnego imperium rosyjskiego, trudniej jeszcze budować w oparciu o takie założenia program polityczny.

Niepodległościowcy przeceniają siłę i możliwości sprawcze młodych nacjonalizmów narodów wschodniej części ZSRR. Ruchy narodowe nie rozwijają się lawinowo i mając na względzie ich stan dzisiejszy można stwierdzić, iż minie jeszcze wiele dziesięcioleci zanim ośrodki takie będą w stanie zagrozić rosyjskiemu panowaniu na tych terytoriach. Odnosi się ogólne wrażenie, iż publicyści z tego nurtu opozycji polskiej przeceniają łatwość z jaką można zniszczyć ZSRR. To dla nich kolos już nie na glinianych, lecz zgola na słomianych nogach.

Bez większego ryzyka pomyłki stwierdzić można, iż program nurtu niepodległościowego w kwestii wschodniej ma charakter, że tak rzec przede wszystkim publicystyczny. Zgrabne zwroty retoryczne zastępują głębsze zastanowienie, przyjmowane na wiarę a traktowane jak aksjomaty. twierdzenia przesłonić ma wyimkowe potraktowanie problemu zaś radosne wezwanie do ogólnej miłości i braterstwa w zamysle niepodległościowców są dostateczną podstawą do budowy planów narodu polskiego na najbliższe dziesięciolecie.

Marek Budzisz

**Zbigniew Brzeziński**

## **PAMIĘTNIK Z BIAŁEGO DOMU ROK 1980**

Aż do niedawna pełna relacja na temat intensywnych wysiłków administracji Cartera zmierzających do powstrzymania sowieckiej interwencji zbrojnej w Polsce na jesieni 1980 roku mogła wystawić na szwank delikatne wywiadowcze źródła informacji. Sytuacja ta zmieniła się wiosną 1987 roku z chwilą opublikowania wspomnień dzielnego patrioty - polskiego oficera, płk. Ryszarda Kuklińskiego, który odegrał zasadniczą rolę w odebraniu Sowietom atutu tajemnicy i zaskoczenia, odwołując ich w ten sposób od uczynienia kroku, który pociągnąłby za sobą tragiczne i nieobliczalne skutki w skali międzynarodowej. Obecnie Kukliński przekazał pewne szczegóły o tym, jak uczulił Amerykanów na sowieckie plany inwazji Polski. Nie stanowiąc jedynego amerykańskiego źródła informacji, odgrywał on waż-

na rolę pomagającą uchronić jego kraj od najazdu ze strony potężnego sąsiada. Publiczne ujawnienie się Kuklińskiego ukatwia pełniejszą relację na temat rozważnych wysiłków czynionych przez USA, aby uniknąć takiej bierności, jak w wypadku sowieckiej okupacji Czechosłowacji w 1968 roku, zapobiegając i oddalając w ten sposób poważniejsze starcie w sercu Europy.

Poniżej przytoczona jest relacja, dzień po dniu, pokazująca amerykański stosunek do polskiego kryzysu, z punktu widzenia jednej z kluczowych zaangażowanych w te sprawy osób. Notatki te, dyktowane pod koniec każdego dnia pracy, obciążone są wieloma stylistycznymi skrótami. Z drugiej jednak strony ich zaletami są, być może, autentyzm i spontaniczność. W każdym razie nie zostały one przeredagowane, choć w niektórych wypadkach późniejsze wydarzenia wpłynęły na zmianę mojego osądu. Jedyne wyjątek stanowi kilka cięć dokonanych dla uniknięcia nadmiernych powtórzeń lub wyeliminowania fragmentów nie związanych z tematem; parę pomniejszych skrótów /zaznaczonych nawiasami/ dla zachowania poufności, wreszcie kilka przypisów wyjaśniających.

Należy podkreślić, że notatki te dotyczą tylko amerykańskich wysiłków w kierunku zapobieżenia sowieckiej zbrojnej interwencji w Polsce. Jesienią 1980 roku prezydent Carter i jego ekipa usilnie pracowali, by umożliwić Polsce stabilizację gospodarczą w nadziei stworzenia pomyslniej atmosfery dla międzynarodowego kompromisu politycznego. Informacje na ten temat prezydent wymieniał ze swymi głównymi europejskimi sojusznikami; prowadzone były także rozmowy z wysłannikami z Warszawy. Wyżsi urzędnicy amerykańskiej administracji poświęcili dużo czasu dyskutując nad sposobami niesienia pomocy w zmniejszeniu wewnętrznych napięć w Polsce. Pomoc ekonomiczna USA dla Polski systematycznie wzrastała, gdy jednocześnie Waszyngton wszystkim Polakom, którzy go słuchali, doradzał przyjęcie postawy maksymalnie powściągliwej i umiarkowanej.

Jednak te problemy ogólniejszej natury nie są ujęte w poniższym materiale, który koncentruje się wyłącznie na militarnym zagrożeniu sowieckim. Jest nadzieja, że notatki z mojego dziennika pozwolą spojrzeć z nowej perspektywy na historię amerykańskiej polityki wobec Europy Środkowej i staną się przyczynkiem do studiów nad politycznymi metodami odstraszenia.

4 października 1980 r. Zdałem sprawozdanie na temat sytuacji w Polsce, ostrzegając przed wzrastającymi trudnościami gospodarczymi i politycznymi oraz sugerując, że nie można wykluczyć sowieckiej interwencji. Sądzę, że jest to w istocie prawdopodobne, jeśli nie zdobędziemy się na energiczne kroki, by temu zapobiec. Należy przeto w imieniu prezydenta wysłać odpowiednie listy do /francuskiego prezydenta Valéry'ego/ Giscarda /d'Estainga/ i /zachodnioniemieckiego kanclerza Helmuta/ Schmidta.

23 października 1980 r. Następnie przewodniczyłem posiedzeniu SCC /Special Coordination Committee działającemu przy Gabinetie/ na temat Polski. Uczestniczyli: /sekretarz stanu Edmund/ Muskie, później zjawił się /zastępca sekretarza stanu Warren/ Christopher, /sekretarz obrony Harold/ Brown, szefowie sztabu i CIA. Uczestnictwo było ograniczone z powodu delikatnego charakteru spotkania. Na porządku dziennym stanął problem sposobu reakcji na ewentualną sowiecką interwencję w Polsce. Na początku posiedzenia nie pozos-

tawilem żadnych wątpliwości co do tego, że nie powinniśmy dyskutować o stopniu prawdopodobieństwa takiej interwencji, lecz skoncentrować się tylko nad tym, /1/, co zrobić, aby do niej nie dopuścić, gdy stanie się bezpośrednim zagrożeniem, i /2/ jak zareagować, jeśli ona nastąpi. Ponieważ poprzedniego dnia wprowadziłem niecc w sprawę Muskiego, nie oponował on tak, jak mógłbym się tego obawiać. Przestudiowaliśmy listę możliwych reakcji i zgodziliśmy się, że ich liczba powinna się zwiększyć w ciągu najbliższego tygodnia, kiedy to zostaną przeprowadzone konsultacje z naszymi głównymi sojusznikami. Nie kładłem nacisku na żadne zalecenia, gdyż byłyby one nie tylko przedczesne, ale groziłyby prawdopodobnie podziałami. Jeśli interwencja nastąpi, reakcja emocjonalna na nią będzie tego rodzaju, że znajdziemy się pod ogromną presją polityczną skłaniającą nas do działania. Tymczasem zaś spotkanie to uczuli nie tylko Departament Stanu, lecz także naszych sojuszników - na pewne posunięcia odwetowe. Może ono w dodatku zachęcić naszych sprzymierzeńców do uczynienia czegoś więcej, gdy znajdą się oko w oko z Sowietami. Powinni oni prowadzić spokojną obserwację oraz zniechęcać Sowietów do podejmowania jakichkolwiek działań, w międzyczasie zaś rozpocząć budowanie planu awaryjnego, na wypadek, gdyby podobna akcja nastąpiła. Wbrew moim obawom samo spotkanie miało charakter przyjacielski, pozbawiony zasadniczych nieporozumień między Brownem i Muskim; również Christopher nie wniósł zbyt wielu zastrzeżeń /.../.

29 października 1980 r. Po południu spotkałem się z /dyrektorem CIA/ Stanem Turnerem. Położyłem silny nacisk na trzy sprawy: po pierwsze, jaka jest nasza aktualna ocena szans na sowiecką interwencję w Polsce. Moje obawy co do jej prawdopodobieństwa wzrastają. Na spotkanie czterostronnym /W. Brytania, Francja, RFN i USA/ Niemcy oświadczyli nam, że detente nie powinna stać się ofiarą takiej interwencji, innymi słowy Niemcy powiadają, że w wypadku sowieckiej inwazji będą oni nadal gotowi utrzymywać stosunki ze Wschodem. Jest to, jak dotąd, najlepszy dowód na istnienie finlandyzacji Niemiec.

26 listopada 1980 r. Na porannej odprawie ponownie wystąpiła sprawa możliwości sowieckiej interwencji w Polsce. Pod wpływem moich komentarzy prezydent polecił mi, abym zredagował memorandum do Browna i Muskiego w celu sprowokowania ich reakcji na mój pomysł, iż byłoby dobrze dać do prasy enuncjację na temat możliwych konsekwencji, jaki może przynieść Rosji jej interwencja. Przesłałem więc memorandum Musklemu i Brownowi, prosząc ich o komentarz w następujących sprawach: interwencja taka spowoduje pęknięcie w politycznej detente w Europie; zahamuje tam również współpracę gospodarczą Wschód-Zachód; przytkni się do zwiększenia budżetu NATO, stworzy rozryw w stosunkach między partiami komunistycznymi a ZSRR; przyspieszy otwartą współpracę amerykańsko-chińska; może też wywołać wrzenie w innych krajach bloku sowieckiego. Podejrzewam, że Brown, w przeciwieństwie do Muskiego, zareaguje na to pozytywnie.

30 listopada 1980 r. Chmury zbierające się nad Polską stają się coraz cięższe. Wywiad donosi o ograniczeniach w przekraczaniu granicy niemiecko-polskiej. Z tego właśnie obszaru, w razie inwazji, wyruszą sowieckie wojska. Oddyłem krótkie posiedzenie SCC prowadzone przez /zastępcę doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego/ Davida Aarona i zacząłem bardziej otwarcie akcentować pod adresem prasy tragizm konsekwencji radzieckiej inwazji. Jeśli nawet Departament Stanu nie życzy sobie, aby

cokolwiek na ten temat mówić, to ja czułem, że powinniśmy klasz publicznie nacisk na to, co się może wydarzyć. Co więcej /amerykański senator Charles/ Percy podczas rozmów z Breżniewem w ciągu ostatnich dwóch dni podniósł jednoznacznie tę kwestię w zakresie, w jakim om wialiśmy ją podczas naszego powrotu z Portugalii jakiś tydzień temu. Dopingowałem wówczas Percy'ego, aby nie pozostawił żadnych wątpliwości co do konsekwencji, jakie dotkną stosunki Wschód-Zachód, jeśli Sowietci wejdą do Polski. Jutro będą również rozmawiać z Richardem Allenem, doradcą Reagana, aby nowa administracja była bardziej w kursie spraw.

1 grudnia 1980 r. Podczas odprawy oznajmiłem prezydentowi, że sytuacja w Polsce stała się krytyczna. Granica niemiecko-polska została zamknięta; wydaje się, że sowieckie siły nad wschodnią granicą Polski osiągnęły wyższy stopień pogotowia; mogą się też okazać intensywne przygotowania czynionych na lotniskach, w hangarach itd. Powiedziałem prezydentowi, że musimy zadać sobie pytanie, czy byliśmy wystarczająco komunikatywni w naszych oświadczeniach na temat Polski, Czy byliśmy dostatecznie słyszalni, gdy wyrażaliśmy swoje obawy? Czy postąpiliśmy właściwie wobec naszych sojuszników?

Nieco później tego ranka prezydent przesłał proponowaną informację do Giscarda, /brytyjskiej premier Margaret/ Thatcher i Schmidta. Mówiła ona ostatecznie o wzrastającym zaniepokojeniu prezydenta niezwykle wysokim stopniem militarnej aktywności Układu Warszawskiego, zarówno wewnątrz, jak i wokół Polski, oraz tym, że dostrzega on /prezydent/ bezprecedensowe ograniczenia w podróżach wprowadzone przez dowódcę wojsk radzieckich w NRD wzdłuż granicy z Polską, zwracając uwagę, że oznacza to, iż sytuacja w Polsce osiągnęła najbardziej krytyczne stadium, a sowieckie przygotowania do interwencji posunęły się dalej niż kiedykolwiek. Prezydent spieszył poinformować, że będziemy wyrażać naszą najgłębszą troskę wobec Sowietów oraz dopingować naszych sojuszników, aby czynili to samo. Po południu zatwierdziłem wysłanie kopii tego pisma do naszych ambasadorów z poleceniem, aby powiadomiło ministerstwa spraw zagranicznych naszych sojuszników. Mam nadzieję, że uda się nam w ten sposób wymóc na nich silniejszą reakcję wobec Sowietów.

2 grudnia 1980 r. Przesłałem prezydentowi notatkę informującą, że w świetle najnowszych sygnałów wywiadu sowiecka interwencja w Polsce nabrała realnych cech prawdopodobieństwa. W związku z tym ponagliłem go, aby wspólnie z Reaganem wystosowali oświadczenie wyrażające niepokój oraz konstatację, że tego rodzaju akcja sowiecka stałaby się najbardziej wrogiem ciosem zadany stosunkom amerykańsko-sowieckim. W notatce tej nadmieniam, iż Muskie będzie się temu prawdopodobnie sprzeciwiał, ale że jest to jednocześnie właściwy moment do wysłania takiego oświadczenia. Uważam, że jest sprawą wielkiej wagi dokonanie jednoznacznego historycznego zapisu oświadczającego o tym, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, by odwieść Sowietów od podjęcia tak brzemiennego w epokowe konsekwencje akcji.

W ciągu ostatnich kilku tygodni miałem spotkania z różnymi oficjalnymi i nieoficjalnymi wysłannikami z Polski. Wszystkim im przekazywałem to samo przesłanie. Po pierwsze - dążenie do jak najdalej posuniętego kompromisu wewnętrznego. Partia, Kościół i związki zawodowe powinny ze sobą współpracować i nie popychać biegu spraw ku konfrontacji. Jest teraz pora na umacnianie zdobyczy, a nie dążenie do ostatecznych rozstrzygnięć. Po drugie - rząd i partia oznajmiają Sowietom, że są zdecydowane chronić w Polsce porządek polityczno-społeczny, swoje członkostwo w Układzie Warszawskim oraz

prawnie zagwarantowaną przewodnią rolę partii komunistycznej. Jeśli jednak Sowietci dokonają inwazji, kraj i rząd stawiają opór. Jest to w mojej ocenie istotne dla powstrzymania sowieckiej akcji. Interwencja Sowietów byłaby bardziej prawdopodobna, gdyby mieli oni pewność, że stanie się ona takim spacerkiem, jak w 1968 roku w Czechosłowacji.

3 grudnia 1980 r. Na porannej odprawie poinformowałem prezydenta, że zmiany, jakie nastąpiły wczoraj w polskim Biurze Politycznym, wskazują na intencję łączenia przeprowadzanej reformy ze wzrostem zastraszenia. /Gen. Mieczysław/ Moczary poprawi samopoczucie partii i policji, będąc jednocześnie potencjalną alternatywą dla /I sekretarza PZPR Stanisława/ Kani. Zapytałem również prezydenta, czy przejrzał wspólne oświadczenie, które we wczorajszej notatce sugerowałem wystosować wraz ze wzmianką o poparciu dla jego treści ze strony Reagana. Odpowiedział, że jeszcze tego nie widział i że da mi swą opinię przed moim południowym spotkaniem z Brownem, Muskiem i Turnerem, zwołanym w celu rozważenia rozwoju polskich wypadków.

W południe w moim biurze spotkałem się z Brownem, Muskiem i Turnerem. W międzyczasie otrzymałem z powrotem propozycję oświadczenia na temat Polski. Prezydent poczynił w tekście tylko kilka zmian redakcyjnych, skreślając wiersz, który brzmiał: "Na temat tych wydarzeń konsultowałem się z prezydentem-elektem Reaganem, który podziela mój niepokój." Po pewnych utarczkach słownych, podczas których powiedziałem pozostałej trójce, że trzeba, abysmy mieli na naszym koncie oświadczenie i że jeśli nawet nie będzie ono miało decydującego efektu odstrasżającego w stosunku do Sowietów, to w każdym razie jest to coś, co powinni oni usłyszeć. Moi rozmówcy zgodzili się, że należy je wysłać. Naszkicowałem je wcześniej, kładąc w nim nacisk na dwie propozycje: po pierwsze USA nie zamierzają wykorzystywać polskiej sytuacji dla własnych politycznych celów, po drugie - sowiecka interwencja miałaby daleko idące konsekwencje dla stosunków Wschód-Zachód oraz dla postawy i przyszłej polityki USA wobec ZSRR. Harold Brown zapytał następnie, czy zamiast publicznego oświadczenia nie powinniśmy poinformować Sowietów poufnie. Po wymianie poglądów na ten temat Brown i ja doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej /myślę, że to był mój pomysł/ wysłać do Breżniewa szybką informację o naszym zamiarze wystosowania oświadczenia. Następnie, w obecności całej trójki, podyktowałem sekretarce treść informacji. Oto ona:

"Szanowny Panie Prezydencie

Pragnę Pana poinformować, że w ciągu dzisiejszego dnia wystosuję oświadczenie wyrażające niepokój związany z rozwojem wypadków wokół Polski. Zanim to uczynię, chciałbym przekazać Panu zdecydowany zamiar Stanów Zjednoczonych niewykorzystywania wydarzeń w Polsce, ani też zagrażania uzasadnionym sowieckim interesom bezpieczeństwa w tym regionie. Pragnę, aby miał Pan świadomość, że jedynym przedmiotem naszego zainteresowania jest zachowanie pokoju w Europie Środkowej i w tym kontekście umożliwienia rządowi i społeczeństwu w Polsce rozwiązania ich wewnętrznych trudności. Jednocześnie jestem zmuszony oświadczyć, że nasze stosunki doznałyby ogromnego uszczerbku, gdyby dla rozstrzygnięcia zastosowano wobec polskiego narodu siłę. Oświadczenie, które wydaje, stanowi publiczny wyraz tego poglądu."

Oba teksty przedłożyłem prezydentowi ok. godz. 13.00 i zaraz po lunchu otrzymałem je z powrotem z uwagą sprowadzającą się do polecenia dalszego działania. Jedyną zmianą, jaką prezydent poczy-

nił, było dodanie zwrotu "Najlepszymi życzeniami, Jimmy Carter" do listu skierowanego do Breżniewa.

Po południu spotkałem się z Jodym /Powelbem, rzecznikiem prasowym Białego Domu/, aby uzgodnić zabezpieczenie oświadczenia i upewnić się, że Breżniew najpierw otrzyma informację. O godz. 16.21 otworzyliśmy w Moskwie potwierdzenie przyjęcia notki. Mniej więcej w tym samym czasie w biurze Jodyego wtajemniczyłem prasę, jak ważna jest treść tej informacji, ponownie kładąc nacisk na dwie tezy - że nie zamierzamy interweniować, lecz, że interwencja sowiecka byłaby reakcją krańcowo wroga. W swojej wypowiedzi podkreśliłem potrzebę umiarkowania i powściągliwości wszystkich stron uczestniczących w konflikcie w Polsce. Prasa, jak zwykle, popadła w podniecenie. Dziennikarze natychmiast pragneli wiedzieć, czy spodziewamy się rychłej sowieckiej inwazji. Nie omieszkałem powiedzieć, że nie uważamy jej ani za rychłą, ani za nieuniknioną. Uznałem za ważne, by nie stwarzać wrażenia, iż Sowoci zamierzają uderzyć dlatego, że poczucie nieuchronności w pewnym sensie czyni takie uderzenie bardziej prawdopodobnym i w jakiś dziwny, psychologiczny niemal sposób niemal je legalizuje.

4 grudnia 1980 r. Na porannej odprawie złożyłem krótkie sprawozdanie na temat depesz, jakie wysłałiśmy na temat Polski, a także reakcji na wczorajsze prezydenckie oświadczenie w tej sprawie. Reakcja ta była zupełnie dobra. Nasze stanowisko zostało wyraźnie określone. Jak dotąd - żadnych komentarzy ze strony Sowietów. Moskiewskie radio wystąpiło jednak z oskarżeniami, że wdaję się w konspirację z polskimi dysydentami. Wystosowaliśmy ostre demontaż. Po południu spotkałem się z zachodnioniemieckim ambasadorem /Peterem/ Hermesem. Utrzymuje on, że w wypadku sowieckiej inwazji na Polskę Niemcy zastosują przeciw ZSRR sankcje ekonomiczne. Mówi, że w tym kierunku pchnie ich opinia publiczna. Mam nadzieję, że się nie myli, gdyż oficjalne stanowisko niemieckie jest bardziej powściągliwe.

5 grudnia 1980 r. Rano poinformowałem prezydenta, że ambasador niemiecki powiedział mi o możliwości wystąpienia Niemiec z sankcjami ekonomicznymi w razie inwazji sowieckiej na Polskę.

Nawiasem mówiąc, prasa dobrze rozegrała moje wczorajsze oświadczenia. W wielu relacjach przewijają się trzy słowa - umiarkowanie, powściągliwość i kompromis - a także tekst oświadczenia dla poparcia tezy, że nie mamy żadnego interesu w zakłócaniu międzynarodowych porozumień w Europie Środkowej i że uznajemy historyczne i geograficzne realia.

Powiedziałem również prezydentowi, że Harold zarekomendował obszerny przegląd NSC /Komitetu Bezpieczeństwa Narodowego/ na temat perspektywy naszych problemów z bezpieczeństwem. Zaproponowałem, abyśmy przedyskutowali to podczas śniadania.

Podczas śniadania /z udziałem wiceprezydenta, Warreną, Christophera, Browna, asystenta prezydenta Jacka Watsona, Jodyego i mnie/ prezydent oświadczył, że niczego więcej na temat Polski nie da się już powiedzieć. Przyjęliśmy właściwy sposób postępowania. Nawiazałem do moich komentarzy i stwierdziłem, że powinniśmy się tego trzymać. Wiceprezydent poprosił mnie o wyjaśnienie trzech użytych przeze mnie słów. Wyłożyłem więc, że próbuję wyrazić myśl o dalekosiężnych, przykrych konsekwencjach ewentualnych działań sowieckich oraz że jednocześnie usiłujemy przekonać Sowietów, iż nie jątrzymy i nie wykorzystujemy wydarzeń w Polsce. Prezydent oświadczył, że w jego ocenie interwencja sowiecka jest nieunikniona. Siłą napędową będzie dla Sowietów kryzys gospodarczy. Prezydent w



istocie wyczuwa, że /sowiecki ambasador Anatolij/ Dobrynin swoimi ostatnimi wypowiedziami przygotowuje obecnie odpowiedni do tego grunt.

Kiedy wróciłem do mojego biura, o 9.10 zatelefonował do mnie Stan Turner i powiadomił, że według niezwykle wiarygodnego źródła, które w przeszłości informowało nas rzetelnie, w środę rano wkroczą do Polski 18 dywizji sowieckich. Sztab generalny w Polsce najwyraźniej debatuje, czy stawić jakiś zasadniczy opór. Natychmiast /o 9.15/ udałem się do prezydenta, aby mu to przekazać. Powiedziałem, że jeśli zajdzie potrzeba, zwołam na sobotę po południu posiedzenie SCC na ten temat, natychmiast po moim powrocie z Montrealu. W razie konieczności zaproponuję na niedzielę rano zebranie NSC oraz kilku z nas do Camp David. Prezydent odrzekł, że wróci w niedzielę rano, a więc będziemy mogli odbyć posiedzenie NSC w Białym Domu, oraz poprosił, abym informował go na bieżąco. O 9.25 połączyłem się z Brownem i Christopherem ... powiedziałem im o tych doniesieniach i że powinni liczyć się z kryzysowym posiedzeniem SCC w sobotę po południu. Powiedziałem też, że w razie pogorszenia się sytuacji wrócę natychmiast z Montrealu. Uważam, że mając dowód sowieckich ruchów, powinniśmy w sobotę po południu zwołać zebranie Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz rutynowo naciskać na naszych sojuszników w sprawie szybkiego określenia wspólnej odpowiedzi. W ciągu ostatnich tygodni wykuliśmy podstawy takiej odpowiedzi, a teraz nadszedł czas, aby sformować szyki.

Kiedy podczas piątkowego popołudnia w Montrealu wygłaszałem przemówienie w Klubie Kanadyjskim, otrzymałem wiadomość o naradzie w dowództwie Układu Warszawskiego. Zredagowano tam dwuznaczne oświadczenie. Z jednej strony wydaje się ono akcentować détente, oraz zobowiązuje się do niestosowania siły, z drugiej zaś oznajmia, że Układ Warszawski jest gotów udzielić Polsce swej pomocy, a więc sformułowanie mogące stanowić usprawiedliwienie interwencji. Nam nadzieję, że moje wczorajsze oświadczenia w połączeniu ze stanowczą postawą prezydenta są w stanie w jakimś stopniu powstrzymać Sowieców, upewniając ich jednocześnie, że w żaden sposób nie angażujemy się w tę sprawę. Wątpliwe jest jednak, aby jakiś wątki zestaw oświadczeń miał mooniej ugodzić Rosjan, skoro wcześniej dojrzeeli oni do wykalkulowanej decyzji o interwencji. Jeśli oni tego dokonają, my będziemy musieli zmontować możliwie najsolidniejszy międzynarodowy odzew. Będę dążył do -tak silnego ożywienia stosunków amerykańsko-chińskich, jak to jest tylko możliwe. Niemniej jednak będzie tragiczne pożegnanie biura.

6 grudnia 1980 r. Właśnie wróciłem z Montrealu. W południe doradzono mi, że powinno się zwołać posiedzenie na temat Polski. O godz. 16.00 przewodniczyłem posiedzeniu, w którym uczestniczył Brown w dresie od joggingu, Christopher, Turner, generał /John/ Pustay, /asystent sekretarza stanu ds. europejskich/ George Vest, David Aaron i kilku członków sztabu - marszałek Brent, /Robert/ Blackwill, /Steven/ Larabee. Opinię swą wyraził Stan Turner. Wciąż wzrasta wojskowa obecność Rosjan na wschód i na zachód od Polski. Na moskiewskim spotkaniu Układu Warszawskiego reprezentowani byli ministrowie spraw wewnętrznych i w konkluzji CIA jest zdania, że Sowieci będą gotowi ruszyć w ciągu 48 godzin. Co więcej, według Agencji, wejdą oni do Polski we wtorek lub środę w "pokojowym stylu", jak to określili Stan. Innymi słowy, panuje przekonanie, że wkroczeniu Sowieców do Polski towarzyszyć będą działania polskiej policji kamającej "Solidarność". Krótko mówiąc, zgodził się on z nami co do trzech wniosków: do Polski prawdopodobnie wejdzie 15

dywizji, zwłaszcza ze wschodu, w ciągu najbliższych 48 godzin. W ślad za nimi pójdą następne dywizje. Po drugie Polacy ostro zrepresjonują "Solidarność", a po trzecie nastąpi rozlew krwi. Trwa mobilizacja w innych rejonach ZSRR.

Następnie poddaliśmy to dyskusji, w trakcie której ja podniosłem sprawę koordynacji działań polskiej bezpieki z Sowietami. Według mnie, jeśli scenariusz CIA jest trafny, polska bezpieka najpierw przeprowadzi czystkę, by ująć kierownictwo "Solidarność" i inne kluczowe ośrodki, aby następnie zniszczyć psychologiczne zaplecze jakiegokolwiek niezorganizowanego oporu, na jaki natrafiają Sowieci. Tak więc czystka nastąpi wieczorem, a Sowieci wejdą nocą. Jakiś czas dyskutowaliśmy nad wytycznymi dla spotkania czwórki w przyszłym tygodniu i zapanowała powszechna zgoda na to, że powinniśmy być w miarę możliwości konkretni, mówiąc naszym sojusznikom o charakterze sankcji politycznych. Podkreśliłem wagę tego momentu, zaznaczając, że nie uczyniliśmy tego w stopniu dostatecznym przed Afganistanem i w konsekwencji sojusznicy skarżyli się na niedoinformowanie na temat naszych zamierzeń.

Na posiedzeniu panowała powszechna zgodność. Podniosłem także kwestię, czy nie powinniśmy tych informacji w jakiś sposób opublikować, jeśli już jesteśmy przekonani o ich ścisłości. Zapytałem, czy na przykład nie należałoby, powiedzmy jutro, wysłać depeszy do sekretarza generalnego ONZ z prośbą o jego łaskawe pośrednictwo w misji odstraszenia Sowietów lub zwołania posiedzenia Rady Bezpieczeństwa. Moglibyśmy podać ten fakt do publicznej wiadomości, aby umożliwić kierownictwu polskiej opozycji i wolnych związków zawodowych ukrycie się albo przedsięwzięcie jakichś innych środków zapobiegawczych uznanych przez nie za pożądane. Chodziło przede wszystkim o to, że naszym moralnym obowiązkiem jest przestrzec ich w chwili, gdy sami jesteśmy głęboko przekonani, iż wydarzy się to łaża moment. Jednocześnie my, wraz z Christopherem i Brownem byliśmy zgodni, żeby nie robić tego dziś, ponieważ wahałiśmy się jeszcze nieco co do ścisłości wniosków CIA /.../.

Innym źródłem mojego sceptycyzmu jest wreszcie to, w jakim stopniu polskie kierownictwo jest gotowe współdziałać i jak dalece zmowa ta może być trzymana w tajemnicy. Byłbym skłonny sądzić, że przynajmniej niektórzy członkowie polskiego przywództwa będą mieli w tym względzie zastrzeżenia i że dzięki temu informacje zostaną rozpowszechnione. Zaproponowałem, a zebrani przyjęli, aby podnieść poziom politycznej świadomości całego amerykańskiego personelu dyplomatycznego w Polsce. Nasi politycy i inni funkcjonariusze mają zwiększyć częstotliwość podróżowania, rozmawiać z większą ilością ludzi oraz brać pod specjalną obserwację wszystkie urzędy bezpieczeństwa i centra dowodzenia. Niektórzy urzędnicy zostaną wysłani do miast - punktów zapalnych, a w których nie ma konsulatów, na przykład do Gdańska, Szczecina czy na Śląsk.

Po zakończeniu posiedzenia, tuż po 18.00, rozmawiałem z prezydentem przez telefon. Prezydent był w Camp David. Najpierw usłyszałem, że jest on zajęty, a następnie że odpoczywa i spi, jednak nalegałem, by go obudzono. Jak się okazało, wcale nie spał. Powiadomiłem go o poczynionych krokach oraz że nie doradzamy informowania w tym momencie Reagana czy też przywódców Kongresu. Prezydent wypytywał mnie przez jakiś czas na ten temat i wydawał się skłaniać ku jakiejś formie powiadomienia ich o tym. Odpowiedziałem, że jeśli zdecydujemy się to zrobić, natychmiast nastąpią przecieki do publikatorów i gdy informacja okaże się nierzetelna, spowodujemy niepotrzebną panikę, i to z uszczerbkiem dla naszej wiarygodności. Poinformowałem prezydenta, że postanowiliśmy się spotkać jutro o

godz. 13.00. Nalegał na zwołanie odprawy jutro o dziewiątej rano i zaplanowałem ją z udziałem Browna, Muskiego, Turnera i mnie.

Jeden z problemów, jakie wypływały podczas tej popołudniowej dyskusji, polegał na tym, jak dalece winniśmy zwiększyć nasze handlowe obroty z Chinami w dziedzinie militarnej. Chodziło o pewien typ silników dla lotnictwa. Resort obrony i ja byliśmy skłonni pójść w tym kierunku; Departament stanu miał wciąż zastrzeżenia. Na jutrzejszym spotkaniu zamierzam podnieść sprawę ewentualnej blokady Kuby jako środka odwetowego. Moglibyśmy przestrzec Sowie-tów o takiej ewentualności.

7 grudnia 1980 r. Rano znów zebraliśmy się w Gabinetcie w sprawie sytuacji w Polsce. Prócz prezydenta uczestniczyli Muskie, Christopher, Brown, ja i Steve Larabee jako protokolant. Prezydent poprosił mnie najpierw o podsumowanie wczorajszego posiedzenia, co też uczyniłem, zwracając jego uwagę na trzy zasadnicze wnioski, a mianowicie, że Sowieci zrobią coś, co będą chcieli uważać za "pokojową" wkroczenie do Polski 15 dywizji w ciągu najbliższych 48-72 godzin. Może to być wykonane pod płaszczykiem manewrów oraz na prośbę władz polskich. Jednocześnie Polacy zdkławią "Solidarność" za pomocą swej służby bezpieczeństwa. Scenariusz ten nie wróży powodzenia i następstwem może być rozlew krwi.

Następnie odbyliśmy dłuższą dyskusję, czy wystąpić w tej sprawie otwarcie, czy nie. Prezydent skłaniał się ku działaniu publicznemu, ja w trakcie debaty także przedstawiłem argumenty za takim sposobem postępowania. Muskie i Christopher mieli pewne zastrzeżenia, choć także zasadniczo godzili się, że działanie publiczne będzie pożyteczne. Postanowiliśmy na godz. 14.00 wezwać niektórych przywódców Kongresu, a nasz zespół zbierze się ponownie o godz. 13.00, aby przejrzeć ewentualne oficjalne oświadczenie, jak również pewne inicjatywy dyplomatyczne, takie jak apel do sekretarza generalnego ONZ Kurta/ Waldheima. Rozważymy również, czy powinniśmy podjąć próbę ostrzeżenia polskich dysydentów. Prezydent przejrzy też propozycje sankcji politycznych i ekonomicznych, które przedłożyliśmy naszym sojusznikom z NATO, jak i pewne posunięcia militarne w celu wzmocnienia naszej gotowości. Ostatecznie Sowieci używają lub zamierzają użyć 15 dywizji, a to ogranicza czas potrzebny do jakichkolwiek przygotowań do akcji również przeciwko NATO.

Z posiedzenia wywołany został Stan Turner... Wrócił o 9.34 i powiedział, że jest teraz w posiadaniu dodatkowych informacji wywiadu, a mianowicie, że przygotowania do inwazji zostały zakończone 5 grudnia, czyli dwa dni temu. Wojska mają wkroczyć do Polski z zachodniej części ZSRR oraz jednocześnie z Czechosłowacji i NRD. Wszystkim oddziałom przydzielono już cele. Równoległe Sowieci za-bądają natychmiastowej likwidacji wszystkich kontrrewolucyjnych elementów w Polsce. Wspólna decyzja o inwazji zapada 5 grudnia; może więc ona nastąpić już rano lub w nocy 7 grudnia, czyli dziś.

Wczoraj na posiedzeniu SCC, które trwało między 16.00 i 17.00 powiedziałem, że jest ważną sprawą, abysmy wyraźnie określili, co możemy uczynić, aby uniknąć takiej sytuacji, jaka wytworzyła się w Afganistanie. Im bardziej w naszej reakcji na sowiecką inwazję Polski będziemy rzeczowi, tym lepiej. Powiedziałem, że jeżeli scenariusz CIA się urzeczywistni, to prawdopodobnie przywódcy "Solidarności" zostaną aresztowani w nocy w niedzielę i że rano ludność obudzi się mając u siebie wojska sowieckie. Wywiązała się pewna dyskusja nad tym, czy powinniśmy zaangażować się w tę sprawę otwarcie, aby odebrać Sowiecom element zaskoczenia. Następnie rozmawiałem z prezydentem, który nalegał na zwołanie porannego spotka-

nia na godz. 9.00. On również był za publicznym oświadczeniem.

Dziś o 13.00 spotkaliśmy się ponownie. Najpierw przewodniczyłem w Gabinetce poszerzonemu posiedzeniu SCC. Przyjęliśmy zaproponowany tekst oświadczenia na użytek publiczny. Jego celem byłoby ponowne ostrzeżenie Sowieców oraz pozbawienie ich atutu zaszczenia. Tekst tego oświadczenia, zatwierdzonego 15 minut później przez prezydenta, brzmiał następująco:

"Przygotowania do ewentualnej sowieckiej interwencji w Polsce wydają się być zakończone. Wyrażamy nadzieję, że żadna taka interwencja nie nastąpi. Rząd USA ponawia swoje oświadczenie z dn. 3 grudnia na temat bardzo niekorzystnych skutków dla stosunków USA-ZSRR, jakie pociągnęłaby za sobą sowiecka interwencja w Polsce."

W uzupełnieniu tego oświadczenia uzgodniliśmy depeesz wysłaną następnie w trybie natychmiastowym do Schmidta, Thatcher, /premiera kanadyjskiego/ Trudeau, /sekretarza generalnego NATO Josepha/ Lunsu, /premiera Włoch Arnolde/ Forlaniego, /premiera Australii Malcolm/ Fräsera, /premiera Japonii Zenko/ Suzukiego i do Waldheima. Ten tekst był dosadniejszy. Brzmiał tak, że przygotowania do sowieckiej interwencji w Polsce wydają się być zasadniczo zakończone. A dalej, że jesteśmy w posiadaniu dowodu wskazującego, iż ZSRR podjął decyzję o interwencji siłami zbrojnymi, których główny trzon może skroczyć lada chwila - ewentualnie pod pozorem wspólnych manewrów. Niewykluczone, że będą temu towarzyszyć liczne aresztowania dokonywane przez polskie siły bezpieczeństwa. Nie mamy całkowitej pewności, że sytuacja tak właśnie wygląda, jednak prawdopodobieństwo jest tak wysokie, że w moim odczuciu kraje Zachodu powinny poczynić jakies kroki, które wpłyną na sowieckie ośrodki decyzyjne i tym samym zapobiec wejściu sił sowieckich do Polski. "Stosownie więc do tego, dziś, o godz. 14.00 czasu waszyngtońskiego wysyłam poniższe oświadczenie. Wierzę, że będziecie wiaśni wysłać niezwłocznie oświadczenia podobnej treści. Oświadczenia takie zademonstrują Sowiecom zdecydowanie zachodniego sojuszu i posłużą jako ostrzeżenie dla społeczeństwa polskiego o powadze obecnej sytuacji."

Następnie odbyłem konferencję prasową o godz. 14.00, na której wyjaśniłem, że przygotowania do interwencji są, według nas, ukończone i dlatego właśnie ponawiamy poważne oświadczenie o naszym stanowisku, ogłoszone kilka dni temu. Zapytano mnie, czy uważam, że inwazja nie zagraża jeszcze bezpośrednio, jak to określiłem kilka dni temu. Odpowiedziałem, że był to wówczas słuszny pogląd, ponieważ pytano mnie, czy inwazja może nastąpić w ciągu najbliższej nocy lub następnego dnia. Teraz zaś nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy inwazja wisi na włosku, czy nie. Możemy stwierdzić że istnieje jej groźba, gdyż przygotowania do niej zakończono. Na pytanie, co rozumiem przez przygotowania, odpowiedziałem, że chodzi tu o całą logistykę i przemieszczenia, by stworzyć korzystniejszą sytuację dla wprowadzenia sił zbrojnych do suwerennego kraju.

Później poinformowaliśmy przywódców Kongresu o rozmieszczeniu sił polskich i sowieckich. Według posiadanych przez nas informacji, oddziały polskie stacjonują głównie w zachodniej części kraju i można się spodziewać, że dywizje sowieckie wkraczające z NRD wiązały głównie te własne siły, tak że jednocześnie duża liczba sowieckich oddziałów wtargnie do Polski od wschodu, zajmując Warszawę, Gdańsk, Śląsk itd. Według mojej oceny, trzy ośrodki ewentualnego oporu znajdują się wokół Gdańska, gdzie rozlokowana jest pewna część sił polskich, w pobliżu Warszawy - ze względu na historyczne tradycje oraz, być może, na Śląsku.

Po posiedzeniu ponagliłem..., by własnymi kanałami powiadomić polskich dysydentów w celu umożliwienia im ukrycia się. Rozmawiałem z /przewodniczącym ALF-CIO/ Lanem Kirklandem, by użył kanałów związkowych. Telefonowałem również do Rzymu i przeprowadziłem dziesięciminutową rozmowę z papieżem./.../

Mam nadzieję, choć niezbyt wielką, że cała ta publiczna działalność odniesie skutek zniechęcający Sowieców do wykonania tego ruchu, zwłaszcza jeżeli liczyli na zaskoczenie jako na poważny składnik swych planów. To, co się nam przynajmniej udało, to pozabawienie ich właśnie tego elementu.

Nieco później tego wieczoru poleciłem Departamentowi Stanu kopię depechy na temat perspektywy inwazji wysłać także do /indyjskiej premier Indiry/ Gandhi, Ponieważ Breżniew miał od jutra zaplanowaną wizytę w Indiach. Hindusi mogliby równie dobrze włączyć się do akcji, jeśli mają taką wolę.

Dzisiejsze spotkanie było całkiem zgodne. Dobrze popracowaliśmy z Muskiem, Christopherem i Brownem. Pojawili się jedynie różnice natury redakcyjnej. Na temat postawy, jaką powinniśmy przyjąć, nie było żadnych zasadniczych nieporozumień.

8 grudnia 1980 r. Ostatniej nocy Sowieci nie wkroczyli do Polski i dziś prasa rozgrywa nasze wczorajsze oświadczenie. Tytuły wybijają fakt, że Sowieci ukończyli przygotowania do interwencji, Rozróżnia się między zakończeniem takich przygotowań a tym, że nie mamy pewności, czy Sowieci ostatecznie zdecydowali się wkroczyć. Tym niemniej skutek jest taki, że wzrosła międzynarodowa świadomość zachodzących wydarzeń. Decyzja wkroczenia na płaszczyznę publiczną zapadła na wczorajszym /niedziela rano/ posiedzeniu i była autorstwa prezydenta. /.../

Pod koniec posiedzenia Warren Christopher zapytał, co się takiego w ciągu ostatnich dni zmieniło, co uzasadniłoby takie oświadczenie. Czy uczyniło ono interwencję mniej czy bardziej prawdopodobną? W odpowiedzi powiedziałem, że naszym celem było /1/ zwiększyć międzynarodowy nacisk na Sowieców w nadziei na zapobieżenie interwencji i /2/ dać nieco czasu na ukrycie się przywódcom "Solidarności". Zauważyłem również, że rozpowszechniła się już w pewnym stopniu świadomość gotowości Sowieców i pytano nas, dlaczego nie uczyniliśmy więcej, aby ich powstrzymać przed wkroczeniem. Według moich instrukcji "Głos Ameryki" i "Radio Wolna Europa" otrzymały polecenie, aby natychmiast wczesnym popołudniem rozpowszechnić prezydenckie oświadczenie Białego Domu.

Istnieją, według mnie, ostatecznie cztery cele, ku którym zdążamy. Pierwszy, już osiągnięty, to odebranie Sowiecom elementu zaskoczenia. Drugi - ewentualne zachęcenie Polaków do stawienia oporu, jeśli nie zostaną zaskoczeni, co może do pewnego stopnia pohamować Sowieców. Prasa już to właśnie czyni. Trzeci cel, pierwotny, to uspokojenie sytuacji w Polsce poprzez uswiadomienie Polakom, że Rosjanie mogą rzeczywiście wejść. Polacy aż do tej chwili nie brali tej możliwości pod uwagę i to mogło ich nadmiernie osmielać. W tym punkcie nasze interesy zbiegały się z sowieckim, gdyż Rosjanie również mogli optować za pewnym uspokojeniem Polaków. I po czwarte - zniechęcenie Sowieców do wkroczenia poprzez zwiększenie międzynarodowego nacisku i potępienia ZSRR. Oczywiście, to ostatnie wiąże się z ryzykiem fałszywego alarmu, ale uważam, że zawsze możemy później ujawnić nasze informacje na temat przygotowań i w ten sposób utrzymywać nie bez podstaw, że udało się nam zapobiec sowieckiej akcji, jeśli ona nie nastąpiła.

Tego jednakże ranka wywiad informuje, że Sowieci nadal gromadzą swe siły. Przemieszczone zostały cztery dywizje czeskie, wzmo-

żczo łączność między wojskami sowieckimi w NRD, Czechosłowacji i ZSRR, sowieccy oficerowie w dużej liczbie przybyli do polskiego Ministerstwa Obrony, przypuszczalnie w celu koordynacji "wspólnych" manewrów oraz unicestwienia jakiegokolwiek polskiego oporu... uda się i am ostrzec polskich dysydentów, tak że nie dadzą się oni zaskoczyć w chwili ataku.

Tego popołudnia złożył mi wizytę Nicko /sir Nicholas/ Henderson - ambasador brytyjski. Wysoka, lekko przygarbiona, krępa postać o włosach opadających po bokach głowy oraz z czoła - niezwykle rozważny i bystry obserwator międzynarodowej sceny. Jest on głęboko przekonany, że w wypadku sowieckiego wejścia do Polski, które określił on jako równoznaczne ze zniszczeniem tego kraju, powstanie szalony zamęt na Zachodzie. Powiedział, że Niemcy są ogólnie słabi, nie przygotowani do zrobienia czegokolwiek, a Francuzi nie są chyba o wiele lepsi. W rezultacie twierdzi, że nastąpi nie tylko zdruzgotanie Polski, ale również demonstracja jałowości i bezsily Zachodu. Na odchodnym rzekł: "Przed rokiem prezydent powiedział, że Ameryka jest niezdrowa. Chciałbym, aby tak niezdrowa była Europa w podobnej sytuacji. My jesteśmy o wiele bardziej chorzy niż wy." Obawiam się, że trafił w sedno.

9 grudnia 1980 r. Rano powiedziałem prezydentowi, że według niektórych informacji Reuters nie jest w stanie nawiązać łączności ze swymi biurami w Warszawie i w Moskwie, że połączenie agencji AP w Moskwie przestało funkcjonować, a rozgłosnie radiowe francuska, duńska i belgijska cytują PAP, że 60 tys. siły wojskowe wkraczają do Polski. Powiedziałem także prezydentowi, że poleciłem płk. /Leslie/ Denendowi zatelefonować do ambasady w Warszawie, przez co ustaliliśmy, że linie są otwarte, a zatem nie zostały zablokowane. Informacja ta może więc być nieścisła. Powiedziałem mu także o odebraniu Sowietom zaskoczenia taktycznego i o uniknięciu błędów popełnionych w 1968 roku przez Johnsa, polegających mianowicie na zatajeniu naszej wiedzy o osiągnięciu przez Sowietów apogeum w koncentracji ich sił zbrojnych. Przyniosłem prezydentowi dwa artykuły redakcyjne z "Wall Street Journal" z 1968 roku, jeden z 22 lipca dowodzący, że USA powinny wystąpić otwarcie, a drugi z 12 września po sierpniowej inwazji, krytykujący St. Zjednoczone za milczenie.

W środku dnia studiowałem obszerny przegląd wydarzeń... Istnieje solidny dowód ruchów sowieckich. Oznacza on, że w chwili obecnej jest co najmniej 27 dywizji sowieckich do dyspozycji w celach interwencji w Polsce. Przemieszczenia te są powszechne niemal na wszystkich frontach wokół Polski... konwoje w ruchu. Dywizje, pułki i łączność znajdują się w pogotowiu alarmowym. Przygotowane zostało wsparcie logistyczne, a nawet zabezpieczenie medyczne. Sprzęt desantowy załadowano na samoloty transportowe. Jednym słowem przygotowania zakrojone są na szeroką skalę. Staram się temu przeciwdziałać w jak największym stopniu rozbudzając maksymalne zainteresowanie międzynarodowe. Ostatecznie Sowietci pozabawieni statutu zaskoczenia staną się nieco bardziej świadomi międzynarodowych kosztów. Brown, Muskie i ja pracowaliśmy zgodnie. Sympatia prezydenta sprzyja naszym wysiłkom.

10 grudnia 1980 r. Sowietci rozbijają namioty w pobliżu wojskowego szpitala w Kaliningradzie. Około 27 dywizji jest gotowych do wymarszu. W pobliżu polskiej granicy zgromadzone ogromne wsparcie logistyczne. Sowietkie oddziały powietrzne postawione w stan pogotowia. CIA ocenia, że najprawdopodobniejszy okres startu to

11-16 grudnia. Powiedziałem także prezydentowi, że Francuzi mają informację od swego ambasadora w Moskwie, że przygotowania do inwazji zostały zakończone 4 grudnia. To było dobrze zgrane w czasie - tuż przed zawiadomieniem przez nas sojuszników o naszych wnioskach idących w tym samym kierunku.

W południe spotkanie z /francuskim doradcą ds. bezpieczeństwa/ Jaquesem Wahlem w ambasadzie francuskiej. Poczynił on dwie kluczowe propozycje: /1/ abyśmy utworzyli w Waszyngtonie czteroc osobową grupę złożoną z trzech ambasadorów i mnie aby śledzić rozwój wypadków w Polsce i przygotować się do nich. Napisałem dziś w mocnych słowach notatkę do prezydenta żądającą takiej inicjatywy nawet jeśliby Department Stanu sobie tego nie życzył. Sprawa jest zbyt poważna, aby się stała przedmiotem biurokratycznych swarów.

A teraz trochę dodatkowych informacji ze spotkania 7 grudnia. Odbyło się ono w gabinecie prezydenckim między 13.00 a 15.00. Otworzyłem je, odczytując najnowsza depezę agencji AP z Moskwy. Brzmiała ona następująco: "Sowiecka agencja TASS w niezwykłym komunikacie niedzielnym potwierdziła wspólne manewry sowiecko-polskie..." Połączenie zostało nagłe przerwane. Wszyscy uznali to za bardzo ważny materiał wywiadowy zdający się potwierdzać dociekania CIA. Później okazało się przypadkiem, że był to błąd komputera agencji AP.

Przeczytałem o tym prezydentowi i powiedziałem, że senatorzy /Alan/ Cranston i /Theodore F./ Stevens oraz kongresmeni /John J./ Rhodes i /Thomas P. "Tip"/ O'Neill dołączą do nas w Białym Domu o godz. 14.00. Następnie powiedziałem prezydentowi o proponowanym tekście oficjalnego oświadczenia, który on zatwierdził, a później przeczytałem treść ewentualnego przesłania do naszych głównych sojuszników. Prezydent zmienił w nim słowo "robotnicy" na polski "naród" oraz polecił mi wysłać ten tekst do kilku innych rządów. Przyjęliśmy także sugestie Turnera, aby sprawozdania wywiadu były dostarczane naszym najbliższym przyjaciółom. Dyskutowaliśmy pewne ewentualne kroki militarne, a następnie znów powróciliśmy do kwestii reakcji pokojowych. Christopher ostrzegł, że trzeba, abyśmy byli przygotowani na wyrafinowany sposób działania Sowietów i że może nie dojść do dużego rozlewu krwi, a więc sytuacja stanie się niejasna. Turner zauważył, że Sowietci mogą przedstawić każde swoje militarne wejście do Polski jako część normalnej procedury, ponieważ mają oni już w Polsce dwie dywizje. Powiedział on, że od wschodu nie ma w tym kraju żadnej poważnej bariery przeciw inwazji sowieckiej. Stwierdziłem, że w każdym razie istnieje prawdopodobieństwo rozlewu krwi.

Później dyskutowaliśmy, w jaki sposób wprowadzić w sytuację przywódców Kongresu i ja zasugerowałem prezydentowi, aby naponknął im o prawdopodobieństwie dokonania w Polsce zakrojonych na szeroką skalę aresztowań w powiązaniu z sowieckim wejściem i aby przeprowadził odprawę, czytając najpierw oficjalne oświadczenie, które zostanie opublikowane, a następnie tekst przesłania do naszych sojuszników. Stworzy to dobry kontekst do dyskusji z kongresmenami. Prezydent poszedł za tą radą. Wszyscy oni wykazali wielki niepokój i wypytywali nas szczególnie o to, czy jest prawdopodobny duży opór Polaków. Aaron podniósł sprawę uchodźców podkreślając, że jest to dziedzina, w której Kongres mógłby odegrać niepoślednią rolę. Kongresmeni O'Neill zapytał, jaka jest dotychczas reakcja naszych sojuszników. Odpowiedziałem, że największy niepokój wykazują Brytyjczycy, następnie idą Francuzi, Niemcy zaś są najmniej obiecujący. Zwróciłem uwagę, że posunięcia militarne są naprawdę nieistot-

ne. Daleko bardziej kluczowe znaczenie mają kroki ekonomiczne i polityczne.

Wówczas zacząłem akcentować wobec wszystkich zainteresowanych, a także wobec dziennikarzy, że to co Sowieci mogą nieopatrnie osiągnąć, to powstanie nowego europejsko-amerykańsko-japońskiego, a nawet - hiszpańskiego przymierza przeciwko sobie samym. Zostaliby w ten sposób otoczeni. Powinno się ich uświadomić o możliwości takiej konsekwencji. Jednym słowem, odebraliśmy im atut zaskoczenia, wywołaliśmy międzynarodową presję przeciw inwazji, a obecnie do tych nacisków przyłączyła się Włoska Partia Komunistyczna, ostrzegając, że wkroczenie do Polski spowoduje zerwanie jej stosunków z ZSRR; przyczyniliśmy się także do silniejszego odstraszenia uświadamiając Sowiecom ogrom ich kosztów, które wchodziłyby w grę.

Starąłem się nadrobić miną, ponieważ wszystko wskazywało na ogromne przygotowania sowieckie. Tym niemniej uważam, że radziły sobie z tym znacznie lepiej niż podczas kryzysu czechosłowackiego w 1968 roku. Jeśli Sowieci zaingerują, będziemy mieli przynajmniej poczucie, że uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby ich upewnić co do ceny tego kroku, aby powiadomić Polaków o zbliżającej się interwencji i aby zaniepokoić i oburzyć świat w możliwie najwyższym stopniu.

12 grudnia 1980 r. Wciąż wywieramy naciski na Polskę w nadziei zapobieżenia akcji sowieckiej... dostrzeżono dalsze przemieszczanie sowieckich wojsk w pobliżu polskiej granicy. Podnieśliśmy z prezydentem kwestię zboża, ponieważ mogliśmy po prostu odmówić dostarczenia go do ZSRR nawet poniżej granicy ośmiu milionów ton. Na śniadaniu, w którym uczestniczyli jedynie wiceprezydent, Christopher, /radca prawny Białego Domu Lloyd/ Cutler oraz /zastępca sekretarza stanu Robert/ Carswell, /ponieważ pragnęliśmy omówić problem irański/, prezydent wskazał na możliwość bojkotu ze strony związków zawodowych. W tym punkcie wytorzyła się pewna różnica zdań, gdyż /wiceprezydent/ Fritz /Mondale/ uważał, że doświadczenie afgańskie nie było zbyt zachęcające. Jednakowoż wszyscy zainteresowani byli zdania, że tym razem związki zawodowe powinny być bardziej nieprzejednane. Po śniadaniu zatelefonowałem do Lane'a Kirklanda. Zapytałem go, co mogliby zrobić, a on powiedział o możliwości zorganizowania rozległego bojkotu. Ponagliłem go do wykorzystania możliwości wspólnej międzynarodowej reakcji robotników transportowych, która sparaliżowałaby jakikolwiek ruch sowieckich statków i samolotów i w efekcie stworzyła embargo na każde przemieszczenie towarów do ZSRR. Kirkland oznajmił mi, że oni przygotowują grunt do takiej reakcji. Ponagliłem go, by uczyniono to przed interwencją sowiecką, tak aby sam fakt poważnego dyskusowania takiej możliwości ze związkami zawodowymi dotarł do wiadomości Sowieców. Zgodził się na to i dodał, że będzie w kontakcie z przywódcami zachodnioeuropejskich związków zawodowych transportowców.

Następnie spowodowałem, aby wszystko to doszło do wiadomości mojego przyjaciela z "Wall Street Journal", tak że na początku przyszłego tygodnia ukaże się artykuł na temat rozważania podobnej akcji. Uważam, że ważną sprawą dla Sowieców jest posiadanie wiedzy o tym, co się może wydarzyć. Odstraszamy ich więc, jak się tylko da. Podczas śniadania prezydent powiedział także, iż zatelefonował do Muskiego i zalecił mu przyjęcie twardego stanowiska wobec Breżniewowskiej propozycji przedłożonej przed dwoma dniami w Indiach na temat ewentualnej neutralności Zatoki Perskiej. Muskie zareagował całkiem poprawnie - na konferencji prasowej w Brukseli wypowie-



dział kilka bezpośrednich, zdecydowanych komentarzy:

"Chciałbym, jeśli mi wolno, przedstawić pewne spostrzeżenie w odniesieniu do wczorajszej propozycji Breżniewa. Pytaliście mnie o to wczoraj wieczorem, zanim zdażyłem ją przestudiować. Miałem to już okazję zrobić przynajmniej na podstawie doniesień prasowych, które, jak sądzę, były ścisłe. Propozycję tę porównałbym do propozycji lisa w kurniku. To, co Breżniew nam w istocie powiedział, można sprowadzić do tego, że jeśli się wyniesiemy z Zatoki, porzucimy nasze bazy, wycofamy naszą marynarkę i pozostawimy Zatokę w rękach Rosjan, to oni staną na straży naszego bezpieczeństwa."

Była to dobra i mocna odpowiedź i jestem pewien, że kilka miesięcy temu nie mogłaby być sformułowana. Wszyscy idziemy równym krokiem i myślę, że odzew NATO na możliwość interwencji w Polsce jest znacznie realniejszy, niż ktokolwiek mógł przewidywać dwa tygodnie temu.

Wysłałem także do Harolda Browna memorandum zatytułowane "Broń dla Chin", w którym poprosiłem go, by zarządził przestudiowanie przez Departament Obrony tego, co można zaproponować Chińczykom w dziedzinie uzbrojenia na wypadek sowieckiej agresji w Polsce. Powiedziałem, że powinna być przygotowana lista do rozpatrzenia przez SCC. Spodziewam się, że dzięki przeciekom z Departamentu Obrony memorandum to dostanie się do publicznej wiadomości. Im więcej pozwolimy Rosjanom wiedzieć o naszej ostrej i wszechstronnej reakcji, tym większe jest prawdopodobieństwo ich odstraszenia.

Moje trzy zasadnicze cele są następujące: /1/ uspokoić Polaków, ale jednocześnie przygotować ich do każdej niespodzianki, /2/ zwiększyć cenę jakiegokolwiek akcji Sowietów, jeśli ona nastąpi, i /3/ rozpowszechniając informacje wcześniej - maksymalnie zniechęcać Sowietów do jakiegokolwiek militarnego posunięcia.

/tłum. S. Sieniewicz/

# — dialogi współczesne

## CNY KAPITALIZM

W ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych ideowe oraz intelektualne ożywienie ruchu konserwatywnego wnosi nowe elementy do apologetyki kapitalizmu. Dotychczas kapitalizm bronił się sam jako skuteczny i brutalny motor postępu cywilizacyjnego, bronił się w ten sposób przed argumentacją humanistyczną i moralną socjalistów. Obecnie energiczne elity neokonserwatywne próbują przynieść rozstrzygającą walkę ze śniadną lewicą na pole, które dotychczas było własnie domeną lewicy: na płaszczyźnie sporu etycznego. Tam usiłują dowieść moralnej wyższości kapitalizmu nad wszystkimi systemami ekonomicznymi.

Przeswiadczenie, że polską i amerykańską tradycję polityczną łączy, mimo wszelkich różnic, idealizm, pożądane jest śledzenie

przez naszą rozbudzoną myśl nielewicową intelektualnych doświadczonych amerykańskich neokonserwatystów. Skłania to nas do zaprezentowania dyskusji, jaka odbyła się w redakcji HARPER'S MAGAZINE w grudniu 1986 r.

/red./.

### Uczestnicy dyskusji:

Lewis H. Lapham - wydawca Harper's Magazine.

Michael Novak - American Enterprise Institute, autor książek: "The Spirit of Democratic Capitalism" /Duch kapitalizmu demokratycznego/, "Freedom with Justice" /Ze sprawiedliwością na ty/, "Will it Liberate?: Questions About Liberation Theology" /Czy się wyzwoli? Pytania o teologię wyzwolenia/.

Walter B. Wriston - przewodniczący Prezydenckiego Komitetu Doradczego d/s Polityki Gospodarczej.

Robert Lekachman - profesor ekonomii z Lehman College na Uniwersytecie Nowojorskim, autor książek: "The Age of Keynes" /Era Keynesa/ i "Greed is not Enough: Reaganomics" /Chęć zysku to nie wszystko: Reaganomika/, "Visions and Nightmares: America After Reagan" /Proroctwa i koszmary: Ameryka poreaganowska/.

Peter Steinfelds - wydawca Commonweal - czasopisma laikatu katolickiego.

Lewis H. Lapham: Na wstępie muszę wyznać, że nigdy nie byłem w stanie dostrzec jakiegokolwiek związku między kapitalizmem a moralnością. Nie widzę żadnego powodu, aby system ekonomiczny miał pasować, przypominać czy też w jakikolwiek inny sposób dążyć do dostrojenia się do istniejącego wcześniej systemu etycznego. Takie przystosowywanie się wygląda mi na łączenie ze sobą rzeczy zupełnie odmiennych, na przykład jabłek i gruszek albo orkiestr symfonicznych i tenisówek.

Przeszłość dostarcza mnóstwa przykładów na taki właśnie podział rzeczywistości. Poeci i duchowni prowadzili kiedyś w oddzielnych księgach ścisłe rachunki tego, co należne było Bogu i tego - cc Mamonie. Konserwatyści starej daty zadowalali się obroną naszego systemu na skąpych gruncie prawa własności oraz wolności jednostki. Jednakże współczesnym Amerykanom zależy bardzo na jednym i na drugim. Nie lubią uznawać istnienia szalonej dysproporcji między ich systemami etycznym i ekonomicznym. Oznaki tego ich zawiązania można dostrzec w telewizji, artykułach wstępnych, w kampaniach wyborczych. Znajduję to również w pismach Michaela Novaka, wybitnego badacza moralności kapitalizmu. Pan Novak dowodzi, że kapitalizm jako system społeczny w sposób naturalny wykazuje moralną wyższość nad socjalizmem. Taki sposób rozumowania uderza mnie wykrętnością, więc może zaczęlibyśmy od wysłuchania, jak to tłumaczysz, Michael.

Michael Novak: Zgodzę się, że kapitalizmowi, jako systemowi ekonomicznemu, można postawić wiele zarzutów natury moralnej. Nigdy nie dowodziłem, że wszystkie zalety i cnoty właściwe doskonałej moralności tkwią immanentnie w kapitalizmie. Ten system ekonomiczny jest odpowiednio równoważony przez sferę polityki i kultury. Z większością tego, co dotychczas powiedziałeś, nie mogę się jednak zgodzić. Nie zdarzyło się w ciągu ostatniego stulecia, by tak wiele krajów odstąpiło od socjalistycznego eksperymentu. Nigdy też zdolność kapitalizmu do odciążania biedoty z dna oraz tworzenia demokratycznych zwyczajów nie była dostrzegana wyraźniej, nawet przez nieprzyjanych krytyków. I to jest ów

szerszy kontekst, w którym pragnę dyskutować o amerykańskim kapitalizmie.

W porównaniu z systemami tradycyjnym i socjalistycznym - kapitalizm wszczepia pewien zasób cnot związanych z poszanowaniem czasu, osobistą niezależnością, inicjatywą, wiarą w siebie, rodziną. Początek swój bierze z rozkwitu instytucji, które wyzwalały twórczą inicjatywę, wynalazczość i odkrywczosc. Jak wskazuje na to źródłosłów, najgłębsze korzenie kapitalizmu sięgają ludzkiej głowy. Społeczeństwo, które organizuje instytucje sprzyjające tym trzem dążnościom, będzie społeczeństwem najbardziej powołanym do likwidacji nędzy i wytwarzania nie znanego dotąd ekonomicznego dynamizmu. Do instytucji tych kapitalizm dodaje nowe pojęcie wspólnoty - wspólnoty opartej nie na rodzinie, plemienu czy na kryteriach etnicznych, lecz na dobrowolnym stowarzyszeniu. Kapitalista wyobraża sobie ogólne dobro jako zakorzenione nie w intencji, lecz raczej w wolności osób do posiadania własnych, indywidualnych wizji powszechnego dobra. I te właśnie wizje, zebrane wszystkie razem, wyznaczają poziom ogólnego dobra - wyższy, niż to było dotychczas możliwe.

Lapham: Moje własne doświadczenie podpowiada mi, że im większa instytucja, tym mniejsza jest zdolność do tworzenia. Walterze Wriston, jak pan sądzi? Czy kapitalistyczne instytucje funkcjonują w rzeczywistości tak samo dobrze jak w książkach Michaela Kovaka? Jakie jest pańskie stanowisko w kwestii moralności kapitalizmu?

Walter B. Wriston: Moralność dotyczy wyłącznie jednostek, nie instytucji. Istnieją kapitaliści moralni i niemoralni. Ja akurat wierzę, że najważniejszą zaletą moralną jest wolność indywidualna. Który system społeczny daje jej więcej niż pozostałe? Zapis historyczny jest w tej sprawie zupełnie jednoznaczny. Rządy centralistyczne polegają na sile policyjnej w nakłanianiu ludzi do rzeczy nie leżących w ich interesie. Niemożliwością jest, aby planowanie scentralizowane, choćby i najbardziej wykonywane, mogło na jakimkolwiek etapie oferować rozsądny wybór. Nikt nie jest wystarczającą zręczny, by kierować gospodarką z korzyścią dla wszystkich. Jest to po prostu niemożliwe.

Zamiast planowania centralnego rozwinęliśmy system cenowy, pozwalający każdej jednostce komunikować się z milionami innych w sposób, który - choć niedoskonały - umożliwia jej podejmowanie rozsądnych decyzji ekonomicznych dotyczących jej własnego życia. To rozszerza skalę wolności. I to stanowi moją odpowiedź na pańskie pytanie o moralność kapitalistyczną. Kiedy wszystko już zostało powiedziane i zrobione, głównym moralnym imperatywem pozostaje jak największe poszerzenie ludzkiej wolności; i to właśnie demokratyczny kapitalizm przystaje do tego pojęcia bardziej niż jakakolwiek forma społecznej organizacji.

Robert Lekachman: Jakkolwiek może to zabrzmieć skandalicznie, to gdy dochodzi do sprawy sposobu postępowania kapitalisty, zawsze biorę stronę Milтона Friedmana. Dowodził on konsekwentnie, że jedyną funkcją sprawnego kapitalisty jest zwiększanie zysku w ramach ustanowionego przez stosowne władze prawa. Sugeruje to, że nie ma żadnego związku między sposobem działania kapitalisty a moralnością efektu końcowego. Pod względem moralnym kapitalizm prezentuje się najlepiej w takich krajach jak Szwecja czy Kanada, a więc tam, gdzie ograniczenia pochodzące z zewnątrz mają na działania kapitalisty wpływ większy niż w USA. Do czegoś, co dało-

by się określić postępowaniem moralnym, można by się przybliżyć wówczas, jeśli idzie się ku temu przestrzegając zasady o produktach, które nie trują konsumentów, i o źródłach energii, które nie zanieczyszczają środowiska. Nie osiągnie się jednak tego poprzez spontaniczne działania wyciskaczy zysku w naszym szczególnym kapitalistycznym systemie.

Daniel Bell dowodził, że amoralny pościg za zyskiem może zniweczyć prawdziwie burżuazyjne cnoty, od których uzależniony jest rozwój kapitalizmu, a więc oszczędność, powściągliwość w zaspokajaniu zachcianek, nastawienie na zrobienie kariery. Siła indywidualności może być tak duża, że jest trochę ludzi, którzy rzeczywiście oszczędzają pieniądze. Choć niezbyt wielu ludzi i niezbyt dużo pieniędzy. A jednak cała siła ciągu naszej amerykańskiej formy kapitalizmu polega na popieraniu kupowania i zapożyczania się. Kapitalizm podkopuje nie tylko mieszczańskie cnoty, lecz również nasze instytucje polityczne. Nierówny podział władzy ekonomicznej przekłada się na takiż podział władzy politycznej. A ten ostatni jest u nas o wiele bardziej nierówny niż w jakimkolwiek innym rozwiniętym kraju przemysłowym na świecie.

Novak: Milton Friedman nie jest aż tak pozornie prosty w tym, jak mówi o "maksymalizowaniu zysków". Należy brać pod uwagę prawo, wymogi moralne i różnorodne, długoterminowe cele gospodarcze. Zastąpmy mętne słowo "zysk" określeniem "rozwój gospodarczy". Nawyk myślowy, który sprawia, że pragnie się popierać rozwój ekonomiczny, jest nawykiem moralnym. Nie wszystkie kultury go prezentują. A to wymaga nowej moralności, jak stwierdził Max Weber, gdy po raz pierwszy opisywał etykę protestancką. To, o czym mówimy, nie jest po prostu żądzą zysku. Weber nazwał to "błędem o gródka dziecięcego".

Peter Steinfeld: Zgodzę się, oczywiście, z Michael'em, że przedsiębiorczość jest cnotą. Zaletami są wynalazczość i inwencja twórcza. Zgodzę się też, że instytucje kapitalistyczne i wolny rynek wzmacniają te szczególne zalety. To jednak, o czym mówimy, jest - wedle określenia Josepha Schumpetera - "twórczą destrukcją". Wynalazczość i zdolność tworzenia, które kapitaliście obdarzonemu wyobraźnią przyniosą sukces, innego, mniej lotnego - mogą wysadzić z interesu.

Wydaje mi się, że taka moralność, jaką z powodzeniem wytworzyli amerykańscy kapitaliści, jest w dużym stopniu wspomagana przez ograniczenia pochodzące z zewnątrz, o których wspominał Bob; hamulce określające granice ostrości walki konkurencyjnej oraz to, co jest dopuszczalne w zmaganiach o zysk. Zgadzam się oczywiście, że istnieje wielu uczciwych ludzi próbujących być takimi kapitalistami. Co mnie zaskakuje, to sposób, w jaki ogólna suma nacisków wewnątrzsystemowych oddziaływa na poszczególnych kapitalistów, utrudniając im moralne zachowania w otaczającym ich świecie.

Novak: Arystoteles powiedział, że w polityce musimy się zadowalać "domieszką cnoty". I w demokracji, i w systemach ekonomicznych nieodłącznie tkwi korupcja. Musimy się na wstępie zgodzić, że korupcja przenika ludzkosć powszechnie i że wszystkie systemy zawierają w sobie ograniczenia.

Lekachman: Czemu nie? Zaczniemy od rozważenia szczególnie przerażającego przykładu kapitalizmu przy pracy: forda "Pinto". Inżynierowie samochodowej spółki Forda powiadomili swoje kierownictwo, że umiejscowienie zbiornika paliwa w "Pinto" zwiększyło ryzyko nieszczęśliwych wypadków przy zderzeniach tylnych. Obli-

czono więc, że kwota, jaką trzeba będzie płacić w konsekwencji przegranych procesów sądowych, wszczętych z powodu ofiar i okaleczeń, jest mniejsza niż koszt przemieszczenia zbiornika paliwa. I zamiechano działka. Co panowie na to?

Wriston: Zdarza się oczywiście w interesach podejmowanie fatalnych decyzji. Aczkolwiek po pewnym czasie rynek karze ludzi, którzy te decyzje podejmują.

Novak: To, że wyprodukowano tandetne wyroby i zniweczono ludzkie wartości, nie jest ważkim argumentem przeciw kapitalizmowi. To się odnosi do każdego znanego nam systemu ekonomicznego.

Wriston: W warunkach kapitalizmu demokratycznego ludzie mają możliwość wyboru, a głosują poprzez kupowanie tego, na co mają ochotę. Można kwestionować, że Jackie Collins dorównuje Arystotelesowi. To jest jednak wolne społeczeństwo. Czemu nie moglibyśmy mieć obojga? Z jakiej racji ktoś miałby narzucać społeczeństwu swój własny pogląd na to, co jest dobre?

Lekachman: Ja nie proponuję tego robić.

Novak: A więc to nie jest uczciwie prowadzona dyskusja. Bob. Bawisz się z nami. Między socjalistyczną teorią a autorytarną praktyką istnieje dająca się doświadczalnie zademonstrować zgodność. Ty najpierw ją eksponujesz, a następnie chowasz, mówiąc, że to nie jest serio.

Lekachman: Ej, daj spokój, Michael.

Novak: Mówię całkiem poważnie. W alternatywie do podziału rynku stoi tylko podział polityczny. Powiedziałeś, że jesteś zwolennikiem zwiększenia kontroli. Wnioskuje, że masz na myśli kontrolę polityczną. Trzeciego wyjścia nie ma.

Lekachman: Nie twierdzę, że postępowalbym centralistycznie, aby zabronić tego czy tamtego. Mnie chodzi o to, że niekontrolowany pościg za zyskiem może sprzyjać produkcji szkodliwych dla ludzi substancji i wyrobów. I z tym właśnie, jak mi się wydaje, pogoń za zyskiem jest bezpośrednio związana.

Novak: Jeszcze raz pozwólcie mi zastąpić "zysk" - "rozwojem gospodarczym". Wyobraźcie sobie czasy Adama Smitha. Patrzył on na bezbrzeżne ubóstwo, a jeszcze do tego na wypełniających więzienia swoich rówieśników. Dostrzegał on jednak również możliwości stworzenia dobrobytu poprzez gospodarkę rynkową, dobrobytu tak wielkiego, że ubóstwo jako takie może pewnego dnia zniknąć. Widziana z tej perspektywy pogoń za rozwojem gospodarczym była bez wątpienia wielkim krokiem naprzód rodzaju ludzkiego. Zgadzałem się z Bobem, że istniejąca dziś skala ekonomicznej wolności rodzi możliwości nadużyć i powstawania zła; nie sądzę jednak, aby winy należało upatrywać w gonitwie za rozwojem gospodarczym. Systemy niekapitalistyczne także wytwarzają szkodliwe dla człowieka substancje i produkty.

Steinfels: Nie wystarczy mówić o towarzyszącej dziejom społeczeństw amoralności. Konkurencja na wolnym rynku może stworzyć warunki sprzyjające występki. Niektórzy szefowie większych korporacji skarżą się na przykład na obecną obsesję związaną z wpływami kwartalnymi. Każdy z nich wie, że jeśli się tych wpływów nie utrzymuje na wysokim poziomie, to zasoby spółki skurczą się, tak samo zresztą, jak osłabnie jego pozycja w firmie. Wpada więc w panikę i zwalnia tysiące ludzi. Czy te naciski są nieodłączną

częścią kapitalizmu?

Novak: Związa odpowiedź brzmi: tak. W każdym systemie walki konkurencyjnej tkwią moralne słabości. Istnieją także wykluczające konkurencyjne systemy, które sprzyjają większemu nawet zżu. Jednakże zasada konkurencyjności ma swą ciemną stronę, o czym musimy ustawicznie pamiętać.

Steinfels: Mogę to sprecyzować. Jeśli przyznajesz, że istnieje jakaś zalegalizowana ciemna strona wolnego rynku i że właśnie problem polega na tym, co z tym zrobić - to jest to wystarczające dobrą odpowiedzią. W końcu ani jeden poważny socjalistyczny myśliciel nie neguje ogromnej roli rynku w gospodarce. Ja po prostu nie chcę widzieć tych nieodłącznych nacisków moralnych spisanych w imię manifestacji ludzkiej natury, a nie chcę z tej prostej przyczyny, że gospodarki scentralizowane są jeszcze gorsze.

Wriston: Gazety zużyły ostatnio masę farby na problematykę krótkoterminowego wzrostu. Nikt jednak nie chce pisać o ogromnych inwestycjach czynionych z myślą o jutrze, a dokonywanych przez amerykańskie firmy i przedsiębiorców. Znam chyba z 400 - 500 szefów spółek i ani jeden z nich nie zaniebuje inwestycji przyszłościowych. Wymaga tego rynek. Jeśli się chce utrzymać zatrudnienie, wzrost gospodarczy oraz pragnie tworzyć stanowiska pracy - musi się inwestować perspektywnie.

Lapham: Chciałbym w to wierzyć, Walterze. Jednak prawdziwa inwestycja nie jest skierowana w przyszłość, lecz w przeszłość - w zadłużenie. Fuzje i przejmowanie przedsiębiorstw pochłaniają całą osiągalną gotówkę, używając jej do obsługi zadłużenia, a nie do badań i rozwoju. I wszyscy słyszymy o upadku jednej amerykańskiej spółki za drugą.

Wriston: I o utworzeniu 11 mln stanowisk pracy.

Lapham: Ale co to za stanowiska, Walterze? Sprzedawców hamburgerów w kioskach McDonalda?

Wriston: Absolutnie nie. Akurat teraz największy eksport Ameryki stanowią samoloty o wysokiej technice. Nie są one budowane przez facetów turlających hamburgery. Do Japonii eksportujemy struktury komputerowe. Przedmiotem eksportu są usługi. Tworzymy światowy rynek kapitału. W ciągu ostatniego dziesięciolecia kraje rozwijające się podwoiły swój produkt narodowy brutto. Nie zdarzyło się to nigdy dotąd. A dzieje się tak teraz, ponieważ kraje rozwijające się mają dostęp do światowego rynku, który przedtem nie istniał.

Lapham: Relacje z Trzeciego Świata, jakie znam z publikatorów, to nieodmiennie ponure opowieści o ubóstwie i przeludnieniu.

Wriston: Doprawdy? Czy wiecie, który kraj miał najwyższy wzrost produktu narodowego brutto w ubiegłym roku?

Lekachman: Chyba Brazylia.

Wriston: Tak, to była Brazylia ze swymi 8%. Jest to prawie dwa razy większa stopa wzrostu niż w Japonii i prawie trzy razy większa niż w Ameryce. Jak by to było możliwe, gdyby wszystkie zainwestowane tam pieniądze zostały zmarnowane lub wydane niewłaściwie?

Lekachman: Chciałbym powrócić do owego domniemanego związku między moralnością a kapitalistycznym sposobem postępowania. Myślę, że niewiele daje tu mówienie o istnieniu ludzi moralnych i nie. Rzeczywiście zaś przyjrzeć się należy systemowi kar i nagród, co się wiąże z różnorodnością wykonywanych przez ludzi funkcji. Na przykład na menadżera wywiera się presję w celu zwiększenia zarobków. Jako człowiek może on nawet ubolewać nad krzywdą, jaką wyrządza swym pracownikom. Ma on jednak bolesną świadomość, że każdy wydatek na poprawę bezpieczeństwa pracy zmniejszy jego wymierną wydajność.

Novak: Jeśli uważasz jednak, że wina leży po stronie samych instytucji kapitalistycznych, postaw sobie pytanie: w porównaniu z czym? Czy w tradycyjnych społeczeństwach przedkapitalistycznych woda była czystsza? Istoty ludzkie nie zawsze niszczą środowisko. Onę je również naprawiają. Porównując pod względem moralnym efekty działania instytucji socjalistycznych i kapitalistycznych, dąbnym przewagę tym ostatnim.

Lapham: Twierdzisz, że czysta woda pitna to kwestia moralna?

Novak: Mówię, że jeśli zamierza się porównywać różne systemy, to jednym z moralnych sprawdzianów powinna być jakość środowiska naturalnego.

Lapham: Ależ to nie jest problem moralny.

Lekachman: Ba, a co nim jest, Lewis? Zawsze chciałem to wiedzieć.

Lapham: Jeśli zastąpisz wszystkie ludzkie wartości motywem zysku, jeśli dobrobyt utożsamisz z wolnością, a rozwój z ostrożnością - wówczas będziesz w stanie usprawiedliwić wszystkie sposoby zdobywania pieniędzy. Ostatecznie dobrobyt, jako najwyższe dobro, jest środkiem do nabywania wszystkich pozostałych dóbr. Jeśli się to już dokonało, system znalazł się na drodze wiódącej go do pożarcia samego siebie.

Wriston: Twój argument się rozlatuje, Lewis, ponieważ nalegasz, ażeby dobrobyt nazywać najwyższym dobrem. Jednak to, czym świat się rzeczywiście interesuje, jest zysk. Na przykład twój zysk płynie z faktu bycia wydawcą. Jest to coś, co czujesz, gdy wychodząc do restauracji, słyszysz głosy: "O, idzie ten wielki wydawca Harper's Magazine".

Lapham: To się trafia o wiele rzadziej, niż by się wydawało.

Wriston: Rzecz w tym, że zysk wyraża się nie tylko pieniądzem. Zyskiem jest również nagroda Nobla, otrzymanie miana chirurga oku. Jeśli z "dobrobytu" robi się synonim "zysku", zmienia się cała argumentację. Nikt na serio nie dowodzi, że dobrobyt jest jedyną siłą napędową wszystkiego. Mówimy o motywie zysku, który funkcjonuje nawet w instytucjach nieprodukcyjnych. Czasem jest to prestiż, czasem miejsce do parkowania. Jednak jakaś forma systemu nagród istnieje w każdym społeczeństwie.

Lekachman: Prawdę powiedziawszy, to nadaliliśmy przesadne znaczenie czystemu gromadzeniu pieniędzy, a niebezpiecznie nisko oceniliśmy inne formy ludzkich dokonań. Nie jestem przekonany do karania za posiadanie pieniędzy. Co innego - ukaranie pieniądza? Tu jestem całkowicie za. W Ameryce jednak panuje zasada, że jeśli się jest słabo opłacanym, to znaczy, że się nie reprezentuje zbyt wielkiej wartości.

**Novak:** Czy mówisz o schyłkowym statusie intelektualistów? O zawisci?

**Lekachman:** O, nie. Wielu naszym intelektualistom powodzi się bardzo dobrze finansowo, a zatem cieszą się poważaniem.

**Novak:** Tak, nie ma na kuli ziemskiej drugiego społeczeństwa, które by miało tak wiele miejsc pracy w sektorze nieprodukcyjnym jak u nas. Duża większość Amerykanów wybiera to, na co ma ochotę a nie wybierają oni bynajmniej dążenia do dobrobytu. Większość znanych mi ludzi poszukuje pracy, która przyniesie im najpełniejsze zadowolenie. Oczywiście, pewien niewielki procent ludzi chce pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Sądzę jednak, że to niewysoka liczba.

**Lapham:** No, a co z tymi wszystkimi milionerami z amerykańskiego Senatu?

**Wriston:** Ty, Lewis, obrałeś taki kurs, że jeśli ktoś ma pieniądze, to ipso facto jest zły. Nie zgadzam się z tym.

**Lapham:** W naszym społeczeństwie bogactwo ocenia intelekt w taki sposób, jak Stalin, gdy mówił o papieżu: "Ilema dywizjami on dowodzi?" A intelekt dysponuje w USA znikomą ilością dywizji, o ile nie jest on zaprzęgnięty w usprawianianie jakiejś szczególnie pożytecznej technologii.

**Novak:** W jaki więc sposób dochodzimy do większej ilości laureatów Nobla niż jakikolwiek inny kraj? Jak to jest, że jeśli się chce osiągnąć szczyt swoich możliwości artystycznych, to trzeba jechać do Stanów, by tam występować?

**Lapham:** Ponieważ Stany leżą tam, gdzie są pieniądze. Bardzo chętnie zgodzę się z tym, że nasz system oświatowy wydaje ogromne sumy, wypuszczając zastępy przeciętniaków do służby na różnych szczeblach biurokracji.

**Lekachman:** Nasz system oświatowy uważam za jedną z największych naszych porażek. Przez ostatnie dwanaście lat wykiadałem na Uniwersytecie Miejskim w Nowym Jorku. Moi studenci to ambitni młodzi ludzie, którzy są uciekinierami z nowojorskiego systemu państwowego szkolnictwa średniego. Są inteligentni, będąc jednocześnie półanalfabetami. Dziwi ich stawianie przecinka w liczbach dziesiętnych, zbijają ich z tropu ułamki mieszane, a poza tym są niemal zupełnie pozbawieni samodzielności po dwunastu latach państwowej edukacji.

**Novak:** Zgadzam się z tobą, Bob, co do słabości naszego systemu oświatowego. Brakuje mu pierwiastka konkurencji. Nasze szkolnictwo średnie stanowi w przeważającej części monopol państwowy i rodzi takie owoce, jakie zazwyczaj z tego rodzaju monopolu otrzymujemy.

**Lekachman:** Cóż, szkolnictwo tradycyjnie też było monopolem państwowym i najwyraźniej osiągało lepsze wyniki niż dziś.

**Lapham:** Przejdźmy do pytania o przyszłość kapitalizmu. Czy sądzicie, że kapitalizm będzie trwał wiecznie? Ja, oczywiście, odmawiam mu niesmiertelności. Jest on dla mnie po prostu mechanizmem. Odkryli go w jedenastym wieku Chińczycy i stwierdziliśmy, że jest to zbyt niebezpieczna i swawolna siła, po prostu zakopali ją z powrotem w piachu.

**Wriston:** I głodowali przez następne tysiąclecie.



**Lapham:** Tworzyli także wielką poezję i piękne malarstwo. A my? Nie widzę przed sobą kraju pełnego uszczęśliwionych twarzy. W najbogatszym kraju świata, posiadającym najwspanialsze zabawki i rozrywki, jakie w ogóle zostały wynalezione, znajduję zgrzyotę, przygnębienie, strach. Cierpimy na obsesję zagrożenia. Trudniej jest się dostać do biur "New York Timesa" niż do Pentagonu. Ustanawiamy prawa przeciw narkomanii, wydajemy majątek usiłując zapobiec sprzedaży niebezpiecznych środków. Mamy jednak wysoki wskaźnik przestępstw, nadużywanie narkotyków, mamy przemoc. Wszystko to niezupełnie świadczy o dobroczynności systemu ekonomicznego.

**Steinfeld:** Uznajesz nas tutaj za wysokiej klasy przeciwników kapitalizmu. Ja osobście nie obawiam się tego, że kapitalizm stanie wkrótce w obliczu upadku. Lękam się natomiast osiągnięcia przezeń konsumpcyjnego sukcesu na wszystkich polach.

Kapitalizm jest tak dynamiczny, że przejmuje nowe ważne dziedziny życia. Na wielu przykładach widać, że system ten w początkowej fazie reaguje na rzeczywiste potrzeby, kończy zmieniając moralność podstawowych stosunków międzyludzkich.

**Lekachman:** Mój przyjaciel lubi powtarzać, że kapitalizm jest skazany, lecz zanim ostatecznie runie, upłynie co najmniej sto lat. Na krótką metę spodziewam się raczej zabejtania tego systemu aniżeli jego upadku. Weźmy te wszystkie nowe miejsca pracy, które "utworzono" w ostatnich latach. Z trudem dotrzymują one kroku liczebnemu wzrostowi siły roboczej. Mamy niemal ten sam procent bezrobocia /z dziesiętymi odchyleniami/, jak w chwili, gdy prezydent Reagan wchodził do Białego Domu. Statystyka podpowiada, że nasz i tak już nierówny podział dochodu i zasobów stał się jeszcze bardziej nierówny. Więcej ludzi grzeźnie w dolnych dwóch piątach podziału dochodu, zamiast windować się ze środowisk rejonów ku szczytowej jednej piątej. A dochód rodziny dotrzymuje kroku inflacji niemal wyłącznie dlatego, że więcej kobiet poszło do pracy. Michael wierzy, że kapitalizm sprzyja rodzinie. No cóż, ja odnoszę wrażenie, że kapitalizm właśnie zwiększa nacisk na rodzinę, przekształcając ją w jednostkę czysto ekonomiczną, podporządkowaną stresom i naporowi świata zewnętrznego.

Nie jestem pewien, Lewis, czy kapitalizm toruje drogę opisaną przez ciebie ogólnemu przygnębieniu. Z całą jednak pewnością sprzyja on grze, w której - co nieuniknione - jest więcej przegranych niż zwycięzców. Tworzymy społeczeństwo gardzące ludźmi przegranymi w kapitalistycznym wyścigu. Wydaje się, że jest coraz mniej i mniej ludzi związanych z czymkolwiek innym niż codzienne podbudowywanie swej finansowej sytuacji. Coś takiego nie jest drogą ku dobru powszechnemu.

**Novak:** Bob, z ostatnich trzech kryzysów przepowiedziałeś dwadzieścia cztery. Upadku kapitalizmu upatrujesz, gdziekolwiek się obrócisz. Pocziesz mnie to, że przesuwasz go o sto lat. To prawdziwy triumf kapitalizmu w Świecie Boba Lekachmana. W każdym razie powinienem podkreślić, że wszystkie twoje twierdzenia mają podstawy empiryczne. Opierają się na faktach niezależnie od tego, czy te fakty je wspierają, czy nie. Przyjrzyjmy się więc faktom i sprawdźmy, czy twoja wizja upadku Stanów Zjednoczonych wytrzymuje próbę.

A więc na początek nie jest prawdą, że zatrudnienie w ciągu

ostatnich sześciu lat ledwo nadążało za wzrostem siły roboczej. Obecnie pracą ma większy procent Amerykanów między szesnastym a szesdziesiątym piątym rokiem życia niż kiedykolwiek w naszej historii. A co do twoich danych na temat podziału dochodu narodowego, to górne 5% Amerykanów straciło od roku 1947 ze swojej puli 24. wielki wzrost tego udziału zanotowało następnę w kolejności 15% Amerykanów. Co zaś do stwierdzenia, że kapitalizm lansuje zestaw gier, w których jest więcej przegranych niż zwycięzców, to

ile gier istnieje na przykład w takiej Polsce, gdzie w całym mieście jest tylko jedna gra - państwowa? Twierdziłbym, że w kraju, w którym w ciągu tygodnia powstaje 13 tys. nowych spółek, rodzi się wielu zwycięzców, wliczając w to nowo zatrudnionych. Rzecz w tym, że ludzie nie bez powodów przywiązują się do pewnych liczb, a do innych nie. Uważam, że jeżeli przedstawisz poglądy poparte faktami, to każdy z nas musi wyłożyć swoje empiryczne karty na stół. Wówczas ludzie będą mogli wybrać sami.

Lapham: Wyglądzakoby na to, że nikt już nie ufa danym drugiego.

Lakachman: Manipulujemy również porównaniami. Najbardziej korzystnym dla naszego społeczeństwa porównaniem jest oczywiście system sowiecki. Wygrywały tu wyraźnie na wielu polach. Chyba jednak powinniśmy się porównywać z dawniejszym społeczeństwem amerykańskim. Rzekłbym na przykład, że okres Nowego Ładu, mimo ekonomicznych zaburzeń, był bardziej optymistycznym, bardziej twórczym i powszechnie ożywionym okresem niż nasze ostatnie dziesięciolecie.

Do najbardziej podziwianych przeze mnie zjawisk Nowego Ładu zaliczam Social Security Act /Ustawę o opiece społecznej/, National Labor Relations Act /Ustawę o wzajemnych stosunkach pracodawców i pracowników/, uczciwe normy pracy. Przedsięwzięcia te chroniły zwykłych obywateli przed klęskami ubóstwa, starości, bezrobocia i innych społecznych dolegliwości. Od półwiecza zagodziły amerykański kapitalizm i czyniły go znośnym. Nowy Ład miał też, oczywiście, swoje niedoskonałości. Patrząc na takie czasy, nie jestem szczególnie wielbicielem Franklina Roosevelta, ponieważ ratując kapitalizm, zahamował nadchodzącą rewolucję. Na dobre czy na złe - Roosevelt jednak kapitalizm uratował.

Novak: Idea kapitalizmu demokratycznego mieści się oczywiście w Nowym Ładzie. Mówimy teraz o ekonomii politycznej, nie zaś po prostu o ekonomii.

Lapham: Kiedy w 1960 r. przyjechałem do Nowego Jorku, ludzie mojego pokolenia wiązali z przyszłością wielkie nadzieje. Uważali, że poziom życia przewyższą swych rodziców. Większość młodych ludzi znanych mi dziś ustawicznie ogląda się za siebie. Nie stac ich na kupno mieszkania w Nowym Jorku. Nie są w stanie włączyć się do życia środowiska miejskiego. Są głęboko cyniczni wobec prawa i całkowicie wyobcowani z realiów polityki. Większość z nich nie ma pojęcia, kto jest przeciw komu i dlaczego.

Wriston: Mimo całego szacunku, Lewis, twój przykład jest zbyt wąski. Mroczni ludzie, których ja znam, mają akurat odmiennie spojrzenie. Dostrzegają nowe możliwości, żywią wielkie nadzieje. Porównajcie tu spektakli Jimmiego Cartera, gdy wrócił z Camp David i opowiadał nam o fatalnym samopoczuciu Amerykanów z ostatnimi obchodami Święta Niepodległości. Jest wielka zmiana.

A jeśli chodzi o strach przed światem przestępczym, to masz absolutną rację. Nie mam na to odpowiedzi. Wiem jednak, że nie byłem nigdy tak przerażony na ulicach Nowego Jorku, jak podczas mojego pobytu w Moskwie. Różnica polega jednak na tym, że tam to władza cię napastuje. Albo też aresztuje, jak na przykład Daniloffa.

Lapham: Uwierz mi, Walterze, że wolałbym spać raczej w ambasadzie amerykańskiej w Moskwie niż na stacji kolejki podziemnej przy 9 Ulicy w Nowym Jorku. A poza tym w ambasadzie jest obsługa hotelowa.

Novak: Porusza mnie ta nienawiść do samego siebie, jaką dziś ujawniasz, Lewis. Ten rodzaj nienawiści oraz przygnębienie, które dostrzegasz u wielu Amerykanów, z pewnością świadczą o zwiększonej wrogości do samego systemu kapitalistycznego. Możliwe, że morale związane z naszym systemem jest niskie. Jeśli tak się dzieje, to dlatego, że Amerykanów nauczono takiej nienawiści do własnego systemu. Praktycznie biorąc jest to stałym motywem naszej tradycji literackiej.

Podejrzewam, że problem ten będzie stopniowo przezyciężany, gdy do ludzkich umysłów zacznie docierać świadomość istnienia wyboru. Jedna rzecz w naszej dyskusji wyszła na jaw bardzo wyraźnie: to, że wszyscy jesteśmy zwolennikami kapitalizmu. Nawet ci, którzy określają się jako demokratyczni socjaliści, korzystają z opisywanych przez nas instytucji: rynku, własności prywatnej, patentów, wolnych i legalnych stowarzyszeń tak ważnych dla systemu takiego, jak nasz. Niewiele zostało miejsca dla intelektualnej lewicy.

Steinfels: Nie sądzę, aby istniało coś w rodzaju nienawiści do kapitalizmu, co zdają się sugerować Lewis i Michael. Mogą powstać poważne wątpliwości co do zalet systemu w dzisiejszej jego postaci, nie widzę jednak zagrożenia samej jego zasadności. Twierdzisz, że ono istnieje, to znaczy odciągając nas od rzeczywistych problemów.

Novak: Czterdzieści lat temu Jaques Maritain przepowiedział, że pojawi się "poszukiwanie sensu" jako główny motyw amerykańskiego życia. Maritain uważał, że wskutek absolutnego sukcesu systemu demokratycznego kapitalizmu, problem osobistego przetrwania straci na znaczeniu, podczas gdy na wartości zyskają pytania o sens. Sądzę, że ta przepowiednia zaczyna się sprawdzać. Będzie to od nas wymagało poważniejszyc niż dotąd przemyśleń nad naturą naszego systemu. Musimy pojnować kapitalizm, ujmowany jego własną terminologią ideologiczną, tak, abyśmy mogli go modyfikować i reformować oraz, jak się wyraził Thomas Jefferson, rewolucjonizować go w każdym pokoleniu.

Lapham: Można sobie wyobrazić, że to poszukiwanie sensu przybierze formy religijne. Nie przypuszczam, aby czysta dynamika kapitalizmu dawała Amerykanom poczucie spełnienia odpowiadające ich dawnym oczekiwaniom. Zaryzykowałbym też twierdzenie, że niezupełnie wykluczone, iż w 2000 r. na liście kandydatów do prezydentury znajdują się tacy ludzie, jak Pat Robertson czy Jerry Falwell.

Lekachman: Jeśli chodzi o rok 2000, to muszę się przyznać do umiarkowanego optymizmu. Sądzę, że podążamy ku trudnym czasom. Bezgranicznie głupie tendencje, które miały swój początek za kadencji Cartera i uwidaczniały się w erze Reagana, są wystarczająco

jąco silne, aby przetrwały jeszcze przez kilka następnych lat. Spodziewam się jednak, że do czasu wyborów prezydenckich w 1992 roku wyłoni się tyle kłopotów gospodarczych, tyle niespełnionych oczekiwań o charakterze czysto osobistym, które w ostatnim dziesięcioleciu tworzyły dominujący etos - że to już wystarczy, abyśmy wybrali Kongres i prezydenta z umiarkowanej lewicy - w amerykańskim rozumieniu. A następnie powrócimy do zaniedbanego zadania, jakim jest odbudowa związku między korzyścią ogółu a indywidualną działalnością gospodarczą, co jest charakterystyczne dla najwyższej rozwiniętych gospodarek kapitalistycznych. Przyjmując, że się wzajemnie nie powysadzamy w powietrze, ośmielam się twierdzić, że w roku 2000 doczekam się krajobrazu bardziej pociągającego niż dzisiejszy, z roku 1986.

TKum. Seweryn Sieniewicz

Józef Lebedowski

#### POLEGŁEMU

Płomień opadł deszczem popiołu. Młode ręce  
są już trawą, kłęczami bylin, próchnicą.  
Nigdy usta swoje śmierci nie wykrzyczą,  
nie powieje na wiatrach plesnią zżarty cafun.  
W śnie nie przychodź, nie nawiedzaj mnie więcej.  
Życia nie spełnionego nie żałuj.

Uniosły cię rzeki ogniste  
tam, gdzie w lawę zamienia się ziemia.  
Przywaliły cię lądy wiekuiste,  
iżesz zgłuchł i oniemiał.  
Nie zdążyłeś odcisnąć stopy w kamieniu,  
nie umiałeś nazwać nocy po imieniu,  
głos twój glinę drążył  
nieporadnym radłem.  
Chciałeś biec, chciałeś zdążyć,  
poślizgnąłeś się we własnej krwi,  
upadłeś.

Któryś stawał na nieprawych sądach,  
przywleczony katowskim powozem,  
nie nawiedzaj mnie we śnie, rachunku nie żadaj,  
nie zagrezi nikomu twój pozew.  
Odprawili jednodniową żałobę,  
pocmodlili się - im głośniejszy, tym obłudniejszy.  
Krzyk twój runął w czarną przepaść grobu -  
kamień w bezdenną studnię.

Nie przychodź. Nie mam nowin, bym cię rozradował.  
Nie rozpytuj. Nie znam odpowiedzi.  
Przekuto nasze czułe słowa  
na blachy brzęczącej miedzi.

Każde źródło zgnilizną rdzawi,  
ślepną źrenicę błyskawic  
i w laurowym gaju echa nas przedrzeźniają  
wrzaskami pawli.

Nie zazdrość żywym, który nie musisz  
swego zgonu się zapierać, któryś czysty.  
Nasze dni to szaleńcy, głusi  
na śpiew bezsilnego egzorcysty.

Nasze lata - pijani grabarze,  
co się wadzą u mogił tych samych.  
Zanim palec ognisty po kolei wskaże  
gromady w mrok edpływających cieni,  
odpoczywamy u cmentarnej bramy,  
śmierci trzeźliwi, a z życiem skłóćeni.

Z piekła wyszliśmy i na nowo konamy,  
przez mękę nieodkupieni.

**George Watson**

**KONSERWATYWNA**

**SPRZECZNOŚĆ**

Błędne odczytanie ducha Adama Smith'a  
KONSERWATYSCY I KONKURENCJA

OBCENIE CZESTO SŁYSZYMY, że prywatne i konkurencyjne przedsiębiorstwo jest konserwatywne. Ale dlaczego - tego nam się nie mówi.

Nie jest to pogląd staroświecki - "neokonserwatywizm" wśród intelektualistów anglo-amerykańskich ma zaledwie dziesięć lat. Od czasu jednak, gdy w 1975 r. po raz pierwszy wybrano Margaret Thatcher liderem Partii Konserwatywnej, "konkurencja" urosła do czołowego sloganu konserwatystów, przyjętego później w 1981 r. przez prezydenta Reagana. Stanom Zjednoczonym wyraźnie brakuje ciągłości w tradycji politycznego konserwatyzmu, pod tą czy jakąkolwiek inną nazwą; głównie chyba dlatego, że nigdy nie posiadały one kościelnej hierarchii/elity/ ani monarchii - przynajmniej nie dziedzicznej. Natomiast w Anglii wszystko jest inaczej. O pani Thatcher mówi się nawet, że przeczytała "Wealth of Nations" /1776/ Adama Smith'a, książkę, która mimo ponad dwóchsetletniego rodowodu, wciąż pozostaje klasycznym podręcznikiem ducha konkurencji. W 1979 r., pierwsze z trzech wyborczych zwycięstw pani Thatcher znowu przewiodło Anglię /taką rolę pełniła już ona w ubiegłym stuleciu/ do roli przewodnika sfery polityki świata zachodniego.

Pytanie, nad którym musimy się poważnie pochylić brzmi: dokąd nas ów przewodnik prowadzi oraz czy mamy "w ciemno" za nim podążać.

W dalszej analizie posłużę się raczej słowem "konkurencja" aniżeli "kapitalizm" - nie dlatego nawet, że jest on pojęciem wyciągniętym z socjalistycznego lamusa, zupełnie nieprzydatnym w rozważaniach, lecz dlatego, że sprowadza /i zawsze sprowadzał/ ra manowce. W końcu każda gospodarka - nie wyłączając najmniejszej nawet gospodarki socjalistycznej Europy Wschodniej - z konieczności zależy od kapitału; tak więc sugerowany pogląd, iż owo uzależnienie odróżnia zachodnią gospodarkę prywatną od państwowej gospodarki Wschodu, jest doprawdy absurdalny. Spór ekonomiczny Wschód - Zachód sprowadza się do zderzenia ze sobą monopolu i konkurencji. Jeśli chodzi o neokonserwatystów, spór ten przybiera postać dwóch kwestii. Czy partie konserwatywne zachodniego świata naprawdę mogą wylegitymować się historycznym powinowactwem /o czym nas zapewniają od 1975 r./ z konkurencyjnymi zasadami wolnego rynku? A niezależnie od tego, czy tak jest, czy nie - czy społeczne skutki konkurencji wolnorynkowej mogą w ogóle mieć charakter konserwatywny. Przyjrzyjmy się tym dwóm kwestiom po kolei.

HISTORYCZNE POWINOWACTWO brytyjskiej partii konserwatywnej z konkurencją we własnym kraju i wolnym handlem z zagranicą było krótkotrwałe i wątłe, zanim pani Thatcher objęła jej przywództwo. I nic dziwnego, skoro to właśnie wolny handel wysadził na dziesiątki lat wiktoriańskich torysów z siódka partii rządzącej.

Kłopot polegał na tym, że partia wywodząca swój tytuł z dziedziczenia własności ziemskiej i uzależniona od bezwzględnie chronionych cen produktów rolnych, nie miała już żadnych argumentów w dobie rozszerzającego się prawa wyborczego. Przegrała spór o konkurencję; nie mogła już dłużej wymuszać protekcji poprzez zdyskredytowany system wyborczy, w znacznym stopniu odbierający głosy mieszczaństwu. Dwa lata po rozkładzie torysów, wywołanym sprawą wolnego handlu, John Stuart Mill odniósł miazdzące zwycięstwo intelektualne pisząc książkę "Principles of Political Economy", którą wydał w 1848 r. Triumf był tak całkowity, że aż do lat 1870 większość konserwatystów wolała zapomnieć o swoich tradycyjnych zastrzeżeniach wobec konkurencji, aby nie tracić wszelkich szans na urząd. Za protekcją nie już nie przemawiało. Londyński "The Times" święcił 1 czerwca 1876 r. setną rocznicę "The Wealth of Nations" gratulacyjnym stwierdzeniem: "Teraz wszyscy, przynajmniej z zawodu, praktykujemy wolny handel".

Nawet Disraeli, który cztery lata wcześniej, zasiadając na ławach opozycji, osmielił się wystąpić w obronie protekcjonizmu, kiedy w dwa lata obejmował urząd, uznał, że w interesie wyborczym stosowniej będzie o tym zapomnieć. Kraj mógł po prostu nie przekonać cła imperialnego. Wszyscy wiedzieli, że przywódca torysów był wrogiem zasad konkurencji. Z powodu zniechęcenia wolnego handlu w 1846 r. podzielił własną partię; lata spędził na politycznym odludziu domagając się opłat importowych w interesie ziemiaństwa; utrzymywał, że odwiecznym zadaniem kierownictwa konserwatystów /jak napisał kiedyś do lorda Derby/ było "utrzymywanie pozycji arystokracji w tym kraju"; nazwał to "jedyną kwestią, bez względu na różnorodne formy, jakie mogła przyjąć". Konserwatyści byli wrogami handlu i wolnego rynku, nótorycznie byli partią wielkich wydatków na cele publiczne.

NIEWIELU 19-WIECZNYCH KONSERWATYSTÓW znalazłoby dobre słowo dla istoty reaganizmu-thatcheryzmu. Nienawidzili oni perspekty-

wy "sklepokracji" jako czegoś prymitywnego i pospolitego. W książce "Coningsby" /1844/ Disraeli otwarcie wysmiał propozycje swych kolegów o bardziej liberalnym nastawieniu, skłaniających się ku nowoczesnemu konserwatywnemu stowarzyszeniu z "bankierem jako przewodniczącym" i piwowarem jako wiceprzewodniczącym" /IV.5/. Bogactwo o długim rodowodzie mogło być konserwatywne; każdy jednak miał świadomość, że nowobogactwo pozbawione było krazy konserwatyzmu. Nie ma powodów aby było inaczej.

Ideałami dla XIX-wiecznych konserwatystów była centralistyczna władza kościoła i państwa, zaś idea silnego rządu to dla nich coś zupełnie naturalnego. Wielu wiktoriańskim umysłem jawili się oni raczej tak, jak w obecnym stuleciu my widzimy socjalistów, choć może jako bardziej wsteczni w swym zapatrzeniu w centralizm. Władzę stawiali na najwyższym świeczniku. "Konserwatysta żywi cześć dla rządu jako takiego /pisał Mill w liście z października 1831 r./.. Są mocno przekonani, że dla człowieka jest dobrodziejstwem, gdy ktos inny rządzi; gdy podporządkuje on swoje ciało i umysł przewodnictwu wyższej inteligencji i cnoty".

W tym rozumieniu etatyzmu mieściły się cła, a także, przynajmniej w Europie, głębokie oddanie instytucjom dziedzicznego przywileju oraz kościoła. Nic więc dziwnego, że u schyłku stulecia tacy socjaliści jak Sidney i Beatrice Webb w torysach upatrywali swych naturalnych sprzymierzeńców. A gdy wolny handel zaczynał zwyciężać, konserwatysty zagrozili mu ponownie.

Do 1885 r. lord Randolph Churchill /ojciec Winstona/ zabawił się nową wersją protekcjonizmu zwaną "uczciwym handlem"; w łonie Partii Konserwatywnej żywy był w latach 1880 i 1890 nurt o skłonnościach protekcjonistycznych, wyhamowany przez jej umiarkowanego przywódcę, lorda Salisbury, z obawy przed wpadnięciem nowych sojuszników - liberalnych unionistów - w ramiona Gladstone'a; a kiedy w 1903 r. Joseph Chamberlain, człowiek numer dwa w torysowskim rządzie Balfour'a, domagał się ceł, pchnął tym młodego Winstona Churchilla na drugą stronę Izby Gmin, wprost do ław Partii Liberalnej. Po zwycięstwie liberałów w 1905-1906 r. musiał Balfour, już w opozycji powstrzymać podzieloną Partię Torysowską w jej zapędach ku protekcjonizmowi, choćby tylko dlatego, by nie traciła nieustannie głosów. Nie udało mu się to; w 1909 r. konserwatysty byli już zdeklarowanymi przeciwnikami konkurencji. Beatrice Webb w swoim dzienniku pod datą lutego 1906 r. z uznaniem powitała ich przesunięcie w stronę protekcjonizmu: "polityka państwowej kontroli i zwiększania podatków" - pisała - mogła tylko uszczęśliwić wszystkich socjalistów.

Cła oznaczały powrót do tradycji torysowskiej. O żadnym 19-wiecznym rządzie konserwatywnym nie można powiedzieć, że kiedykolwiek zachęcał do konkurencji lub sprzyjał duchowi handlu. W gabinecie Disraeli'ego z 1874 r. zasiadał jeden tylko reprezentant nowych warstw kupieckich - R.A. Cross, bankier z Lancashire. Był ministrem spraw wewnętrznych, niewiele więc miał wspólnego z polityką ekonomiczną. Torysi stanowili partię ludzi bogatych od pokoleń; naturalna więc była wśród nich obawa przed konkurencją. Ich paniczny strach przed zliberalizowanym prawem wyborczym był zupełnie zrozumiały. Salisbury, wcale nie tak zadowolony z torys, jako młody członek parlamentu pisał w "Quarterly Review" w 1864 r., że "... rozszerzenie prawa wyborczego na klasy pracujące oznacza, że w kwestii podatków albo wydatków czy też problemów żywotnie związanych z handlem kilkudziesięciu robotnicy mogą przegłosować barona Rotschilda".

STWIERDZIŁ ON posępnie, że postulowane przez liberałów ludo-

w prawo wyborcze - jedna osoba jeden głos - to nie innego tylko "sen lunatyka". Wiele lat później, w 1883 r. w eseju "Dezintegracja" Salisbury zarysował zatruwającą wizję ponownie zatomizowanego świata, do którego musi przywieść Wielką Brytanię konkurencyjna industrializacja, jeśli się temu nie zapobiegnie. Wezwał on konserwatywną opozycję wobec rządu Gladstone'a do powrotu do "... tego ducha starej konstytucji, który utrzymywał naród jako całość, skupiając jego siły na celach o narodowym znaczeniu nie rozszczepiając go na zbiór nieprzyjaznych i nieufnych wobec siebie części".

Przedsiębiorstwa konkurencyjne niejako z natury rzeczy są nieprzyjaznymi i nieufnymi ciążami. Co gorsza, jak dostrzegł to niegdys Adam Smith, zwykle zagrażają instytucji dziedzicznych przywilejów. Nie ulega dla nikogo wątpliwości, że konkurencja wywiera radykalny wpływ na stosunki społeczne.

TO TYLE, jeśli chodzi o domniemanie. Kłopot z konserwatystami na tym bowiem polega, że aż do lat 1970 wyraźnie zbywało im na intelektualistach. Oto dlaczego tak niezwykle trudno jest udokumentować ich potyczkę z systemem wolnej konkurencji. Do pewnego momentu konserwatyzm był bardziej stanem umysłu niż aktywną i dociekliwą ideą.

Intelektualiści tego stulecia zazwyczaj nie byli konserwatystami; a jeśli się zdarzyło, najczęściej nie intelektualizowali swego konserwatyzmu. Konserwatyzm był czymś, w co zawsze wierzyli, albo w co popadli, kiedy już przestali wierzyć w cokolwiek. Ale od 1975 r. konserwatywni intelektualiści rzucili wyzwanie takiemu twierdzeniu, a nawet je obalili: tak można określić ostatnie i zdumiewające osiągnięcia ich trustów mózgow, konferencji oraz grup dyskusyjnych. Wszystko przemysłili na nowo. Pozostaje tylko pytanie, czy uczynili to bez reszty i czy trafnie.

PRZEMIANA IDEOLOGICZNA, jaką obserwujemy od lat 70-tych miała charakter niemal całościowy. Do dziś konserwatyści, czy raczej neo-konserwatyści, są najbardziej zaangażowanymi i najwyrazistszymi ideologami naszego wieku. W swym wybijającym się zaangażowaniu "nowa prawica" często przypomina "nową lewicę" z lat 1960; to nie powinno dziwić, skoro niektórzy z nich są w istocie byłymi neo-marksistami z lat 1960, którzy raptownie zmienili kostiumy z czerwonych na błękitne. Ich konferencje, żeby wspomnieć zgromadzenie "Rok 1984 za nami", któremu przewodniczył lord Chalfont w Londynie w marcu 1985 r., swym wrogiem zaciętrzewieniem przypominają szkoleniowe zjazdy starych marksistów; tyle tylko, że te są lepiej zorganizowane, rozreklamowane i oferują dużo lepsze alkohole i przekąski. Mają swoje czasopisma /być może właśnie to/; mają swoich guru. "Nowa prawica" nawet przypomina "nową lewicę" sprzed dwudziestu lat w sensie jej społecznego niedookreślenia, choć w przeciwnym kierunku.

Reaganizm-Thatcheryzm deklaruje się jako etyka biznesu. Uważa się za spadkobiercę tradycji Smith'a, a nawet Gladstone'a; a nie wie - lub pragnie wiedzieć - iż zarówno Adam Smith jak William Gladstone wierzyli, że bogactwo kraju powinno służyć nie tylko bogatym, lecz także wspierać biednych.

SPOŁECZNY RYNEK, jak z upodobaniem mówi socjaldemokrata dr David Owen, jest liberalną ideą wiktoriańską. W maju 1876 r. sam Gladstone /wtedy przywódca opozycji liberalnej/ wydał obiad dla uczczenia setnej rocznicy "The Wealth of Nations". Pierwszą zaletą tej wielkiej książki, jak przypomniał swym słuchaczom Gladstone, było dostrzeżenie, że dla jednostki "bogacenie się



nie jest najwyższym ideałem"; największą zaś ze wszystkich idei Smith'a było spożytkowanie nowego bogactwa, płynącego z konkurencyjnej gospodarki, dla zmniejszenia ubóstwa.

"Wielką zasługą nauki, której głównego twórcę upatrujemy w Smithcie nie jest to, że jeszcze bardziej wzbogaciła ona już bogatych, lecz to, że posiadała dobroczynną i błogosławioną tajemnicę przynoszenia ulgi wielu ludziom żyjącym w ciężkich i upokarzających warunkach oraz zapewnienia wygód, a nawet umiarkowanej obfitości nie dziesiątkom, setkom czy tysiącom, ale milionom tych, którym życie było dotąd ciężarem..." - i dodak, że "oddziaływanie handlu nie ogranicza się li tylko do celów materialnych".

INNymi SŁOWY Adam Smith jest w mniejszym stopniu patronem monetaryzmu, niż dostatkę; i czytając teksty wielkich klasyków ekonomii, nie da się obronić poglądu /o czym Gladstone dobrze wiedział/, że wierzyli oni wyłącznie w oszczędność i samowystarczalność. To już wykracza poza rzeczywistość lub życzeniową wiedzę neo-konserwatyizmu lat 1980. Co innego jednak jest czytać "The Wealth of Nations", tą głęboko szlachetną, liberalną książkę, co innego zaś zwrócić należyta uwagę na jej wymowę. "Żadne społeczeństwo z pewnością nie może być kwitnące ani szczęśliwe" pisał w swym arcydziele Adam Smith "jeśli jego większa część cierpi biedę i poniżenie. Nic zatem bardziej właściwego, aby ci, którzy całemu narodowi dostarczają odzież, tywność i mieszkania, sami mieli taki udział w owocach własnej pracy, jaki by im zapewnił przynajmniej znośne wyżywienie, ubranie i dach nad głową". To więcej niż oferuje socjalizm w każdym sowieckim obozie pracy czy nawet w miastach ZSRR. Tego żądali klasycyjni ekonomiści, a Adam Smith pamiętnie nazwał "wielkim społeczeństwem".

Można by zapytać, czy współcześni konserwatyści naprawdę zapomnieli o swoich etatystycznych i disraeliańskich korzeniach? Z pewnością nie: i coraz bardziej staje się widoczne, że pomiędzy sloganami o konkurencji a etatystyczną rzeczywistością reaganizmu-thatcherizmu ziele rozszerzająca się przepaść. Charakterystyczna dla koncepcji "zminimalizowanego państwa", powszechnie stosowana jest instytucja kontroli monetarnej i może ona istnieć pod warunkiem obniżonych wydatków publicznych. Nie ma u nas jednak niskich wydatków publicznych. Kontrola fiskalna ze strony niestrudzonej scentralizowanej władzy ma z pewnością zasady etatystyczne, zarówno Waszyngton jak i Londyn zapewniają nas, że kontrola zasobów pieniężnych stanowi istotny element polityki konserwatywistów. Piętno etatyzmu noszą również wysokie wydatki na zbrojenia; dopóki konserwatyści będą upierać się przy "wojnach gwiazdnych" czy raketach Trident, dopóty trudno będzie pogodzić ich politykę obronną z ograniczeniami monetarnymi. Prawo obalania samorządów metropolitalnych, a szczególnie Wielkiej Rady Londynu, przeformowane w parlamencie brytyjskim w 1984 r., wprowadziło nową i niepokojącą zasadę do polityki brytyjskiej - prawo rządu centralnego do obalania ciał pochodzących z wyboru, o ile rząd ten stwierdzi, że w drodze otwartych wyborów może nie uzyskać w nich większości.

Od tego momentu rząd pani Thatcher raz po raz wysuwa szpory centralizmu. W marcu 1985 r. minister spraw socjalnych, Norman Fowler, ogłosił obostrzenie prawa imigracyjnego w celu zahamowania nieograniczonego napływu do Wielkiej Brytanii lekarzy i dentyków, najczęściej nie-białych, z krajów nowej wspólnoty brytyjskiej /New Commonwealth/ - a wszystko to w imię protekcjonis-

tycznej tezy o "zasadniczej samowystarczalności Zjednoczonego Królestwa w tym zakresie". Rozporządzenie to wydano po silnych naciskach ze strony Brytyjskiego Towarzystwa Medycznego, które powitało je z aplauzem.

Od 1979 r. rząd pani Thatcher zwiększył generalnie rolę państwa w brytyjskiej gospodarce drogą większego wzrostu podatków indywidualnych, w wartościach bieżących /in real terms/, aniżeli jakkolwiek rząd socjalistyczny. Rząd przechwala się oficjalną polityką "przekupywania Brytyjczyków" /Buying British/; zupełnie jakby Disraeli i Joseph Chamberlain wstali z grobu lub powrócili z innego miejsca wiecznego spoczynku liderów partii torysów. Tymczasem ministerstwo skarbu ehełpi się "dobrą lokatą" /szowa Nigela Lawson'a w Izbie Gmin w 1984 r./, jaką było wyłożenie miliardów na przekamanie strajku węglowego Scargill'a. Reprywatyzacja British Gas, podobnie jak wcześniej firmy British Telecom, umocni tylko jej monopolistyczny charakter. Po kosztownej wojnie o Falklandy trwa jeszcze droższy pokój falklandzki. Nie kto inny, jak torysowski poseł do Parlamentu /obecnie par/ Jack Bruce-Gardyne otwarcie przyznał w swej książce "Mrs Thatcher's First Administration" /1984/, że ani wydatki rządowe, ani podatki osobowe nigdy jeszcze nie sięgały tak wysokiego udziału w dochodzie narodowym. Samuel Brittan powiada /"... and the Same Old Problems", ENCOUNTER, kwiecień 1985/, że żaden czytelnik tej książki "nie znajdzie żadnego uzasadnienia, by identyfikować politykę i idee pani premier z gospodarką wolnorynkową" - bez względu na to, jak bardzo ona i jej kręgi lubią cytować Adama Smith'a lub Friedricha von Hayek'a.

#### SPOŁECZNE SKUTKI KONKURENCJI

W OBOZIE REAGAN-THATCHER będzie się więc dużo mówić o konkurencji, dopuszczając do niej tylko sporadycznie. Jako konserwatyści mają oni w końcu pełne prawo żywić nieufność wobec społecznych skutków konkurencji. Czy istnieje choć jeden taki skutek, o którym można by powiedzieć, że ma konserwatywny charakter? "Konserwatywny" znaczy tu tyle, co pomny tradycyjnych i patriotycznych wartości. Jest równoznaczny z szacunkiem dla rodów o znanej i uświęconej genealogii; dla gruntownie wypróbowanych opinii przodków; dla usankcjonowanych przez czas przywilejów; dla pieczołowicie chronionych przez kościoły wartości religijne; także dla etnicznej wierności rasie, językowi i kulturze. Jeśli o to właśnie dba konserwatyzm, zasługuje na coś więcej niż szyderstwo ze strony swych najzacieklejszych wrogów; nawet radykałowie powinni przyznać, że każda społeczność potrzebuje partii, która ucieleśnia takie ideały. Zachód ma bardzo dużo wartości zasługujących na zachowanie.

Jest coś tragicznego w fakcie, że w dzisiejszej Anglo-Ameryce nie ma takiej partii i tej sytuacji uświadomienia sobie wielu konserwatystów po obu stronach Atlantyku. Roger Scruton, filozof uniwersytecki, w książce "The Meaning of Conservatism" /1980/, napisanej w większej części przed pierwszym zwycięstwem wyborczym pani Thatcher, ostrzegł przywódców partii przed agresywnym duchem konkurencji handlowej, odwiecznym i tradycyjnym wrogiem wszelkich konserwatywnych wartości. I nie mylił się: handel jest i był zawsze wrogiem konserwatyzmu. Jakiekolwiek były jego walecy, nie miały w sobie nic z konserwatyzmu. Ekonomiczny wzrost wyraźnie zagraża tradycyjnym wartościom małych, statecznych wspólnot ze swymi autostradami i cmentarzami. Konkurencja bez wątpienia jest wrogiem dziedzicznego bogactwa, chyba że zostanie

ono roztropnie i szczęśliwie zainwestowane na giełdzie papierów wartościowych. Zagraża starym firmom przez nowe firmy; ustabilizowanym interesom przez ekonomicznych nieproszonych gości; arystokratom perwenlusz. Wszystko jest jasne. Wciąż jednak Scruton pozostaje odważnym, przemilczanym głosem wołającego na puszczy. Nie wydaje się, aby i teraz konserwatyści przywiązywali /przynajmniej nie robią tego głośno/ znaczenie do handlu, który na to naprawdę zasługują. Niewątpliwie wkrótce zaczną to czynić.

NEO-KONSERWATYSCI mogą podjąć jakąś próbę obrony dla wykazania ciągłości swej sprawy. Mówi się niekiedy, na przykład, że wielkie firmy prywatne Zachodu są ze swej natury nepotyczne, kontynuując tradycje dynastycznych przywilejów, jak to ongiś było z własnością ziemską. Przy sterze wielkiego koncernu staje kolejny Ford; w nowojorskich firmach wydawniczych schedę obejmuje następne pokolenie Scribnerów, tak jest również z londyńskim domem wydawniczym Johna Murray'a od czasów Byrona. Nieprzypadkiem chyba popularny serial TV o "nowobogackich" nosi tytuł "Dynasty".

Innymi słowy handel /commerce/, niezależnie od stopnia radykalizmu w chwili swych narodzin, dzięki prawu dziedziczenia łatwo może stać się konserwatywny, a współczesne firmy mogą funkcjonować niczym wielkie latyfundia w średniowieczu albo na początku czasów nowożytnych, kultywując styl życia wielkich rodów. Choć rodowody może nie całkiem starożytny, styl ten jest szybko przyswajany w prywatnych szkołach i ekskluzywnych klubach jako tradycyjny model życia. W takim optymistycznym ujęciu przedsiębiorstwo konkurencyjne to istny feudalizm. Dzisiejszy parweniusz to jutrzejszy par.

Czy jednak rzeczywiście? Istota feudalizmu sprowadza się do tego, że było tak dużo ziemi i wyjąwszy wstrząsy w rodzaju normandzkiej inwazji Brytanii - posiadacze ziemscy byli naprawdę posiadaczami. Mogli też liczyć na przekazanie jej spadkobiercom. Z nowoczesną konkurencją w handlu rzecz ma się inaczej. Jest po prostu nieprawdą, że to sprawa wielkiego biznesu. Jeśli trwa rozwój ekonomiczny - co na Zachodzie jest najczęściej faktem - trwa on nieprzerwanie. To prawda, że nowa klasa zawodowa może żywić nadzieję na utrzymanie piastowanych posad, zwłaszcza z myślą o swych młodszych synach; co tłumaczy panującą w skromnej klasie średniej modę na karierę w służbach publicznych lub na uczelni. Lecz chociaż profesorowie mogą czuć się bezpieczni, żaden prawnik ani dyrektor przedsiębiorstwa nie może być pewny, że następny rok będzie równie dobry jak poprzedni. Konkurencja jest autentycznie radykalna w sferze społecznej - z zasady i do szpiku kości. Nic tak jak ona nie zmusza jednostki do podejmowania ciągłych prób. Jest absolutnie nieprzejezdna wobec istniejącego porządku. Nie przypomina feudalizmu i jest czymś zupełnie oryginalnym.

NIE MA PEWNOŚCI, czy prywatnej przedsiębiorczości uda się na dłuższą metę uprawiać nepotyzm /w ogólniejszym sensie/ lub zachować prawo bogatych do zapisywania krewnym swych zasobów, a nawet posad równie skutecznie i niezawodnie, jak się to dzieje w socjalizmie. Wielkie państwowe gospodarki Europy Wschodniej oraz Dalekiego Wschodu są wysoce nepotyczne. Kim Ir-Sen, przywódca Korei Północnej w wieku ponad 70 lat, jest tym, pod którego "świetlanym przewodnictwem" /jeśli wierzyć prasie północno-koreańskiej/ "problemy nie do rozwiązania są bez trudu rozwiązywane"; jest wielce prawdopodobne, że sukcesję po nim obejmie w zaiste monarchicznym stylu jego syn. Wysocy funkcjonariusze partii w Związku Sowieckim powszechnie lokują swoich krewnych na lukratywnych posadach w hierarchii państwowej, gdy tymczasem ich dzieci wiodą uprzywilejowany żywot. Komunistyczna Rumunia od dawna daje się

poznać jako Konzern rodzinny; żona i syn dyktatora beztroško czerpią zyski z rządowych posiadaczom niczym w jakiejś bananowej Republice południowo-amerykańskiej. Wszystko to bije na głowę karierę w Eton.

Jeśli więc przedmiotem tęsknot prawdziwego konserwatysty jest dziedziczność przywilejów, to może on liczyć na socjalizm. Socjalizm faktycznie już to zapewnił. A co więcej, może to uczynić daleko pewniej niż ów mglisty i dwuznaczny kapitalizm. Przewodzący walkę konkurencyjną kapitalista może nosić stare i poważane w biznesie nazwisko, jak Scribner w Nowym Jorku lub John Murray w Londynie, a mimo to musi walczyć o jego podtrzymanie i to tak długo jak długo istnieć będzie konkurencja pomiędzy wydawcami. A jak ciężko muszą walczyć uprzywilejowani dyrektorzy moskiewskiego państwowego wydawnictwa?

JAKIE RACJOM musi tu hołdować konserwatysta? Jedną z nich polega na tym, że handlu konkurencyjnego pragnie większość ludzi, czego dowodem jest każdy zatłoczony supersam; a polityka wyborcza powinna zaspokajać oczekiwania ludzi. Druga zaś to fakt, że począwszy od 1975 r. Nowa Prawica była odpowiedzią na socjalistyczną i centralistyczną Nową Lewicę; a dążenia Nowej Lewicy z pewnością nie pokrywały się w najmniejszym stopniu z celami Nowej Prawicy. Neo-konserwatyzm jest klasycznym przypadkiem zasady przeciwności w polityce - przynajmniej w warstwie retorycznej. Gdyby Nowa Lewica sprzeciwiła się imperialnym zaangażowaniu się w rodzaju - Wietnamu czy Falklandów, Nowa Prawica niezawodnie wsparłaby je, nawet jeśli by to pozostawało w sprzeczności z polityką oszczędności budżetowych. Gdy lewica popiera zamrożenie nuklearne, prawica stoi z miejsca w opozycji - znowu mimo podobnych zastrzeżeń.

Tak więc Nowa Prawica musi, oczywiście wbrew samej sobie, opowiadać się za konkurencyjną przedsiębiorczością oraz wysokimi wydatkami na obronę. Ostatnią rzeczą, jaką chciałaby usłyszeć, jest to, że nie może mieć obu tych rzeczy, i że będzie zmuszona wybrać. Nowa Prawica nie ma nastroju do słuchania. Nowa Prawica w niewielkim stopniu uświadamia sobie jak bardzo stała się lustrzanym odbiciem Starej Lewicy; zbyt silnie pochłaniają ją resentymenty.

Prostą jednak oczywistością jest, że w konkurencji nie ma nic konserwatywnego i nieliczni zaczynają to sobie uświadamiać. To właśnie monopol jest społecznie konserwatywny, tak państwowo jak prywatnie; konkurencja jest radykalna aż do granicy wulgarności. Sprzeczność w konie neo-konserwatyzmu ujawnia się dzięki biegowi zdarzeń, kiedy to wschodni blok w warunkach socjalizmu coraz bardziej porasta grzybem w swych rozpadających się budowlach socjalnych, zaś konkurencyjny Zachód prezentuje się wciąż zuchwalej ze swą nieprzejednaną elegancją.

Odwiedziny w Niemczech Wschodnich, jak powiedział mi niedawno Niemiec z RFN, to mniej więcej to samo, co wizyta u pretensjonalnej, niezamężnej, wędrującej z wolna ciotki. "Skoro ubóstwo zostanie już dobrze rozdzielone" zauważył niedawno minister spraw wewnętrznych Wietnamu, "nie ma niesprawiedliwości społecznej. A skoro nie ma niesprawiedliwości społecznej, jest stabilizacja". Oto i oficjalny komunistyczny punkt widzenia. Komunizm rozsmarowuje cienką warstwą nędzę niczym kwaśną margarynę. Konkurencja zaś, przeciwnie, dąży do wyrwania się z niej.

Każda konkurencja, oprócz tej pomiędzy samymi robotnikami, jak mądrze zauważył Mill w "Principles" z 1848 r. "jest z pożytkiem dla robotników, gdyż prowadzi do potaniaenia produktów, które przeżyją". Punkt widzenia Milla'a podzielają już zwykli lu-

dzie po obu stronach żelaznej kurtyny. Widzą, jak szalenie błędnie sformułowane są filozofie polityczne lewicy i prawicy, jak ich treść uderzająco odbiega od etykiet. Jeśli prawdziwi liberałowie Anglo-Ameryki pozwolą zniweczyć niewątpliwe, społeczne osiągnięcia przedsiębiorstwa konkurencyjnego, dotychczasowe czy przyszłe, poniosą klęskę jako liberalni demokraci i zasłużą na nią. Mniej więcej to właśnie spotkało Waltera Mondale'a gdy przegrał w wyborach prezydenckich w 1984 r.

KONKURENCJA jest i zawsze była ideą antykonserwatywną u samych swych podstaw. I nie jest tak, że przedsiębiorstwo konkurencyjne ma radykalne cechy: jest ono radykalne bez reszty w każdym swym elemencie. Prawda ta dotyczy zarówno historii, jak i przeszłości: duch Adama Smith'a odmienił w ciągu ubiegłego stulecia i później tradycyjne wzorce społeczne Europy Zachodniej i Ameryki Północnej, tak jak z pewnością nadal je będzie odmieniał. Jest również prawdą, dotyczącą naszego wieku, która sprawia, że nadają się do strącenia w otchłań kruche tradycje myśli politycznej, tak socjalistycznej jak antysocjalistycznej; prawdą, której odkrycie zabrało filozofom politycznym więcej niż stulecie bolesnego teoretyzowania.

George Watson

/ George Watson - członek władz St John's College, Cambridge; autor "Politics and Literature in Modern Britain" oraz "The Idea of Liberalism".

Tekst tłumaczył dla "Prześwitu" Piotr Glomski z: ENCOUNTER, November 1987/

## recenzje

### PRACA, RODZINA, WIARA

Nakładem Oficyny Liberalistów została wydana książka bardzo ważna i potrzebna? Autor w niekonwencjonalny, rzadko u nas spotykany sposób analizuje oblicze współczesnego kapitalizmu. Już na pierwszych stronach konstatuje, że choć marzenia o socjalizmie zmarły śmiercią naturalną - brak jest równoważnego zwycięstwa kapitalizmu. Co więcej, jest on wciąż uważany za przejściowy i uwarunkowany kompromis mający w perspektywie upadek, ostatecznie śmietnik historii. Szusnie zauważa Autor, że głównym powodem takiego stanu rzeczy jest dość powszechne przekonanie o moralnej pustce kapitalizmu. Istotnie, wielcy liberalni ekonomiści i publicyści jak F.A.v.Hayek, M.Friedman, G.Sorman nie poświęcają zbyt wiele miejsca problematyce moralnego uzasadnienia swych idei i choć - jak pisze Gilder - wiele miejsca poświęcają krytyce kolektywizmu i skądś woli ich, choć niewątpliwie słuszne, stają się techniczne i pragmatyczne. Rzeczywiście - czytając jedno z najważniejszych dzieł Hayeka "Konstytucja wolności" nie sposób oprzeć się wrażeniu, że głównym uzasadnieniem wolności jest to, że pozwala ona efektywniej gospodarować. Od lat ekonomiści analizują metody redystrybucji dochodów mającej zniwelować "niesprawiedliwe", choć odwieczne przecież nierówności. Kapitalista postrzegany jest zarówno przez konserwatystów jak i socjalistów, jako osobnik wulgarny, samolubny,

tępy, amoralny i prymitywny. Jednak - jak pisze Gilder - "od konserwatysty jego własna ideologia wymaga, by popierał biznes". Powstający w tym miejscu dylemat starał się rozwiązać już Adam Smith poprzez koncepcję "niewidzialnej ręki" rynku jako źródła bogactwa działając go niezależnie od oczywistej chciwości kapitalistów, a nawet wykorzystującego tę i inne przywary. Zdaniem Gildera rozumowanie takie jest z gruntu błędne. U źródeł kapitalizmu nie leży chciwość, skąpstwo ani korzyść własna, lecz wręcz przeciwnie - kapitalizm zaczyna się od dawania. Brzmi to niemal jak herezja, zwłaszcza dla nas, wychowanych na krytyce "wilczych praw kapitalizmu". Ale Gilder nie poprzestaje na postawieniu tezy, lecz przekonująco ją uzasadnia. "Dewód Gildera" rozpoczyna się od przypomnienia, że już społeczeństwa prymitywne znały ceremonialną formę wymiany darów, tzw. potłacz. Dary te były dawane nie bez oczekiwanego korzyści, bo wzajemność jest podstawową zasadą życia społecznego. I tu właśnie rodził się kapitalizm. Aby dar mógł wywołać reakcję musiał być oparty na zrozumieniu potrzeb obdarowywanego. W taki to rytualny sposób, poprzez prymitywne inwestycje, ludzie tworzyli sieć wzajemnych zobowiązań. Później wynaleziono pieniądź jednak w istocie swej kapitalizm do dziś pozostał "potłaczaniem" - daniem teraz i otrzymywaniem potem. System taki może istnieć tylko w warunkach uczciwości i korzyści ekonomicznych jego członków. To, że człowiek nadal inwestuje, tworzy firmy, miejsca pracy, gromadzi zapasy stanowi dowód na to, że do dziś dawanie jest impulsem i moralnym jądrem kapitalizmu.

Podstawowym jednak zagadnieniem, którym zajmuje się Autor jest wnikliwa analiza istoty oraz źródeł bogactwa i ubóstwa. Analiza ta oparta jest na realiach amerykańskich, co z jednej strony czyni lekturę niezwykle atrakcyjną, z drugiej jednak, jest ona nader odległa od realiów w jakich nam przyszło żyć. Niewątpliwie ma rację J. Korwin-Mikke pisząc w krótkim wprowadzeniu, że problemy te stanały się naszym udziałem dopiero po rzeczywistej reformie. Chociaż nikt chyba nie wie kiedy to nastąpi - warto zapoznać się z poglądami autora już dziś. Generalnie Autor w swych postulatach nie odbiega od znanych propozycji Hayeka i Friedmana. Wiele miejsca poświęca analizie systemu podatkowego USA, sygnalizując, że już dawno przekroczony został szczytowy punkt "krzywej Laffera". Krzywa Laffera to graficzne odzwierciedlenie zależności dochodów państwa pochodzących z podatków od wysokości tych ostatnich. Bezdyskusyjne jest, że podatek wynoszący 0% dochodu, podobnie jak podatek w wysokości 100% nie przynosi państwu nic. Maksimum krzywej leży gdzieś między tymi dwoma punktami - i państwo dążąc do powiększenia swych dochodów powinno się starać ustalić wysokość stopy podatkowej właśnie tam. Z punktu widzenia przedsiębiorcy - tak ustalony podatek to największy - jaki jeszcze stymuluje dążenie do powiększania dochodu. Przekroczenie go powoduje gwałtowny spadek opłacalności prowadzonego przedsięwzięcia. Najciekawsze, moim zdaniem, rozważania dotyczą istoty ubóstwa. Poza dyskusję jest fakt, że ubodzy istnieją, jak również, że sytuacja ich jest nie do pozazdroszczenia. Jednak metody pomocy udzielanej przez państwo ubogim według Gildera stan ten utrwalają. Stosunek Autora do programów pomocy społecznej, koncepcji państwa opiekuńczego, ubezpieczeń jest realistyczny - słusznie przestrzega przed pochopnym odrzucaniem tych instytucji, jako pochodzących wprost z socjalizmu. W istocie chodziło tylko o zachowanie rozsądnych rozmiarów tych urządzeń oraz równowagi między składnikami ryzyka i ubezpieczenia, bo po przekroczeniu granic tzw. "ryzyka moralnego" ubezpieczenie znacznie stymulować zachowania lub zdarzenia od następstw których ma ubezpieczać. Jak widać Autor nie wykracza poza znane propozycje

neoliberalistów.

Interesującą koncepcją jest "plan Gildera wyjścia z ubóstwa". Program to krótki i rzeczowy: praca, rodzina i wiara. Nie sposób jednak nie zauważyć, że w tej części jego pracy do argumentacji Autora wkradają się motywy "techniczne i pragmatyczne" - co dotyczy zwłaszcza precyzyjnych wyliczeń, jak kształtuje się procentowy przyrost wydajności i natężenia pracy po zawarciu związku małżeńskiego. Inna sprawa, że faktycznie mężczyzna obdarzony rodziną musi pracować intensywniej, przez co buduje bogactwo swoje i innych. Niezależnie od tego sądzę, że Autor mógł się pokusić o bardziej wnikliwą analizę.

Gdyby chcieć w kilku zdaniach podsumować książkę Gildera, trzeba by, jak sądzę zwrócić uwagę na kilka aspektów. Poglądy i argumentacja Autora niewątpliwie mieszczą się w konwencji neoliberalnej. Nie można jednak odmówić im pewnej oryginalności; istotny zwłaszcza jest nacisk położony na problematykę moralną. Sam tytuł "Bogactwo i ubóstwo" niesie ogromny ładunek problemów etycznych, ekonomicznych, socjologicznych. Ponieważ Autor ujął temat szeroko, nie unikając prób udzielenia odpowiedzi na pytania trudne, ale mające znaczenie podstawowe dla oblicza współczesnego świata, można chyba zapytać o jego wizję kapitalizmu. Ma to tym większe znaczenie, że obecnie stoimy wobec niejednokrotnie sprzecznych poglądów dotyczących moralnej oceny i przyszłości współczesnego kapitalizmu. Bezkrytyczne zachłystywanie się Sormanem i Friedmanem może spowodować skąsny zarzut podporządkowania człowieka wzrostowi gospodarczemu. Wydaje się, że kapitalizm Gildera jest głębiej przemyślany, uzasadniony nie tylko względami ekonomicznymi. To, że postulaty ekonomiczne Autora są zgodne z linią liberalną, oznacza, że koncepcje te mają szansę znalezienia szerokiego poparcia w sferach biznesu. Kapitalista, w ujęciu Gildera, to nie samolubny skąpiec, od którego miłości własnej a nie od życzliwości oczekujemy - jak pisał Smith - określonych korzyści. Na kapitaliście spoczywa szczególnie obowiązek moralny. Można zarzucić Autorowi, że jego wizja biznesmena jest nierealna, że w praktyce może okazać się, że przedsiębiorca dopiero z książki Gildera dowie się, że pomnażając swój majątek w istocie "dawał", co niewątpliwie korzystnie wpłynie na jego dobre samopoczucie. Wydaje się jednak, że takie postawienie zagadnienia byłoby uproszczeniem. Istotne znaczenie ma fakt, że według Autora postęp i bogactwo tworzą ci, którzy podejmują ryzyko jawnie nieopłacalne. Ich inwestycje mają naprawdę wiele wspólnego z dawaniem połączonego z nadzieją /w żadnym razie nie pewnością/ na wzajemność. Ten kto nie ryzykuje - skazany jest do końca życia na odcinanie kuponów z nagromadzonego majątku.

Sądzę, że książka Gildera, oprócz niebagatelnych walorów poznawczych i udzielenia odpowiedzi na szereg pytań dotyczących życia gospodarczego; pytań, które kiedyś być może staną się i naszym udziałem, może odegrać w naszej rzeczywistości jeszcze jedną rolę. Może przybliżyć nam sylwetkę współczesnego biznesmena - przedstawiciela gatunku tak rzadko występującego w Europie Wschodniej, wokół którego narosło w ostatnich latach wiele mitów i uprzedzeń. A trzeba pamiętać, że to właśnie ci ludzie, ich praca i wiara, stanowią prawdziwe Bogactwo Narodów.

R.

Józef Łobodowski

NA WŁASNĄ ŚMIERĆ

Na obcej ziemi boję się umierać.

Bez leku spotkam śmierć ojczystą,  
 śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.  
 Tam się oddam szeleszczącym liściom,  
 zamienię się w goryczkę i żubin...  
 Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki  
 zanosili się co noc miłosnym krzykiem;  
 żebym wiedział, w ciepłą wtulony borowinę,  
 że jest dla niej nie przybłądą, nie gościem,  
 lecz synem;  
 żeby mnie obcy kamień nie ziębił,  
 żebym każdym ścięgnem pilnie czuł,  
 że jak czarna próchnica, jak korzenie,  
 wrastam w ziemię,  
 aż do serca, aż do głębi,  
 w dno odwieczne,  
 w pradziadowski muł.

Żeby mnie głosy dochodziły z bliska  
 od wreszcie w piśmy pagór majdanu.  
 Żeby małe dziecko litery nazwiska  
 zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej;  
 żeby na nadtystrzyckich rozlewiskach  
 kumkały żaby do białego rana;  
 żeby opary, wznoszące się z rozgrzanej gleby,

snuły się nad murawą megilną  
 i żeby  
 dwoje młodych, wzięwszy się za ręce,  
 rozmawiało najczulej wśród grubych płyt,  
 żebym na chwilę,  
 na jedną nie więcej,  
 znów usłyszał polskiej mowy rytm.

Żeby mnie deszcz przepił i wichur wydeptał,  
 żebym się stracił, zagubił w letniej nocy szepkach  
 oszelecił listowia zwiędłym aromatem;  
 żeby, gdy się korzenie w mym sercu rozrosną,  
 młody krzew ponad głową zaszumił  
 i ludzkiem opowiedział z nadchodzącą wiosną  
 wszystkie te,  
 czegem ja już nie umiał.

A na obcej ziemi boję się umierać...



## Stefan Niesiołowski

### ŻYD NA PLACU ŚW. PIOTRA

W Europie Zachodniej byłem tylko raz w życiu i to niedawno - parafialna pielgrzymka do Rzymu. Nie wiem jak to się stało, że dostatek paszport, prawdopodobnie jakiś wpływ wywarła tu planowana interwencja kościelna. Do końca tego nie wiadomo nigdy. Pozostaje bowiem niewyjaśniona zagadka, dlaczego w jednym mieście paszporty dostają w zasadzie wszyscy, a w innym akurat nie? O co czego to zależy, co powoduje takie właśnie decyzje władz? Są całe, wyszukane, niesłychanie wyrytne teorie dotyczące regionalizacji odmów z np. robotniczym charakterem Łodzi, lub Śląska, dużą liczbą zagranicznych dzisznikarzy w Warszawie, czy też tradycyjnymi powiazaniami wsi Podhala ze skupiskami polskiej emigracji w USA i Kanadzie. Nie mam zdania na ten temat, gdyż jest zwykle tak, że jak tylko jakaś teoria tłumaczy kilka przypadków odmów, to przy kolejnym - wszystko bierze w żeb i okazuje się, że teoria tego przypadku w żaden sposób wyjaśnić nie potrafi. Ale chociaż nie sam paszport wydaje się być tu najważniejszą, to przecież jest on warunkiem koniecznym znalezienia się zagranicą. Gdybym nie dostał paszportu nie byłbym w Rzymie więc jednak moment, gdy z ręk funkcjonariusza Biura Paszportów odbierałem zieloną książeczkę z orzełkiem był w jakimś sensie decydujący. Reszta zależała ode mnie, miałem na nią wpływ poważny - tam nie.

Kolorowe reklamy, wystawy, sklepy, afisze, tyle razy opisywane wrażenia z wypełnionych najwspanialszymi, a jeszcze wspaniałej opakowanymi rzeczami domów towarowych. Jak oni to robią, jak to się im opłaca, skoro w PRL nie opłaca się przyjść do domu hydraulikowi, właścicieli domu wynająć pokoju na morzem, a krawcowi uszyć marynarki? Po co tyle tych kassul, koniaków, długopisów, kaset - kto to kupuje? W kawiarniach zawsze wolne stoliki i uśmiechnięty kelner już od drzwi witający gości, wskazujący stolik, przynoszący śnieżno białą, wykończony obrus. Jak to się dzieje, że restauracje są pustawe, w kwaciarniach góry kwiatów, a nikt nie kupuje, pełno samochodów, a na stacjach benzynowych tylko mizerny się sprzedawca w niebieskim, albo żółtym kombinezonie. Dlaczego tu nie ma kolejek, przecież jak jest coś dobrego w sklepie to musi być kolejka, to pewne tak samo jak prawa fizyki, czyżby tu nie obowiązywały? Tem brak kolejek i pełno mięsa, szynki, wołowiny, kurczaków, królików, kiełbas sżokuje, tak samo jak uprzejmość ekspedientek szokuje kogoś przyzwyczajonego do ciężkiego, eroganicznego - nie ma, nie ma, nie ma!

Ceny - wszystko w przeliczeniu na złotówki jest horrendalnie drogie i od razu wracają tyle razy opisywane koszmary Polaka na Zachodzie. Jak rozsądnie wydać te kilka marnych dolarów?

To co zwracało w Rzymie uwagę szczególnie od razu to zwartość zabudowy. W tym mieście nie ma wolnego miejsca na nic. Idąc z planem w reżu przez pół godziny przechoǳę kilkadziesiąt ulic. W Warszawie mniej więcej dwa długie przystanki autobusowe rozciągnięte wśród absurdalnie rozległych przestrzeni, tak jakby rury centralnego ogrzewania, kable elektryczne, szyny itp. były za darmo. W Rzymie nie ma również tych ogromnych irytujących i przygnębiających swoim ogromem gmachów, jakby mających świadomie czkowiekowi, że nic nie znaczy jest jednym z milionów organizmów w ludzkim planktonie i w każdym momencie może równie dobrze nie istnieć. Tu przestrzeń między domami jest wypełniona, ulice są wąskie, a chodników z reguły nie ma. Domy, bramy, balkony, schody, zaułki, fontanny, sklepy ogłoszeniowe, maleńkie sklepiki, szyldy, pomniki, zejścia do metra. Wszystko solidnie obudowane, marmurowe, żelazne, albo kamienne, ale tak ściśnięte, jak rżby na dachach rzymskich kościołów i jeszcze pomiędzy

tym wszystkim samochody, rzeka samochodów pomiędzy którymi na małych skuterach i motorowerach przeciskają się dziewczyny same, albo na siodełku z tyłu.

Wrażenie drugie równie uderzające to brak pijaków, grupek mętów i różnych luźnów wyciekających po bramach, spiskujących na parkowych ławkach, organ zbijających kolejną składkę na wino, albo całe pół litra. Nie ma charakterystycznych dla okolic Dworca Fabrycznych typów w wyswieconych kurtkach i brudnych paltach rozmawiających pomiędzy sobą chrypliwym akcentem kryminalistów i ograniczających się w gruncie rzeczy do wymieniania w różnych przypadkach i z różnym odcieniem emocjonalnym jednego słowa, które stanowi cały ich język.

Wszyscy są tu odprężeni, pogodni bez z troskania, pośpiechu, napięcia, zapytani o ulicę, adres, kierunek odpowiadają uprzejmie, pokazują na planie, czasami nawet idą kawałek, żeby wyjaśnić dokładniej, ale też nie dostrzegam cienia zainteresowania cudzoziemcem. Grzeszenie, obojętnie odpowiadają na pytania - to wszystko. Od pierwszej chwili, kiedy na autostradzie z lotniska otoczyły mnie kolorowe reklamy, żółte, pomarańczowe, brązowe i białe dopy oraz samochody wśród których "Syrena" wyglądałaby jak ożywczy nagłe dinozaur, nabrałem przekonania, że tu nie zostanie, że byłoby chyba jeden z najgorszych błędów w życiu. I nawet nie dlatego, że nie mam ochoty przechodzić piekła obozu przejściowego w latynie, gdzie rządzi Albańczycy i Rumuni, a Polacy wyniszczają się wzajemnie donosami do włoskiej policji, intrugami oraz robobieniem wszystkiego, by ktoś komu akurat udało się coś odrobić lepiej, odczuł wyraźnie, że to przecież kosztem pozostałych, na których serdeczną nienawiść sobie zasłużył. Nienawiść zwłaszcza tych na dzień - bo latina też ma swoją hierarchię - którzy akurat dostali kolejną odmowę wizy do Kanady. Nie dlatego, że będę obywatelem drugiej kategorii mówiącym do końca swoich dni zamątanym językiem i obcym akcentem o jakiś swoich niepojętych do końca i niezbyt jasnych dla obcostrajców racjach, które skłoniły mnie do opuszczenia swojego kraju i przekonywującego coraz bardziej tym wszystkim znudzonych Amerykanów, Kanadyjczyków, Afrykanerów, Włochów, Niemców, nie wiem, że zasługuję na jakieś szczególne względy. Nie dlatego też, że będę się wstydzili swoich rodaków pragnących za wszelką cenę osiągnąć poziom życia swoich nowych sąsiadów, zapracowujących i upadających się na śmierć, oderwać się od tych najbiedniejszych, kupić dom w lepszej dzielnicy, wykształcić dzieci - to wszystko dla nich. Bo to już jest ostatnie uzasadnienie; dzieci - przyszłość dzieci, której nie można im zapewnić tam w kraju, skoro nic nie zostało z obietnic walki politycznej, pomocy, zapewnien, że jadą tylko po to, aby pomóc tym, którzy zostają. Presja społeczeństwa, w którym w zasadzie tylko pieniądze określają pozycję społeczną, miejsce człowieka, jego znaczenie, wartość, w którym powszechne jest przekonanie, że bogaci są mądrzy, a biedni głupi, jest tak wszechmocna, że ulegają jej najdzielniejsi, najwytrwalsi, wszyscy. I tylko trochę żal, że człowiek doszedłszy chyba do granic swoich możliwości w wyszukiwaniu systemów ekonomiczno-politycznych, po wszystkich hekatombach wojen, rewolucji, zbrodni, obozów i rozczarowań, po upadku wszystkich utopii nadziei na powszechne szczęście i braterstwo, wraca do systemu, którego podstawą ideową jest owieczna żądza posiadania bogactwa. Tak jakby całe bohaterstwo dokonane w imię ocalenia ludzkiej wolności oraz kultury w znanym nam kształcie, cierpienia i odwaga tych znanych i nieznanymi męczenników, którzy potrafili ułamać w imię ocalenia zagrożonych wartości, skrzyży uświadomieniu świata, że jego przyszłością jest po prostu kapitalizm. Emigranci trochę wyprzedzili swój czas, już mają swój kapitalizm. Teraz pozostaje pracować, odkładać, jeszcze więcej pracować i jeszcze trochę więcej odkładać i to wszystko nic się nie zmieni - na szczęście nic.

Patrząc na lśniący czystością i przepychem nieduży hall hotelu "Midas", kobiety oraz sklepyna via Venetto, a także salony tamtejszej "De-

sy" zrozumiałem, że gdybym przeszedł szczęśliwie całą drogę od komisariatu w Rzymie, poprzez obozy przejściowe, ambasady Australii, Kanady, USA, dworce lotniska, nowe obozy przejściowe, aż do domu w Kanadzie i kanadyjskich sąsiadów pozwalających Zaskawie swoim dzieciom bawić się z dziećmi polskiego emigranta - przecież w końcu wszystkich stworzył Pan Bóg protestantów i nie można nikim pogardzać - to miałbym do końca życia świadomość, że już jestem trochę umarły. Bo to nigdy nie będzie mój świat i nie mogę zrobić nic, aby to zmienić.

A chyba najgorsze ze wszystkiego byłyby powroty, przyjazdy do kraju, po których prawdopodobnie wracałbym w przekonaniu, że nie potrafiłbym już tam na stałe mieszkać więc ani zostać, ani wracać. Jakaś karykatura powrotów z wakacji, kiedy po 6 tygodniach pobytu w górach biegłem jeszcze z plecakiem i namiotem zobaczyć ile wrosły kwiaty pod oknem.

Miałem także trochę podziwiałem tych odważnych, którzy potrafili odłączyć się od polskich wycieczek i zgłaszać się w eleganckich, blizujących komisariatach /ciekawe jak tam u nich wygląda 2 razy po 48?/ i prosić o prawo pozostania, bo o azyłu politycznym po amnestii w 1986 trudno już raczej byłoby mówić.

Ich szpitale, szkoły, lotniska, stragany, nawet dzieci jakby czystszej-sze, bardziej komfortowe. Ich podobno już wcale nie bolą zęby, wizyta u dentystry z pomruge koszmaru świdrującego w mózgu borowania, wyciągania nerwu spiralną igielką /miazgociąg - od samego słowa czuję na plecach zimny pot/ i wypadających plomb, koszmaru kończącego się cudownym słowem mojego dzieciństwa - fleczer poproszę, ma charakter przyjemnego kontaktu z eleganckim panem doktorem i nie mnie boli. Nie uczą się tabliczki mnożenia, bo to do niczego nie służy, pociąg się nie spóźnia, każdy kto chce ma telefon, a rozkłady jazdy są skomputeryzowane i przybyśże z Polski nie potrafią sobie z tym poradzić - w każdym razie ja napewno bym nie potrafił. Podszedłem się tym, że jednak tak samo jak my muszą umierać, tyle tylko, że w innych warunkach i w innym otoczeniu, a także słyszą czasami z ust lekarza, albo domyślają się po zachowaniu rodziny, że osiągnął ich straszny wyrok losu - rak.

Zastanawiałem się, jak było tu dawniej, kiedy jeździłi koni, palili w piecach, czy różnica pomiędzy nami, a nimi wówczas też była taka. Dlaczego mordowali się z taką zaciekłością w ciągłych wojnach domowych, zabijali skrytobójczo na ucztach i w podstępnych zasadzkach? O co walczyli ci wszyscy wspaniali księżęta, których orszaki dzisiaj dzisiaj na obrasach ściany pałaców. A jednak to do nas do Polski uciekali Włosi, którzy już mieli dość rozpaczliwych wybuchów buntu i okrutnych karnych ekspedycji przywracających ład. A później, jak wyglądał Rzym, po którym tużali się polscy emigranci szykując się do kolejnego powstania i marząc o podpaleniu Europy, bo tylko wojna mogła wywrócić znienawidzony sojusz trzech czarnych orków na grobie Polski? Już 300 lat, jak pojawiają się na Zachodzie Polacy, którym wydaje się, że zaraz wrócą, a nie wracają nigdy. Tylko raz w 1918 spełnił się cud i wrócili. Stanisław Mackiewicz napisał, że jeden z twórców niepodległej Polski Walery Sławek miał w oczach, kiedy mówił o swojej walce jakiś smutek beznadziejności polskiej sprawy.

W okolicy Domu Polskiego na via Pfaffler zgromadziliśmy się chyba wszyscy z pielgrzymki i czekaliśmy na autokar, który się spóźniał, widocznie kierowca miał trudności z przeciskaniem się przez szczególnie o tej porze zatłoczone uliczki Rzymu. Nawet się tym specjalnie nie martwiłem, bo już byłem zmęczony i głodny, system jedzenia rano, a potem cały dzień tylko kanapki i wieczorem coś w rodzaju garzącej kolacji połączonej z obiadem, po kilku dniach pogłębiał tęsknotę za gęstą kupą jarzynowa z kalafiosem i kartoflami. Ponadto w autokarze nie wolno było jeść i nie chodziło mi akurat o sam fakt jedzenia, tylko o zasadę, że kierowca wydał takie rozporządzenie i biedni Polacy nie mieli nic do gadania. A nasza przewodniczka, która składała zarabiane na polskich wycieczkach jakieś marne pieniądze,

licząc ile to będzie w kraju, od razu zaczęła wyjaśniać, że tu tak jest bo kierowca sam sprzęta swoje auto. Zapęknie jakby w Polsce sprzętał ktoś inny.

Siedziałem na schodach i obserwowałem tłum na Placu św. Piotr, gdy podszedł do mnie jakiś Żyd. To jedno nie budziło wątpliwości. Wyglądał jak karykatura Żyda ze starych antysemitkich gazet, ogromny haczykowaty nos, czarne, kręcone włosy, grube wargi. O takich Roman Zimand mówił, że wygląda jak "Czech" z tym, że to "Czech" wymawiał niewyraźnie i wychodził jak "trzech", a chodziło o wygląd nie jak jeden, a jak trzech Żydów.

Od razu przypomniały mi się rysunki i reportaże z obozu przejściowego dla emigrantów w Zbąszyniu. To był rok chyba 1938, albo 1939 w III Rzeszy jeszcze nie wpadli na pomysł "ostatecznego rozwiązania" i Hitler starał się wyrzucić Żydów z granic Rzeszy, a państwa europejskie na czele z Anglią robiły co mogły, aby nie przyjąć wyrzucenych. Anglia zamknęła przed nimi granice Palestyny - stara tradycja brytyjskiej dyplomacji - mordować cudzymi rękami i udzielać papierowych gwarancji. Poza obozami koncentracyjnymi brakowało dla Żydów miejsca w Europie i około 20 000 mieszkających w Niemczech, ale mających polskie obywatelstwo Żydów przyjechała Polska. Sama mająca poważnie kłopoty gospodarcze, stojąca w obliczu coraz brutalniejszych rozszczeń Hitlera, której rząd musiał się liczyć z opozycją domagając się raczej wysiedlenia Żydów z Polski, a nie przyjmowania nowych. Ale kiedy z obozu w Zbąszyniu zaczęły napływać reportaże, a także relacje świadków o tym co dzieje się w państwie Hitlera, to opozycja nabrała wody w usta, a do Zbąszynia zaczęły napływać paczki z żywnością i ubraniami. Niech to także będzie Polsce zapamiętane.

Otóż ten Żyd nazywający się Rozenstrauch, Goldberg, albo podobnie w każdym razie o takim samym nazwisku jak jego wygląd - najbardziej typowy z typowych, zapytał mnie, czy przypominam sobie, jak razem byliśmy w Łodzi w 1951 na bankiecie u Gucia. Nie bardzo pamiętałem, bo akurat w 1981 działo się bardzo dużo ważnych rzeczy i byłem też na różnych bankietach, ale czy akurat u Gucia? A on mówił, że w Rzymie jest nudno, upały i on chce wracać do Polski. Zaskoczył mnie - do Polski?

- Tak do Polski.

- Przecież stantąd wszyscy uciekają, ja oczywiście wracam bo nigdy nie miałem zamiaru wyjeżdżać, ale Pan?

- Tak ja też chcę wracać. - Powiedział i zobaczyłem tu na placu św. Piotra małe sklepiki na Wschodniej i znajome parki, kariatydy na przeciw Teatru Wielkiego, secesyjne kamienice na Piotrkowskiej to wszystko co tworzy piękno mojego miasta. A on mówił, że nie chce dać mi wizy, ale ma żonę i dwóch synów i wszyscy wracają do Polski i w końcu napewno tę wizę dostaną. Nie byłem przekonany, ale nie chciałem go martwić więc zapytałem, w którym roku wyjechał i gdzie był? I znowu mnie zaskoczył.

- Byłem pięć lat w Izraelu.

- W Izraelu, to przecież jest najciekawsze, niech Pan opowiada jak tam jest?

Ale on skrzywił się tylko poprawił marynarkę i powiedział - za dużo Żydów. Więcej nic na temat swojego pobytu w Izraelu nie chciał mówić. Interesowało go jedynie co w Polsce.

Podjechał autokar i pożegnałem się z nim. Jechaliśmy na Monte Cassino, a przedtem mieliśmy zwiedzać Forum Romanum. On mówił, że zamieszka w domu Pielgrzyma Polskiego, ale kończą mu się pieniądze i teraz musi rozzejrzeć się za jakimś zajęciem, ale mówił to bez przekonania. Prosił o pozdrowienia dla Gucia i umówił się ze mną na wieczór bo było spotkanie z Brandysem i on koniecznie chciał pójść tylko, że ja nie byłem pewien czy zdążyć wrócić z Monte Cassino.

# przegląd prasy

Tym razem nie będzie to przegląd prasy niezależnej w znaczeniu prasy nielegalnej, albowiem większa część z omawianych poniżej publikacji ukazała się na łamach periodyków posiadających debity. Będzie to natomiast przegląd wypowiedzi osób związanych z szeroko pojętą opozycją, w których zawarte zostały oceny sytuacji politycznej powstałej w wyniku strajków sierpnio-wrzesniowych i, będące tychże ocen pochodną, projekty przekształcenia aktualnego systemu politycznego. Być może do czasu, gdy niniejszy numer "Przeświutu" dotrze do rąk naszych czytelników będziemy świadkami kolejnego politycznego przełomu, ale nawet wtedy, jak sądzę, zasadnicze z przedstawionych tu też i poglądów nie stracą dużo ze swej aktualności, a w pozostałych przypadkach redagowany przeze mnie przegląd spełni rolę zapisu naszych pomyłek i prawidłowych sądów.

Pierwszeństwo należy przyznać wypowiedzi, która sama przez się stanowiła już wydarzenie polityczne. Mam na myśli wywiad udzielony przez Lecha Wałęsę dziennikarzem wydawanego przez Polską Agencję Interpressu miesięcznika "Reporter" /nr. 9/1988/. Przewodniczący "Solidarności" mając nadzieję, iż idea okrągłego stołu stanowi "otwarcie nowego rozdziału polskiej historii", nie zaś "wielką grę", w którą raz jeszcze zostanie wmanewrowany, przedstawił wizję, koniecznego dla Polski i realnego, bo starającego się uwzględnić interes sprawujących władzę, kompromisu. Jego istotą widzi w uznaniu i uruchomieniu "prawdziwego, a nie retuszowanego" pluralizmu w trzech najważniejszych sferach: gospodarczej, społecznej i politycznej. W pierwszej z wymienionych dziedzin miałyby się on oprzeć na faktycznym równoprawieniu sektorów: prywatnego, spółdzielczego i państwowego. Oto fragment wywiadu, w którym Wałęsa uzasadnia niezbędność wycofania się państwa z gospodarki: "Procesy gospodarcze powinny być regulowane przez mechanizmy rynkowe. Nie wolno niczego robić na siłę i dlatego ma rację Urban mówiąc, że nie posiadamy programu. W sytuacji samoregulowania się rynku nie możemy go mieć. Programy, precyzyjne plany to fragment systemu nakazowo-rozdzielczego, od którego przecież staramy się odchodzić, a przynajmniej o tym mówimy. Zadaniem na teraz jest stworzenie systemu, w którym człowiekowi nie można nakazać, że ma być szewcem i robić pięćdziesiąt par butów miesięcznie. Trzeba tworzyć możliwości, ogólne ramy. Życie i ludzka przedsiębiorczość same je będą korygowały".

Ale właśnie powodzenie tego deetatyzującego gospodarke przedsięwzięcia zależy od uruchomienia pluralizmu społecznego, który dziś nie da się pomyśleć bez legalizacji "Solidarności". Trzeci z pluralizmów - polityczny "może jeszcze poczekać" i nie należy go wiązać w obecnych warunkach z kwestionowaniem monopolu PZPR w najistotniejszych, decydujących o utrzymaniu się przy władzy, dziedzinach.

Przedstawiony powyżej projekt upodmiotowienia społeczeństwa, wizja kompromisu zasadzająca się na ograniczeniu dążeń czysto politycznych niczym nie zaskakuje, odpowiada bowiem programowi znacznej części polskiej opozycji. Ale chciałbym zwrócić uwagę czytelnika na te wątki wypowiedzi Wałęsy, które na tle poglądów wielu działaczy "S" zaskakują, i to zaskakują pozytywnie. W pierwszej kolejności wskazałbym na daleki od "Solidarnościowo-centrycznego" poglądu sposób widzenia społeczno-politycznej rzeczywistości. Dla

Ważęsy "Solidarność" przestała być jedynym kluczem do rozwiązania sprawy polskiej, który gdy można będzie go użyć odmieni wszystko na lepsze. Aktualność idei "Solidarności", konieczność jej jak najszybszej legalizacji stanowi konsekwencję dramatyczności obecnej sytuacji politycznej, tego iż nie sposób sobie wprost wyobrazić jej radykalnej odmiany, przede wszystkim rzeczywistych zmian w ekonomicznej, bez istnienia pluralizmu związkowego. Ale zmiany te są problemami samymi w sobie i legalizacja "Solidarności" ich nie ułatwi. Rozmówca "Reportera" nie obstaje zresztą przy postulacie odtworzenia "S" w kształcie przedgruńcowym, sugerując model zachodnioemiecki - wiele istniejących związków zawodowych reprezentowanych w jednej radzie zakładowej na szczeblu zakładu - jako bardziej kompromisowy i dogodniejszy dla władzy. Wskazuje również iż nie może być ona wzorem swej "poprzedniczki" z lat 1980-81 - wielką, "magiczną kulą", której zadaniem jest zaspokojenie, częste sprzecznych interesów wielu grup społecznych i politycznych. Dla tych ostatnich powstałoby miejsce w chwili częściowego uruchomienia pluralizmu politycznego poprzez zniesienie ograniczeń prawa do zrzeszania się. W tym miejscu pozwolę sobie na przytoczenie nieco większego fragmentu wywiadu: "Jeśli chodzi o nasz związek, to będzie on mógł spełniać funkcję czysto związkową wówczas, gdy w pełniejszym stopniu zadziała pluralizm społeczny i polityczny. Przeszłość wtedy lgnąć do nas różne grupy, które znajdują ujście dla swej działalności w formie legalnie działających stowarzyszeń, ewentualnie klubów politycznych, społecznych oraz kulturalnych najróżniejszego rodzaju."

Drugim momentem, który wydał mi się niezwykle ważny, jest jasno i dramatycznie wyrażona świadomość faktu, iż na scenę publiczną wstąpiło tego roku pokolenie radykalnej młodzieży robotniczej, pokolenie, którego poglądy nie przystają do wsparcia kilkuletnim doświadczeniem, kompromisowej linii Wałęsy. Generacja ta będzie miała z pewnością znaczący wpływ na rozwój przyszłych wypadków i jeśli, używając terminu samego Wałęsy, władze uprawiać będą "wielką grę" to pokojowe rozwiązanie naszych problemów stanie się niemożliwe.

Nie zrodzi chyba zdziwienia fakt, że druga z prezentowanych tu wypowiedzi niewiele różni się od poprzedniej. Jej autorem jest bowiem doradca Lecha Wałęsy - Bronisław Geremek, który na łamach miesięcznika "Res Publica" /nr. 5/1988/ zarysował pożądaną model przeobrażeń politycznych w Polsce. W modelu tym wytyczona została wyraźniej niż w wywiadzie dla "Reportera" granica tego co możliwe w działaniach opozycji. Geremek uważa, iż powinna ona uznać za nienaruszalny układ podstawowych, geopolitycznych odniesień czyli władzę "partii komunistycznej w kontekście historycznie wytworzonym po drugiej wojnie światowej". Z tego powodu należy odsunąć w przyszłość plany reaktywowania pluralizmu politycznego w jego całkowitej, wielopartyjnej postaci. Oto konkluzje omawianego tu artykułu: "Nie sądzę, żeby dla władzy w jej aktualnym układzie możliwe było do zaakceptowania uchylene monopolu rządu, a zatem zezwolenie na istnienie wielu partii politycznych ... powiedziałbym, że w chwili obecnej tendencją rozwojową fenomenu opozycji polskiej - który sam chętniej bym nazwał fenomenem polskiego społeczeństwa cywilnego, społeczeństwa obywatelskiego - jest rozwijanie pluralizmu społecznego i gospodarczego, przy rezygnacji z pluralizmu politycznego."

O obecnej roli i zadaniach opozycji mówił także leader Ruchu Młodej Polski Aleksander Hall w wywiadzie udzielonym piśmie "Konfrontacje" /nr. 7-8/1988/. W jego oczach środowiska niezależne

dzieli aktualnie nie stosunek do kwestii ideowych, ale w głównej mierze oceny sytuacji politycznej. "Linia podziału coraz wyraźniej przebiega między tymi, którzy twierdzą, że nadal mamy do czynienia z sytuacją pogruźniową, z sytuacją, nad którą ciąży stan wojenny i tymi, którzy uważają, że mamy dziś sytuację zasadniczo nową. Konsekwencje tej linii podziału wydają się być oczywiste. Ci, którzy sądzą, że od 13 grudnia nic się w kraju nie zmieniło, nadal obstają przy dawnych celach i metodach działania politycznego. Ci natomiast, którzy dostrzegają znaczącą ewolucję sytuacji politycznej, w tym ewolucję świadomości władzy i społeczeństwa, skłonni są nową sytuację traktować jako nowe wyzwanie i reagować na nią nowymi postawami i inicjatywami."

Zadaniem współczesnej opozycji jest przekształcenie ideologicznego państwa partii, które pomimo swej powodowanej genezy ułomności stanowi realną postać państwowości polskiej, w obywatelskie państwo narodu, "w którym władza wyrasta z szerokiej podstawy społecznej, a naród jest suwerenem". Droga ta nie może być przebyta bez udziału opozycji, ale powodzenie tego przedsięwzięcia uzależnione jest, zdaniem Halla, od spełnienia przez nią trzech fundamentalnych wymogów. "Po pierwsze, opozycja musi odzrzucić pokusę traktowania takich wartości jak niepodległość czy demokracja jako utopii, czy też haseł służących mobilizacji mas. Po drugie, opozycja musi mieć możliwość i siłę wyklenienia z siebie czytelnich orientacji ideowo-politycznych dysponujących programami definiującymi cele bieżące. Jest to warunek, aby wiele sił społecznych, a nie tylko jedna, jak obecnie, mogło w przyszłości wziąć odpowiedzialność za państwo. Po trzecie zaś, opozycja musi się wyrzec myślenia o obozie władzy w kategoriach brania rewanżu. To mało godne i poza tym nieskuteczne w nowej sytuacji, której traktowanie statyczne jest błędem."

Co pozwala optymistycznie spojrzeć na możliwość przybliżenia ideału państwa obywatelskiego? Hall wskazuje na przesłanki wewnętrzne: katastrofalne położenie gospodarstwa, które nie pozwala pozostać przy kosmetycznych zmianach, oraz kryzys ideowej tożsamości obozu rządzącego, powodujący możliwość zastąpienia myślenia ideologicznego pragmatyzmem. Szanse określają również zmiany w ZSRR, które "powiększają nie tylko możliwość działania sił niezależnych, ale również oboz władzy zyskuje większe pole manewru i nie znajduje się pod zewnętrzną presją skazującą go na włączanie społeczeństwa polskiego w ciasny gorset państwa ideologicznego."

W tym samym numerze "Konfrontacji" Stanisław Stomma zaprezentował koncepcję zmian politycznych w Polsce. Ich istotę stanowić ma "obiektywizacja" poszczególnych dziedzin życia społecznego, czyli wycofywanie się ideologicznego państwa z planów zagospodarowania rzeczywistości według dotychczasowo obowiązujących projektów. Fragmentem tego procesu, i to fragmentem dziś najbardziej palącym, jest uchylenie monopolu związkowego oficjalnych związków zawodowych. Stomma proponuje również konkretne, instytucjonalno-ustrojowe rozwiązania np. przekształcenie Rady Konsultacyjnej z ciała koncesyjnego i opiniodawczego w swego rodzaju senat wybierany przez "różne ośrodki społeczne" i wyposażony w głos staniwicy.

Największą wiarę w moc zmian ustrojowych pokłada Edmund Jan Osmańczyk, który na łamach "Tygodnika Mazowsze" /"Koniec demokracji elitarniej czyli ludowej" nr. 265/88/ wieści koniec reżimu komunistycznego w Polsce. Premierostwo Rakowskiego to okres przejściowy, w którym "rada mędrców", bo tak określił Osmańczyk zespół

ludzi, którzy zasiada przy okrągłym stole, zadecyduje legalizację "Solidarności" oraz stowarzyszeń społecznych i politycznych "w ramach pluralizmu bez przymiotników", a następnie wynegocjuje pluralistyczną ordynację do Sejmu i wywalczy dostęp do mass-mediów. Optymizm autora "Spraw Polaków" płynie z przekonania, iż tak dalej tym krajem rządzić nie można. Ale czy zawsze rozsądek bierze górę w polityce?

Natomiast zupełnie przeciwstawne, pesymistyczne w ocenie aktualnej sytuacji politycznej zapatrywania wyraził Leon Bójkó - autor ostatniej z przedstawianych tu wypowiedzi. W opublikowanym na łamach "Przeglądu Wiadomości Agencyjnych" artykule /"Albo reforma albo nomenklatura" PWA nr.32/88/ przestrzega oponent przed pośpydzeniem żądania legalizacji "Solidarności" w szeregu innych spraw. Bez uruchomienia pluralizmu związkowego niemożliwe jest wyeliminowanie głównej antyreformatorskiej siły - nomenklatury. "Niemówiwszy, że zaciemniając istotę konfliktu, zamazując go i mistyfikując - sprowadzimy na siebie klęskę. Wprowadzenie opozycji do Sejmu, swoboda stowarzyszeń, klubów politycznych, liberalizacja gospodarki - wszystko to dałoby rezultaty dwa lata temu, no amnestii, dziś - to za małe. Teraz - "Nie ma wolności bez Solidarności"."

## polemiki

### ODPOWIEŹ NA DEDYKACJĘ

Od czasu do czasu wpada mi w ręce kolejny numer periodyku "Kurs", z którym zresztą niegdyś incydentalnie /pod pseudonimem/ miałem okazję współpracować. Ostatnio przeczytałem zeszyt 37 i znalazłem w nim sprawozdanie pióra p. Mariana Miszalskiego z dyskusji na temat zjednoczenia Niemiec - a dedykowane mnie. /Nota bene, szkoda, że autor artykułu nie powiadomił czytelników kto był "głównym bohaterem", czyli prelegentem podczas wspomnianej dyskusji; był nim bowiem przyjaciel mój, p. Grzegorz Grzelak, publicysta i działacz RMP w Gdańsku, ja zaś występowałem jedynie w roli prowadzącego dyskusję/.

W chwili obecnej nie zamierzam nadużywać kam "Prześwitu" do obszerniejszej polemiki ze sprawozdaniem p. Miszalskiego. Pragnąłbym jedynie zawrzeć w tej krótkiej wypowiedzi jedno spretowanie natury raczej formalnej, oraz jeden przyrządek o charakterze merytorycznym.

Sprawa pierwsza dotyczy kilkakrotnie użytej przez p. Miszalskiego "etykiety", którą "przykleja" On mojemu środowisku politycznemu, a mianowicie "post-endejcy". Pojmuję oczywiście, że sprawnemu publicyście, nie żyjącemu nadto - jak sam przyznaje - ambicji politycznych, poręcznie jest używać łatwo rozpoznawanej "kliszy" nazewnicznej, nie mogę jednak również oprzeć się przekonaniu, że tego, znanego mi od jak najlepszej strony, autora stać na mniej schematyczne modelowanie krajobrazu ideowo-politycznego Polski w s p ó ł c z e s n e j . Liczę zatem na to, że p. Miszalski przyjmie bez obrzydzenia do wiadomości, iż RMP nie prowadzi antykwariatu politycznego i nie jest formacją epigońską, którą przypisać można do jakiegokolwiek stronnictwa politycznego II Rzeczypospolitej. Nie przeczy temu fakt naszej wysokiej oceny dorobku ideowo-programowego formacji narodowo-demokratycznej oraz podejmowanej przez nas niejednokrotnie obrony moralnych i intelektualnych walorów tego dorobku przed, z wielu stron płynącą, dyfamacją. Istotne elementy endeckiego stylu myślenia politycznego na czele z katego-



ią interesu narodowego - w przeciwstawieniu do partykularyzmów klasowych i jednostkowych oraz do utopijnego doktrynerstwa - jako podstawową motywacją działania po-litycznego rzeczywistości uważamy za trwale obowiązujące, i włączamy je do naszego programu. Podobnie jednak rzecz się ma z dziedzictwem innych tradycyjnych formacji polskiego życia publicznego, takich jak konserwatyści, piksūdyczcy czy ruch chrześcijańsko-społeczny. Redukcja samego naszego dziedzictwa do li tylko "endeckości" jest zatem już nieuprawniona, a cōż dopiero jeśli odnieść ją do zasad ideowo-programowych wypracowywanych przez nas samych tu i teraz. Jesteśmy bowiem - i to wcale nie całkiem homogeniczną - formacją nowoczesnej polskiej prawicy, której kardynalne zasady to:

- integralny katolicyzm jako aksjologiczny fundament oglądu świata we wszystkich jego "wymiarach",

- społeczny i filozoficzny konserwatyzm, tzn. przekonanie, iż istnieją i istnieć muszą uświęcone i wiecznotrwałe czynniki bytu społecznego, takie jak więź religijna, czerpiąca swą sankcję z autorytetu nadprzyrodzonego władza, rodzina i własność prywatna,

- uznanie, że typową dla cywilizacji łacińskiej formą bytu społecznego i przedmiotem troski stycznej polityka winien być narōd

- i wreszcie, że dalekosiędnym i najważniejszym celem polskiej polityki narodowej jest odbudowanie niepodległości państwa.

Jeśli natomiast chodzi o meritum postawionej przez p. Miszałskiego kwestii, tzn. implikacji ewentualnego zjednoczenia Niemiec dla sprawy polskiej, to wskazać pragnęłbym na jeden tej kwestii aspekt, a dotyczy ulubionej, jak mi się zdaje, przez mego dyskutanta myśli. Idęcy On bowiem na to, że owe zjednoczone Niemcy będą oddziaływać na kraje Obozu, i to oddziaływać właśnie w kierunku dopomagającym ich niezależnieniu. Otōż w tym wypadku zmuszony jestem odwrócić zarzut "dziecięcej" naiwności.

Jeżeli bowiem rozważamy możliwość zjednoczenia Niemiec w dającym się przewidzieć horyzoncie czasowym, tzn. w ciągu najbliższych kilku lat, to w warunkach wciąż podzielonej na wolny świat i Oboz Europy, zjednoczenie takie musi łączyć się z neutralizacją i finlandyzacją Niemiec, z wyłączeniem ich z Sojuszu Atlantycznego. Stawiane przez p. Miszałskiego pytanie: "Z Rosją przeciw Niemcom czy z Niemcami przeciw Rosji ?" straci dopiero resztki sensu, ponieważ wówczas ziści się pełni uwaga Leszka Koczulskiego, który mając na myśli NRD powiedział, że obecnie Polska leży "między Rosją a Rosją". W takim wypadku Polska będzie leżała między Rosją "centralną" a Rosją, której faktyczna zachodnia granica będzie nie na Łabie, lecz na Renie. W realizacji tego przedsięwzięcia walnie pomożę Krenlowi społeczeństwo zachodniemieckie, które wraz z całą jego klasą polityczną, od najdzikszych lewaków po konserwatywnych chadeków, przesiąknięte jest dziś amokiem russo- a ściślej sowietofilstwa. Gdzie w tym nadzieja na pozytywne oddziaływanie wobec Obozu, pojąć nie mogę.

I jeszcze jedno. Zjednoczenie Niemiec jest możliwe w wariancie bezkolizyjnym z polskim interesem, ale tylko na drodze ewolucyjnego procesu usuwenniania i jednoczenia się - oczywiście na gruncie respektowania narodowych odczyn - całej Europy, za to jednak trzeba czasu tak bardzo potrzebnego nam i innym, by wybić się na niepodległość omijając rafy gwałtownych wstrząsów mogących ów proces zahamować, oraz zbudować w naszej części Europy system polityczny państw mogących być realną przeciwwagą obu kolosów. Oczywiście, niewielki mamy wpływ na to, czy wariant zjednoczenia z łaski Kremla ziści się wcześniej, czy też uda się go powstrzymać.

Nie widzę jednak powodu by do jego realizacji przykładać polskiej ręki czy choćby skōw zachęty. A już na pewno by snuć związane z nim miraż stanowiące typowy przykład "wishful thinking".

Jacek Bartyzł

# dokumenty

## DO OBYWATELI ŁODZI

### I ZIEMI ŁÓDZKIEJ

Przed 70 laty Brygadier Józef Piłsudski, w niedługim czasie Naczelnik Państwa Polskiego, cznajmił: "Jako wódz naczelny armii Polskiej pragnę notyfikować rządowi i narodom wojującym i neutralnym istnienie Państwa Polskiego niepodległego, obejmującego wszystkie ziemie zjednoczonej Polski. /.../ Państwo Polskie powstaje z woli całego Narodu i opiera się na podstawach demokratycznych. Rząd Polski zastąpi panowanie przemocy, która przez sto czterdzieści lat ciążyła nad losami Polski, przez ustrój zbudowany na porządku i sprawiedliwości. Opierając się na Armii Polskiej pod moją komendą, mam nadzieję, że odtąd żadna armia obca nie wkroczy do Polski, nim nie wyrazimy w tej sprawie formalnej woli naszej."

Dzisiaj, przywołując te dumne i stanowcze słowa, zwracamy się myślnie i sercami ku tamtym listopadowym dniom 1918 roku, kiedy na zgłiszczach wojny świata zmartwychwstała nasza Ojczyzna. Dopiełniał się akt dziejowej sprawiedliwości zadośćuczyniającej zbrodni popełnionej przez trzy tyranie ościenne na wolnym państwie wolnych ludzi; na Rzeczypospolitej Obojga Narodów, która przez stulecia była w tej części Europy forpoczta i redutą Kacińskiej cywilizacji, rządów prawa, wolności sumienia, obrońcą godności osoby ludzkiej i wartości każdej narodowej wspólnoty. A kiedy już padła Rzeczpospolita i imię jej wymazane zostało z mapy świata, to ideały te ponieśli w sobie na drogach wygnania żołnierze i poeci, politycy i uczeni, potomkowie hetmanów i prości ludzie, by trwać w wierności i dawać świadectwo, walczyć orężnie i budować Niepodległą w sferze ducha. I chociaż nie dane im było przez cały wiek XIX znieść "snu o szpadzie", to jednak dzięki nim właśnie, mimo katastrofy państwa, Polska nie zginęła i doszła do swej samowiedzy jako nowoczesny, wszechstanowy naród, który wie, że ma prawo i obowiązek istnieć jedynie jako Państwo.

Pamięć dzieł przodków stanowi fundament narodowej tożsamości; powinnością przeto potomnych jest oddać hołd tym wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do wskrzeszenia Rzeczypospolitej, dążąc do niepodległości po jakże często krzyżujących się drogach. Składamy hołd w pierwszym rzędzie tym, którzy najdotkliwiej zaprzeczyli tezie, że niepodległość da się wywalczyć za cenę "dwóch groszy i dwóch kropli krwi". Tym, którzy prowadzeni przez swego Komendanta, Józefa Piłsudskiego, walcząc w Legionach, POW i innych formacjach zbrojnych, wykułi orężem państwo i dali mu siłę realną do zaistnienia i przetrwania, stali się kośćcem zespolonego Wojska Polskiego, które w dwa lata później, na przedpolach Warszawy ocalało nie tylko Polskę, ale i całą Europę, przed zagładą niesioną na bagnętach rewolucyjnej Armii Czerwonej.

Wzrok nasz skierowujemy również w stronę politycznych dokonania orientacji uosobianej nazwiskiem przywódcy Obozu Narodowego, Romana Dmowskiego, a realizowanej przez Komitet Narodowy Polski w Paryżu, dzięki której sprawa polska związana została ze zwycięską koalicją antygermańską, państwo polskie stało się pełnoprawnym uczestnikiem międzynarodowej społeczności i zyskało, na konferencji pokojowej w Wersalu, uznanie swojej suwerenności oraz granic

zachodnich.

Nie zapominamy także o dorobku Naczelnego Komitetu Narodowego, Tymczasowej Rady Stanu i Rady Regencyjnej, które w trudnych okupacyjnych warunkach zdołały stworzyć podwaliny normalnego funkcjonowania państwa w zakresie administracji, sądownictwa, skarbu i szkolnictwa.

Przypominamy, że niezaprzeczalny udział w budowaniu Niepodległej mają żołnierze wszystkich formacji militarnych powstałych w czasie wojny światowej: Korpusów i Dywizji Polskich w Rosji, Armii Błękitnej Józefa Hallera, Polskiej Siły Zbrojnej z Tadeuszem Jordanem-Rozwadowskim, Armii Wielkopolskiej, powstańcy śląscy; jak również stronnictwa tworzące ówczesny polski system polityczny: pilsudczycy, narodowi demokraci, konserwatyści z Michałem Bobrzyńskim, aktywiści z Władysławem Głębortem-Studnickim, chrześcijańscy demokraci z Wojciechem Korfantyńskim, ludowcy z Wincentym Witosem i socjaliści z Ignacym Daszyńskim.

Osobna, pełna czci, pamięć należy się pracy duchowej i moralnej Kościoła Rzymsko-Katolickiego i innych wyznań, oraz przedstawicielom elity intelektualnej i artystycznej z Henrykiem Sienkiewiczem oraz Ignacym Janem Paderewskim.

Owoc ich wspólnej pracy i walki - Druga Rzeczpospolita przetrwała zaledwie 20 lat. Jej dorobek, oglądany także z perspektywy ponownej utraty niepodległości, przez co nam fakt istnienia państwa jawić się mógł nawet jako najdłuższe polskie powstanie, podlegał różnym, często krytycznym, a jeszcze częściej niestety formułowanym z antypolskiego punktu widzenia, ocenom. Nie chcemy zamykać oczu na cienie niepodległej państwowości: sejmową anarchię i partyjniactwo rządów przedmajowych, a biurokracizm i przejawy brutalności reżimu pomajowego. Państwo polskie nie zdołało, mimo wielu imponujących osiągnięć wytworzyć trwale zdolnego do samoobrony potencjału militarnego i gospodarczego, a społeczeństwo zrealizować w pełni swej podmiotowej współodpowiedzialności za losy państwa. Nikt i nic nie może jednak przekreślić wartości zrodzonej z faktu, iż Druga Rzeczpospolita była jedyną w przeciągu dwu ostatnich stuleci formą polskiej organizacji państwowej cieszącą się pełną suwerennością i niepodległością, i, dzięki temu, stanowić mogła przedmiot uzasadnionej dumy narodowej oraz obywatelskiej i dentyfikacji.

Nieprzewidywalne okazały się również, w tak krótkim czasie, polityczne, historyczno-kulturalne i ekonomiczne rozbieżności stojące na przeszkodzie w wytworzeniu pod egidą Polski regionalnego systemu państw Europy Środkowo-Wschodniej jednak zagrożonych przez dwa ideologicznie motywowane imperializmy: bolszewicki w Rosji sowieckiej i nazistowski w Niemczech hitlerowskich, co było jedyną szansą ocalenia niezawisłości wszystkich. W następstwie porozumienia dwóch totalizmów, które przeszło do historii pod nazwą paktu Ribbentrop-Hołotow doszło do kolejnego rozbioru Rzeczypospolitej miasacą już nie tylko utratę państwowości, ale groźbę biologicznej i duchowej zagłady.

Kiedy zbliżał się koniec II wojny światowej Polska, pomimo nieprzerwanego uczestnictwa w koalicji antyhitlerowskiej i bohaterstwa kulminującego w całopalnej ofierze Powstania Warszawskiego, potraktowana została przez mocarstwa sprzymierzone jak kraj zwyciężony. Układy z Teheranu, Jałty i Poczdamu pozbawiły ją połowy ówczesnego terytorium i uzależniły od państwa sowieckiego; legalnemu rządowi Rzeczypospolitej cofnięto uznanie społeczności międzynarodowej. Porwani przywódcy Państwa Podziemnego stanęli przed obcym sądem, z krądcową bezwzględnością zdławiony został opór żołnierzy Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Zrzeszenia "Wol-

ność i Niezawisłość", zlikwidowana legalna opozycja Polskiego Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Pracy. Naród polski znalazł się w położeniu nieporównywalnym do jakiegokolwiek minionej sytuacji historycznej, stanowiąc wobec zagrożeń przekraczających zwykłą miarę ocen i sądów. Istnienie Drugiej Rzeczypospolitej i postawa narodu w czasie wojny uniemożliwiły wprowadzić proste wynazanie Państwa Polskiego z mapy Europy, jak u schyłku XVIII stulecia, ale jednocześnie narzucona obcą wolą organizacja państwowa wliczona została w tryby ponad- i antynarodowego systemu ideologicznego, radykalnie przeciwnego rodzimym tradycjom i doświadczeniom historycznym, oraz prowadzącego do całkowitej zmiany pojęć moralnych i przeświadczeń co do natury bytu społecznego. Państwo komunistyczne, będące w istocie anty-państwem w rozumieniu cywilizacji łacińskiej promującej ideał dobra wspólnego, stało się polem eksperymentalnym dla kolektywistycznej utopii marksistowsko-leninowskiej, która w imię rojeń o "społeczeństwie bezklasowym" zaprzęgała wytrzebić z życia społecznego, a nawet z duszy ludzkiej, wartości religijno-moralne związane zwłaszcza z katolicyzmem, dziedzictwo narodowej i ogólnoludzkiej historii, personalistyczna wizję człowieka i rodziny, instynkt prawa własności. "Socjalistyczne", a jednocześnie poddane totalnej kontroli partii i policji, miało być wszystko: nie tylko państwo, gospodarka i kultura, ale nawet myśli, pragnienia i uczucia jednostki. Nie pozbawiona realnych szans możliwości wcielenia w życie tej utopii oznaczałaby zatem nie tylko nieodwołalną utratę samoistności bytu państwowego i jego podporządkowanie państwu hegemonowi, ale wyrzucie z narodowej, osobistej i duchowej tożsamości Polaka, chrześcijanina, człowieka. W świetle tego, za najważniejszy fakt powojennej historii Polski uznać należy podjęta, i stoczoną w wymiarze duchowym oraz społecznym, walkę Prymasa Tysiąclecia, Stefana Wyszyńskiego, o ocalenie polskiej duszy indywidualnej i zbiorowej, jej osobowych, chrześcijańskich i narodowych korzeni. Kiedy zabrakło elit politycznych i społecznych, a elity umysłowe zawiodły, naród znalazł swe ostatnie schronienie pod skrzydłami Matki-Łościoła.

Duchowe zwycięstwo, znaczone młocymi słupami heroicznego "non possumus", Ślubów Jasnogórskich, wielkiej Nowemj Tysiąclecia, zbiegło się w czasie z kryzysem rewolucyjnej ideologii i komunistycznego systemu w skali całego bloku. Począwszy od 1956 roku słabka presja ideologii, cofała się totalitarna fala. Naród powoli podniósł się z kolan, spontaniczne wybuchy gniewu społecznego i protesty odyskujących tożsamość intelektualistów przynosiły widoczne poszerzenie się marginesu swobód indywidualnych i narodowych. Wniesienie na Urząd Piotrowy kardynała Karola Wojtyły dało, wciąż jeszcze niemożliwe do opisanja w pełni, impulsy we wszystkich sferach życia, od przyrodzonych po nadprzyrodzone, polskiego narodu. Rekonstruująca się od połowy lat 70-tych, pierwsza w historii bloku niekomunistyczna opozycja antysystemowa, zaowocowała w l. 1980-81 wiosną "Solidarności". I chociaż sam wojenny zadał poważny cios temu ruchowi, to jednak nie zdołał unicestwić realnych już sił społecznych dążących do suwerenności państwa i narodu.

Dziś, u progu 70 rocznicy odzyskania niepodległości stoimy przed nowymi wyzwaniemj, ale i przed wielką narodową szansą. Podjąć te wyzwania i skorzystać z tej szansy możemy tylko pod warunkiem upowszechnienia w większości społeczeństwa nowej jakości myślenia o sprawach publicznych i wiernego impetu, a jednocześnie rozważnego, działania. Warunek ten to zarazem obowiązek odnalezienia równowartościowego historycznym koncepcjom Piłsud-

kiego czy Dmowskiego a przecież własnego i odpowiadającego współczesnym potrzebom - kształtu idei niepodległościowej. Już nie tylko protest społeczny, moralny sprzeciw wobec nieprawości, czy pielęgnowanie tradycji, ale kreacja polskiej myśli państwowej, formułująca cele optymalne i zadania bieżące, jest naszym podstawowym zadaniem. Wszystkie prawdziwie niezależne ośrodki opiniotwórcze w Polsce nie mogą już poprzestawać na sporządzaniu rejestru krzywd i zażaleń, ich obowiązkem jest podjąć wysiłek określenia programu większości w oparciu o niezmiennie i aktualne przesłanki polskiego interesu narodowego i polskiej racji stanu.

Uzdrowienie życia publicznego nie jest możliwe bez postawienia w centralnym punkcie uwagi czynników opiniotwórczych i całego społeczeństwa zagadnienia uwłaszczenia państwa. Zdajemy sobie sprawę z faktu, że z obecną państwowością nie identyfikuje się większość Polaków, albo identyfikuje się z nią jedynie częściowo. Przyczyny tego są uzasadnione i zrozumiałe: nielegitymistyczna genetyka, niesuwerenny charakter i obcość tej państwowości wobec tradycyjnie ukształtowanych form życia społecznego. Świadomości fundamentalnego charakteru tego poczucia obcości nie przeczy jednak fakt narastania ujemnych, z narodowo-społecznego punktu widzenia, skutków takiego stanu rzeczy. Powoduje on bowiem zobojętnienie na sprawy publiczne, zanik myślenia kategoriami dobra wspólnego oraz obumierania dojrzałych form kultury politycznej. Społeczeństwo pozbawione możliwości korzystania ze sprawdzonych w naszym kręgu cywilizacyjnym sposobów artykulacji swoich dążeń i interesów, takich jak współzawodnictwo wyborcze, debata parlamentarna, praca samorządowa, zaczyna skłaniać się, zwłaszcza w swych najbardziej radykalnych odłamach, do wyłącznie rewolucyjnego modelu polityki, tym bardziej, że wiele faktów zdaje się potwierdzać jego skuteczność. Sytuację jednak, w której obywatele - z uzasadnionych nawet powodów - zajmują postawę "kontrahenta" rewindykującego swoje uprawnienia bez jednoczesnego podejmowania zobowiązań wobec dobra wspólnego, trudno uznać za naturalną i zgodną z historycznie ukształtowanym typem cywilizacji europejskiej.

Świadome swoich dojrzałych aspiracji do podmiotowości społeczeństwo nie powinno lekceważyć znaczenia czynników swoiście państwowych obecnej organizacji politycznej, takich jak: uznanie społeczności międzynarodowej, odrębny system władzy i prawa, granice obejmujące większość terytorium narodowego: jak również powinno brać pod uwagę okoliczność, że nawet czysto formalna odrębność państwa stanowi dogodniejszy punkt wyjścia dla urzeczywistnienia niepodległościowych dążeń narodu, ponieważ nie wymaga tworzenia organizacji państwowej od podstaw, tylko przekształcenia formalnych atrybutów suwerenności w faktyczny stan rzeczy.

Na polskiej myśli państwowej spoczywa obowiązek wobec narodu zarysowania śmiałej wizji, i dróg jej urealnienia, państwa będącego materializacją historycznej idei Ojczyzny, państwa, z którym wiązać będzie obywatele spontaniczne uczucie dumy i współodpowiedzialności. Nie ma innej drogi do tegoż celu jak uparta wola wyzwalać istniejącą państwowość z pozostałych jeszcze nawarstwień utopijnej nierzeczywistości, ideologicznego widma dławiącego tkankę społeczną; nadawanie jej znamion *r e i p u b l i c a e*, państwa obywatelskiego, stwarzającego publiczną przestrzeń dla uwewnętrznienia interesów jednostek, rodzin i grup. Niezależnie od oblicza ideowo-politycznego obozu sprawującego w danym momencie historycznym władzę, państwo obywatelskie to takie, które stwarza obywatelom możliwość swobodnego wyrażania poglądów oraz zrzeszania się do ich realizacji. Oznacza to prawo do powoływania autentycznych instytucji samorządowych, tworzenia stowarzyszeń i związków ideo-

wo-wychowawczych, politycznych, zawodowych, kulturalnych i gospodarczych, uznanie wreszcie przez obóz rządzący prawomocności zjawiska opozycji politycznej i jej udziału w życiu publicznym. Miłym krokiem na drodze do obywatelnienia Państwa byłoby przywrócenie praw i narzędziom jego egzekucji ich organicznego sensu, a więc także rezygnacja z posługiwania się nimi jako narzędziem walki partyjno-politycznej.

Szczególnie dramatyczny przebieg i wielorakie następstwa ma pogłębiający się polski kryzys gospodarczy, będący skutkiem aplikowania niezycelowej utopii kolektywistycznej. Jego skutkiem, obok drastycznego obniżenia poziomu życia materialnego i potrzeb kulturalnych oraz zwiększania cywilizacyjnego dystansu wobec społeczeństw wchodzących w erę postprzemysłową, jest także moralny kryzys tysięcy rodzin beznadziejnie wyczerkujących dachu nad głową i nieustający wyciek krwi i energii narodowej płynącej potokiem emigracyjnych, najbardziej przedsiębiorczych jednostek. Wyzwolenie inicjatywy indywidualnej i przywrócenie mechanizmów wolności ekonomicznej urasta do rangi najważniejszego z celów bieżących, a w odbudowaniu moralnie motywowanego prawa własności dojrzeć trzeba niezawodny pomost do Europy.

Restauracja państwa obywatelskiego i wolności gospodarstwa narodowego otworzyć może przestrzeń dla realizacji, w sprzyjających warunkach geopolitycznych, zewnętrznych interesów narodu polskiego - pełnej emancypacji politycznej. Wierzymy mocno, że niepodległa Polska jest światu niezbędnie potrzebna, że "nie może być zjednoczonej Europy bez niepodległej Polski na jej mapie" /Jan Paweł II/. Zwracamy się myślą i współ-odczuwającym spojrzeniem do tej szczególnej chwili naszych dziejów, jaką był listopad 1918 roku, nie po to jednak, by pogrążyć się w zastygłym obrazie chwalebnej przeszłości, lecz aby usłyszeć od naszych przodków pytanie, co uczyniliśmy z ich dziedzictwem, i zaczerpnąwszy od nich mocy, ducha, stanąć twarzą do przyszłości, która musi być naszym dziełem.

W imieniu Łódzkiego środowiska Ruchu Młodej Polski

Jacek Bartyzel  
Marek Budzisz  
Kazimierz Ujazdowski  
Dariusz Wojnar

Łódź, 11 listopada 1988 roku.

# O Ś W I A D C Z E N I E

## Ruchu Wolnych Demokratów

z okazji 70 rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości

O, nie skończona dziejów jeszcze praca,  
Jak bryły w górę ciągnięcie ramieniem:  
Uniknij - a już ci znów na piersi wraca:  
Przysiądź, głowę zetrze ci brzemieniem....

O, nie skończona dziejów jeszcze praca,  
Nie przepalony jeszcze glob sumieniem!

C.K. Norwid

W deklaracji wydanej w sprawie 60-tej rocznicy odzyskania niepodległości pisaliśmy, że w refleksjach związanych z tą rocznicą wysuwamy na plan pierwszy zagadnienie państwa polskiego, gdyż spór o charakter państwa stanowi kamień węgielny wszelkich innych sporów toczących się w Polsce w okresie sześćdziesięciolecia.

Miniona dekada w pełni potwierdziła to nasze stanowisko. Powstałe w tym czasie niezależne organizacje polityczne z Konfederacją Polski Niepodległej /1979/ na czele wprost zakwestionowały istnienie państwa, a Polską Rzeczpospolitą Indowā nie uznają za III Rzeczpospolitą, lecz za formę władztwa radzieckiego nad narodem polskim, sprawowanego przy pomocy PZPR. Można wprawdzie wskazać na to, że orientacja niepodległościowa istniała i działała znacznie wcześniej w postaci choćby konspiracyjnego Polskiego Porozumienia Niepodległościowego lub powołać się na fakt istnienia rządu RP w Londynie, to jednak nie podważa to w niczym znaczenia jakie ma pojawienie się w Polsce w ostatnim dziesięcioleciu jawnych grup politycznych proklamujących w swych dokumentach programowych cel w postaci dążenia do ... odzyskania niepodległości.

Głosząc się do takich postaw występujących w minionym 60-leciu Ruch Wolnych Demokratów określał je mianem "paradoksu polskiej świadomości" politycznej". Wyraża się on tym, że łącząc niepodległość i niepodległość narodową z odrodzeniem państwa polskiego, nie chce równocześnie uznać faktu istnienia tego państwa jako równoznaczne z niepodległością Polski. Wskazywaliśmy na realne uwarunkowania rodzące taki paradoks postaw politycznych. Ale sformułowaliśmy coś w rodzaju zasady myślenia politycznego, stwierdzając, że wtedy gdy istnieje państwo polskie, Polska jest niepodległa. Rozwiązania wspomnianego paradoksu upatrujemy w tym, by opozycji w stosunku do sił sprawujących władzę w państwie nie utożsamiać z opozycją wobec samego państwa. Stanowisko takie, naszym zdaniem, jest uzasadnione także w sytuacji kiedy państwo polskie jest państwem o ograniczonej suwerenności, jak ma to miejsce obecnie. Istnienie państwa, którego istotę ujmujemy inaczej niż ideologia marksistowska, uznajemy za warunek konieczny naszego bytu narodowego, aczkolwiek warunek nie wystarczający. Dla zapewnienia tego bytu niezbędna jest także suwerenność państwa, która jest rzeczywista tylko wówczas gdy wynika z podmiotowości politycznej społeczeństwa. I to właśnie różni suwerenność państwa od niezależności reżimu politycznego panującego w państwie. Istnieje takiej niezależności od

własnego społeczeństwa lub od innych państw jest często funkcją terroru i sprzyjającym koniunktur międzynarodowych, może mieć pozytywne skutki dla społeczeństwa jako całości ale nie może stanowić substytutu suwerenności.

Mając takie względy na uwadze wyraziliśmy przed 10-ciu laty przekonanie, iż tyko udział wszystkich odłamów społeczeństwa w życiu publicznym, jeśli będą się wyraźnie wiązać z dążeniami zmierzającymi do przywrócenia społeczeństwu jego podmiotowości politycznej, nie zaś ze wzrostem aktywności na gruncie oficjalnej ideologii, stanowi warunek osiągnięcia suwerenności przez państwo polskie. Powojenny spór wewnątrz-niemiecki między RFN i NRD wykazał, że nie ma i być nie może państwa bez o b y w a t e l i. My zaś, jako obywatele Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, powiemiśmy bardziej chcieć realizować należne nam prawa i wolności obywatelskie w tym państwie przełamując kolejne ograniczania tych praw płynące z monopolu władzy komunistycznej.

Powstała w 1980 roku sytuacja społeczno-polityczna dała początek dłuższemu od wszystkich poprzednich okresów walki społeczeństwa o swoją podmiotowość. Siłą główną stała się w tej walce "Solidarność", która w praktyce - bo nie w podpisany w Gdańsku porozumieniu i nie wymuszonym w Warszawie "statucie" - zakwestionowała k i e r o w n i c z ą r o l ę PZPR w państwie. Odpowiedzią na to ze strony komunistycznej był brutalny atak na "lud pracujący", będący konstytucyjnym podmiotem politycznym w państwie, zrealizowany w formie s t a n u w o j e n n e g o, wprowadzonego w dniu 13 grudnia 1981 roku. Był to niewątpliwie poważny cios zadany procesowi politycznego wyzwalania się mas spod narzuconej im kurateli.

Ale cios ten, choćby nie wiedzieć jak bolesny, nie jest już w stanie zahamować procesu emancypacji politycznej współtworzoną przez świadomą swych celów aktywność obywatelską.

Sięgając myślą aż do początku lat 70-tych i obejmując nią całą dekadę rządów Edwarda Gierka musimy pamiętać, że dokonał on nie jednego lecz dwóch otwarć społeczno-politycznych.

Pierwszym była próba otwarcia granic Polski i NRD i Czechosłowacji w parze z czym szła daleko idąca liberalizacja polityki paszportowo-wizowej z innymi państwami m.in. ze Szwecją, Austrią itd. Celem było rzeczywiste zbliżenie społeczeństw tych krajów. Próba ta, jak wiadomo, nie udała się. Z różnych przyczyn. Swobodny ruch graniczny znów został zablokowany. Ale dokonany raz wyłom w "żelaznej kurtynie" nie pozwala na powrót do poprzednich zyczeń. Nowa polityka paszportowa, rozwój kontaktów międzynarodowych itp. to widoczne dla każdego następstwa tamtego otwarcia. To zaś na ile społeczeństwo wykorzysta tą nową sytuację dla podniesienia własnej podmiotowości politycznej, a nie tylko poprawy własnej sytuacji materialnej, będzie zależał od nas samych, a nie tylko od sprawujących władzę. Obserwowany i sygnalizowany wzrost aktywności grup spekulacyjno-pasożytniczych, często o zasięgu ponad-narodowym, to groźny skutek uboczny tej sytuacji. Jemu jak i sprawie zaciąganych wówczas długów kładących się takim ciężarem na sytuację gospodarczą Polski poświęcimy odrębny dokument.

Drugim otwarciem, tym razem dokonanym wewnątrz, było podpisanie tzw. porozumienia sierpniowych w Szczecinie, Gdańsku, Jastrzębiu. I ta próba skończyła się niepowodzeniem. Ale mimo wprowadzonych rygorów stanu wojennego mimo blokady wielu kanałów aktywności publicznej np. rozwiązanie stowarzyszeń twórczych itp. sytuacja jest lepsza niż była przed rokiem 1980. Społeczeństwo uczy się coraz bardziej żyć własnym życiem i tym zmusza różne grupy w obrębie reżimu do podejmowania z nim dialogu, w węższym lub szerszym zakresie.

I znów, tak jak w tamtym wypadku otwarcia zewnętrznego chodzi o to, by wartość tej nowej sytuacji nie została spożytkowana jedynie przez elementy koniunkturalne, egoistyczne i cyniczne politycznie. Ta zmieniająca się sytuacja zewnętrzna i wewnętrzna Polski, której znamio-



nami są wzrost obcego kapitału w stosunkach gospodarczych i roli Kościoła w stosunkach publicznych, wymaga od naszego narodu i społeczeństwa coraz większej dojrzałości politycznej i odpowiedzialności obywatelskiej za to, co się robi samemu i co czynią inni nasi rodacy i współobywatele. Dotyczy to w szczególności tych, którzy mają lub mogą mieć wpływ na decyzje polityczne kształtujące los Polski.

Ruch Wolnych Demokratów różnicuje sens politycznych pojęć: Niepodległość i Suwerenność. Dokonując takiego zróżnicowania myślowego stwierdza za własną odpowiedzialność moralną i polityczną, że istnienie państwa polskiego jako podmiotu stosunków międzynarodowych oznacza, że Polska j e s t

n i e p o d l e g ł a . Ale zarazem uznajemy, że suwerenność należy zawsze rozpatrywać w trzech aspektach równocześnie:

- 1/ suwerenność społeczeństwa jako podmiotu politycznego w państwie,
- 2/ suwerenność organów państwa w relacjach z czynnikiem sprawującym władzę w państwie tj. partią,
- 3/ suwerenność państwa w jego stosunkach nie tylko z ZSRR, ale także z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi.

Wyrażając swoje stanowisko obecnie, w jakże odmienną sytuację niż ta z 1978 roku, kiedy dokonują się prawie niewyobrażalne w tym systemie zmiany, zarówno w ZSRR jak i innych państwach socjalistycznych, tym bardziej czujemy się w obowiązku przywoływać dawną dewizę polskiego życia publicznego:

"Nic o Nas bez Nas" jak i słowa, jak sądzimy, przestrogi z "Wesela"

St. Wyspiańskiego:

"Stoimy u polskich granic,  
a mamy obecność za nic,  
oś talentów zawisłe igraszki."

Łódź, listopad 1988 roku.

## PO UTWORZENIU

## KOMITETU OBYWATELSKIEGO

Przystępując do zadania periodycznego - jeśli okoliczności zezwolą - komentowania bieżących wydarzeń politycznych, czujemy się w obowiązku powiadomić - by nie powiedzieć ostrzec - Czytelników z jakiego stanowiska ideowo-programowego fakty te będziemy oświetlać. Stanowimy bowiem część szerszego, a działającego już ponad 10 lat, zespołu ideowego, który w roku 1977 utworzył Pismo Młodych "Bratniak", dwa lata później Ruch Młodej Polski, w czasie stanu wojennego kwartalnik "Polityka Polaka", a obecnie współtworzy również szereg innych inicjatyw takich jak: Klub Myśli Politycznej "Dziękania", Wielkopolski Klub Polityczny "Iad i Wolność", Gdańskie Towarzystwo Polityczne "Młoda Polska", a także kilka związków akademickich i towarzystw gospodarczych.

Oznajmiamy przeto, iż dwie "zasady kardynalne" stanowić będą punkt odniesienia dla naszych analiz sytuacji politycznej. Pierwsza z nich określa cel stawiany przez nas niezmiennie za nadrzędny w polityce narodowej - pełna i autentyczna suwerenność oraz niepodległość Rzeczypospolitej.

Każdy fakt, każde posunięcie którejkolwiek ze stron uczestniczących w polskim życiu publicznym oceniane będą wedle kryterium orzekającego ich wartość dla przybliżenia realizacji tego celu prymarnego. Ponieważ jednak nie gustujemy, z wielu powodów, w rewolucyjno-agitacyjnej frazeologii niektórych ugrupowań, osobliwie tzw. "lewicy niepodległościowej", uważamy za swój obowiązek przypominać prawdę dziś nie tylko raczej zapoznaną, ale wręcz świadomie podważaną, o bezsensie takiej "niepodległościowości", która usiłuje omiąć problem państwa, stanowiącego z natury rzeczy jej konkretny wyraz. Budować Niepodległą, znaczy w naszym rozumieniu dziś przede wszystkim wzmóc poważny wysiłek obywatelski prowadzący do usunięcia z istniejącej niesuwerennej państwowości wszelkich śladów ideologii komunistycznej, stanowiącej istotę współczesnej formy zniewolenia narodu i państwa.

Zasada druga określa sens naszej formuły ideowej, a jest nią integralnie katolicki światopogląd i pozytywna wizja kadu społecznego zakorzeniona w uniwersalnych wartościach cywilizacji łacińskiej, takich jak: sakralny wymiar bytu społecznego, metafizyczny cel jednostki i państwa, transcendentny autorytet władzy, autonomia rodziny, pojęcie narodu jako zrzeczenia etycznego, świętość własności prywatnej. Zasada ta, którą można określić jako ideowy konserwatyzm, każe nam zatem odrzucić nie tylko system komunistyczny, ale i wszelkie inne systemy kolektywistyczne, a także skrajnie indywidualistyczne, które - jak populistyczna demokracja - opierają się na oświeceniowej doktrynie "suwerenności ludu"; nakazuje nam zaś opowiedzieć się za antyczne-średnio-wieczną ideą "rządu mieszanego", tj. szacującą wartości przodków: monarchicznego, arystokratycznego i demokratycznego.

## X

Wydarzeniem z pewnością nie tylko na miarę miesiąca, które przykuło uwagę krajowej i zagranicznej opinii publicznej, było powołanie w dn. 18 grudnia 1988 r., przez zgromadzone w warszawskim kościele Miłosierdzia Bożego grono zaproszonych osób, Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ "Solidarność" Lechu Wałęsie. Fakt ten trzeba też widzieć w kontekście poprzedzającej go, bardzo udanej wizyty L. Wałęsy w Paryżu, która potwierdziła jego pozycję polskiego męża stanu o znaczeniu międzypaństwowym. W zasadzie fakt ukonstytuowania się Komitetu powinien być zostać uznany za zjawisko pozytywne zważywszy, że potrzeba istnienia autentycznej reprezentacji narodowej skupiającej wszelkie inicjatywy obywatelskie była od dawna wskazywana przez szereg rozmaitych środowisk opozycyjnych i nie trzeba udowadniać jej przydatności dla urzeczywistnienia celów polityki polskiej.

Reprezentacja taka nie istniała w Kraju od lipca 1945 r. kiedy to rozwiązała się Rada Jedności Narodowej - parlament Polski Podziemnej. Niestety stwierdzić należy, nie podważając bynajmniej wartości cząstkowych tego kroku, że nie można jeszcze przydać mu miana zrównującego go w pełni z tamtą, historyczną Radą, a to z uwagi na jej tryb powołania, skład, a nawet nazwę. Osoby zaproszone na to spotkanie, mimo, iż na ogół znane opinii publicznej, powołane zostały według kryteriów nie w pełni czytelnych i faktycznie nominowane do wspomnianego Komitetu. Jakikolwiek byłoby kryteria, zaprzeczając niestety wypadła słowem z organizatorów spotkania, B. Geremka, który oświadczył, że Komitet reprezentuje najszerszy wachlarz ugrupowań i środowisk, odzwierciedlający pluralizm ideowo-polityczny polskiej opozycji. Skład bowiem tego 128-osobowego grona wskazuje wyraźnie, że przytłaczającą większość stanowią w nim reprezentanci w zasadzie dwu ideowo, a dziś i taktycznie zbliżonych do siebie grup: postkorwowskiej tzw. lewicy laicznej oraz wywodzącej się z "Wici" i stowarzyszonej od dawna, w ramach Konserwatorium "Doświadczenie i Przyszłość", z na ogół ex-partyjnymi inte-

lektualistami, tzw. lewicy katolickiej. Dołączając do tych osób przedstawicieli PPS i anarchizującego WiP-u uzyskujemy co najwyżej zróżnicowaną w odcieniach konstelację socjalistyczną, wobec której pojedynczy intelektualniści nielewicowi tworzą jedynie ozdobiak "legitymizujący" społecznych radykałów. Nie zaproszono natomiast - wyjąwszy K. Dzińskiego z "Trzynastki" oraz A. Halla i niżej podpisanego z RWP - przedstawicieli i grupowań konserwatywnych, liberalnych i narodowych, grupy "Głosu", a także, z innej strony grup radykalno-niepodległościowych, takich jak KPN czy L-DP "Niepodległość". Oczywiście, można było się liczyć z faktem różnako motywowanej odmowy z ich strony, nie swalnia to jednak nikogo z powinności szukania dróg porozumienia na rzecz koalicji autentycznie pluralistycznej. Pluralizm ten nie objął tymczasem nawet samej "Solidarności", jako, że zaproszeń nie otrzymał nikt z Grupy Robotniczej, reprezentującej poważny odłam Związku.

Nadmienić trzeba, że niemało do życzenia pozostawił również sposób ukonstytuowania się Komitetu. Nie polegał on bowiem na indywidualnym zgłoszeniu się doń lub wybraniu jego członków, lecz na przegłosowaniu jego istnienia, co raz jeszcze wykazało ujemne strony demokratycznej procedury większościowej. Problem ulega wielokrotnieniu, jeśli zważyć, że w dyskusji nad nazwą wysunięto propozycje jeszcze dalej idącego określenia, a mianowicie Zgromadzenia Obywatelskiego, co w razie przyjęcia, byłoby już zbyt daleko idącą uzurpacją, wobec jednostronności tego przedstawicielstwa.

Wbrew pozorom, nie specjalnie korzystna wydaje się też przyjęta ostatecznie wersja nazwy Komitetu w jego pełnym brzmieniu - ani dla wzmocnienia politycznej pozycji jego przewodniczącego, ani dla sprawy polskiej w ogóle. Nazwa ta bowiem właśnie r e d u k u j e L. Wałęsę do rangi przywódcy związkowego i to w chwili, jak już podkreśliłem, gdy zdobył on rangę przywódcy ogólnonarodowego i uznanego w tej roli w świecie; oraz redukuje w oczach opinii międzynarodowej sprawę polską, sprawę niepodległości państwa włączonego przemocą w światowy system komunistyczny, do zupełnie nieprzystawalnej i dezorientującej tę opinię rangi wewnątrzpaństwowej kwestii wolności związkowej, która ostatecznie stanowi problem wielu suwerennych państw świata. W tym kontekście sprzeciw budzi także deklaracja cytowanego już B. Gieremka, który stwierdził, że sprawa pluralizmu związkowego jest nadrzędna wobec wszelkich innych kwestii, a kto sądzi inaczej, ten sam wyłącza się z tego grona. Jest właśnie zupełnie odwrotnie: to nie sprawa polska jest służebna wobec sprawy "S", lecz wolność związkowa jest jednym z wielu i równorzędnych elementów grających na rzecz uobywatelniania społeczeństwa i usuwieremniania państwa. W tym duchu wypowiedział się kresztą na omawianym spotkaniu L. Wałęsa.

Zbierając zatem pokłosie tego zgromadzenia należy stwierdzić, że istotnie trwały sens tego owocu, jakim jest Komitet Obywatelski, może ujawnić się w pełni dopiero wtedy, kiedy nastąpi jakościowo znaczące rozszerzenie jego platformy w kierunku pełnego pluralizmu politycznego, co pozwoli mu podjąć rolę autentycznego, tymczasowego przedstawicielstwa narodowego.

W przeciwnym wypadku, tzn. jeśli jego animatorzy uznają się za już wystarczająco reprezentatywnych, może powstać sytuacja analogiczna do niesławnej paniki Rządu lubelskiego w 1918 r., którego powstanie zagroziło wówczas nieomal wojną domową; albo - co jeszcze gorsze - może się okazać, że będzie to tylko na próżno skleciona koalicja do przetargów z obcym władzą, owocująca zastąpieniem rozlatującego się socjalizmu leninowskiego socjalizmem "samorządnej Rzeczypospolitej". Może być oczywiście inaczej, ale tak się składa, że - nie po raz pierwszy w historii Polski - klucz do rozwikłania tej kwestii trzyma "partia ruchu", ludzie lewicy. Czy przeważy wśród nich raz jeszcze interes partykularny i pokusa "monopolistyczna", czy też myślenie w kategoriach obywatelskich i ogólnonarodowych - to unoczní bieg

wypadków w najbliższym czasie.

Jak nietrudno się domyślić, także w czasie spotkania na Żytniej unosiło się brzącające nad Polską od września, a coraz bardziej anemiczne widmo "okrągłego stołu". Mimo, iż sprawa wydaje się z dnia na dzień mniej aktualna, nie od rzeczy będzie wyartykułować niejako "na wszelki wypadek" własne stanowisko. Przypominać jednak raz jeszcze, widoczne jak na dłoni intencje pomysłodawców, nie ma sensu. Ożegnywać się od zasiadania do owego stołu też nie trzeba, bowiem wszystko, co może w jakikolwiek sposób pomóc naszej sprawie, warto wypróbować. Jeżeli jednak sprawa "stołu" zostanie istotnie reanimowana, to ewentualni rozmówcy ze strony społecznej powinni dobrze przemyśleć własne intencje, zamiary i oczekiwania. Nade wszystko nie powinni oni ani na chwilę zapominać tego, co przed laty podczas dyskusji soborowej nad Schematem XIII powiedział ś.p. Kard. Wyszyński na temat porozumień z ludźmi reprezentującymi system "diamatu", czyli tego, że wszelkie porozumienia czy ustępstwa mają dla nich zawsze znaczenie jedynie taktyczne, a obowiązywać mają wyłącznie stroną niekomunistyczną. Nauka z tych wielokrotnych lekcji jest oczywista: również ludzie pragnący reprezentować naród muszą traktować ewentualne porozumienia wyłącznie jako nieokreślone w czasie zawieszenie broni, które umożliwić winno rozwiązanie spraw nie mogących czekać na odłożenie, bo zagrażających samej substancji materialnej i duchowej narodu. Położenie podwalin pod wyjście z zapaści cywilizacyjnej, które zapewnić może jedynie trynkowanie gospodarki, przywrócenie własności prywatno-rodzinnej naczelnego miejsca w strukturze ekonomicznej, zahamowanie emigracji zarobkowej i rozkładu rodzin wskutek niędzy i braku perspektyw stanowi wystarczające uzasadnienie powstrzymania naturalnego pragnienia do posiadania już teraz autentycznie narodowej i suwerennej władzy, chociaż na dłuższą metę grozi to również negatywami w sferze moralno-politycznej, jako zespolenie przyzwyczajają się do traktowania siebie jako kontrahenta władzy i uważania postawy rewindykacyjnej jako naturalnej w ogóle. Właśnie aby i temu także zapobiec, społeczeństwo musi już teraz uzyskać ramy formalne i przestrzeń życiową do takiego rozwoju, który na dłuższą metę wyrabiać w nim będzie postawy obywatelskie, a nie rewindykacyjne. Jest przeto sprawą absolutnie konieczną zbudowanie powszechnej i legalnej infrastruktury społecznej i politycznej w postaci najrozmaitszych stowarzyszeń, i to uzyskiwanych nie "na skróty", drogą koncesyjną, lecz spontanicznie i w ramach systemu Rządów Prawa. Jest bezwzględnie konieczne pogodzenie się obozu władzy z istnieniem i prawem do tworzenia całkowicie suwerennych wobec partii komunistycznej stronnictw, klubów i towarzystw politycznych. Jest nie do pogodzenia z systemem Rządów Prawa i z istotą społeczeństwa cywilnego jakikolwiek ślad obecności ideokracji komunistycznej w kulturze, nauce, oświacie, gospodarce, administracji i sądownictwie. Tak pojęty i jasno wyartykułowany cel, stanowiący sens jakichkolwiek negocjacji z komunistami, jest zgodny z generalną przesłanką czynnej walki cywilnej, która w imię właśnie instytutu państwowego nakazuje demontować do cna jedynie te instytucje i te funkcje systemu, które mają charakter represyjny i zniewalający, zaś zachowywać - nadając im funkcje służebne wobec wspólnoty narodowej - te wszystkie instytucje, które - jak administracja, ciała przedstawicielskie, wojsko, a nawet policja - mają z istoty swojej wartość ogólnonarodową.

Jacek Bartyzel

Tekst niniejszy opublikowany został w "Jednodniowce Łódzkiego Środowiska Ruchu Młodej Polski" Łódź, 1/1989. 3 -

W dniu 7 lutego 1989 roku zmarł

S.†P.

JERZY KATARASIŃSKI

animator Duszpasterstwa Środowisk Twórczych przy Kościele  
O.O. Jezuitów w Łodzi, publicysta prasy niezależnej.

Rodzinie Zmarłego wyrazy współczucia składają

PRZYJACIELE Z PRZEŚWITU

W dniu 9 lutego 1989 roku zginął tragicznie

S.†P.

DOC. DR HAB. CZESŁAW STRADOWSKI

zasłużony działacz NSZZ "SOLIDARNOŚĆ", animator dzia-  
łalności konspiracyjnej od pierwszych dni stanu wojennego.

Rodzinie Zmarłego wyrazy współczucia składają

PRZYJACIELE Z PRZEŚWITU

---

druk **MWJL** WYDAWNICTWO  
FRASCWE

ZBIORY OŚRODKA KARTA

---